

WIOLETTA PIASECKA

Zakochana
służąca

SKARPA WARSZAWSKA

WIOLETTA
PIASECKA



Zakochana służąca



SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

ZAKOCHANA SŁUŻĄCA

Słowo od autorki

Redakcja
Agnieszka Czapczyk

Korekta
Beata Gołkowska

Projekt graficzny okładki
Anna Slotorsz

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Zdjęcia wykorzystane na okładce
©AdobeStock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2024

© Copyright by Wioletta Piasecka, Warszawa 2024

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83293-75-2



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Moim Przyjaciółom z facebookowej grupy „Książki na obcasach –
grupa dla fanów twórczości Wioletty Piaseckiej”*

Środkiem ulicy pędził żółty pocztowy dyliżans zaprzężony w dwa gniade konie. Stukot kopyt na bruku niósł się echem po niemal pustym o tej godzinie Krakowskim Przedmieściu. Siedzący na koźle pocztylion w czarnym kapeluszu z białą wstążką i w ciemnozielonej pelerynie obszytej karmazynową lamówką ściągnął cugle tak energicznie, że bryka zakolysała się na boki i stanęła. Konie zarżały, a z ich ciepłych chrap uszła para. Mężczyzna odruchowo sięgnął po zawieszoną na sznurze i przypiętą do płaszcza trąbkę, nabrał powietrza w płuca i zadał. Wesoło, choć nieco patetycznie brzmiący dźwięk instrumentu rozniósł się po okolicy, doleciał także do pierwszego piętra apartamentu sąsiadującego z budynkiem poczty królewskiej. Marta Skowronek drgnęła, z jej dłoni wysunął się porcelanowy biały kandelabr zdobny w niezapominajki, nie potłukł się na szczęście, tylko poturlał po miękkim dywanie. Podniosła go, obróciła się na pięcie, odstawiła świecznik na komodę i energicznym krokiem, szeleszcząc szarym, mocno wykrochmalonym materiałem spódnicy, przeszła przez salon.

– A niech Franciszka wszyscy diabli porwą! Niby taki zacny i miły człowiek, a jednak robi na przekór. Tyle razy prosiłam, żeby nie ryczał tą okropną trąbką pod oknami księżnej! Och, można prosić i prosić! Tyle mojego, co sobie poproszę! – mamrotała pod nosem.

Nie zwracając uwagi na spłoszone spojrzenia dwóch pokojówek, Meli i Frani, a także kucharki Anieli, zbiegła po schodach. Już na klatce w holu owionął ją chłód marcowego poranka. Mimo zimna jej policzki płonęły gniewem. Wprawdzie od kilku dni księżna Sara bawiła u rodziców w Bielawie i trąbka akurat dziś przeszkadzać jej nie mogła, ale Marta działała na zapas, by nikt nigdy nie ośmielił się o poranku burzyć spokoju jej pani. Wiele razy przekonywała Franciszka, by nie dał w trąbkę pod ich oknami. Od kilku dobrych tygodni tego zaniechał, ale dziś najwidoczniej się zapomniał. Postanowiła nie szczypać się w język, przestać prosić i zrugać pocztyliona po szewsku. Na co dzień panna Skowronek była kobietą spokojną, ale jeśli chodziło o dobro jej pani, stawała się lwicą.

Wybiegła z budynku i przez chwilę stała niezdecydowana. Przy dyliżansie kręciło się kilku mężczyzn. Coś jej jednak nie pasowało w znajomym obrazku. Nigdzie nie dostrzegła Franciszka. Widziała pochylonego nad kuframi pocztyliona, który przeglądał dokumentację, ale jego sylwetka wydała się jej nieco szczuplejsza niż ostatnio. Wahala się, czy to na pewno jest on. Nie widziała twarzy mężczyzny, bo przesłaniał ją chłopak, który ściągał z kufrów pasy zabezpieczające. Trzęsąc się z zimna, Marta przestąpiła z nogi na nogę, chciała załatwić sprawę jak najszybciej. Wiatr co rusz podwiewał szary materiał jej sukienki, kręcił białym fartuchem na wszystkie strony, stroszył włosy wystające spod czepka i mroził oddech. Poprawiła wymykające się ciemne kosmyki, po czym chrząknęła znacząco raz i drugi, a ponieważ pocztylion dalej nie podnosił głowy ani się nie odwrócił, zniecierpliwiona zignorowała wcześniejsze wątpliwości i oznajmiła:

– Panie Franciszku, na litość boską, tyle razy zapewniał mnie pan, że nie użyje pod oknami księżnej tej szalonej trąbki! Widzę, że na nic się zdały moje prośby i pańskie zapewnienia. Doprawdy, miałam pana za dżentelmena. – Nagle pocztylion porzucił swoje zajęcie, wyprostował się i wbił zdziwiony wzrok w pałającą świętym oburzeniem Martę, a ona zamilkła i znieruchomiała. Nigdy wcześniej nie widziała tego człowieka. Przystojny, wysoki mło-

dzieniec, z rozwiewanymi przez wiatr rudymi włosami i błyskiem w niebieskich oczach, uśmiechnął się lekko zaskoczony.

– A dlaczegóż to nie miałbym użyć sygnału dźwiękowego przed budynkiem poczty? – spytał.

– Bo... bo... ja... pana Franciszka prosiłam... i on... mi... to... obiecał... – wyjąkała speszona. Postawa mężczyzny, a szczególnie jego rozbawiony wzrok onieśmieliły ją. Wpatrywała się w jego niebieskie oczy nieco zbyt długo, niżby pozwalały na to skromność i przyzwoitość. Jej spojrzenie przyciągały wierzgające na wietrze niesforne miedziane kędziorki, otulające wysmaganą słońcem i wiatrem twarz. Gdy zdała sobie sprawę z niestosowności swojego zachowania, wpadła w złość. – Ma pan przestać trąbić! – fuknęła gniewnie.

– Poniekąd jest to mój obowiązek. Szanowna pani tego nie wie?

Kąciki jego ust uniosły się w tłumionym rozbawieniu. Chciał jeszcze coś dodać, ale pomocnik pocztowy stanął przy nim, potupując z zimna. Pocztylion niechętnie odwrócił wzrok od Marty i spojrzał na pomocnika.

– Szeffie, przesyłki policzone, mogę już je nosić? – zawołał chłopak, a otrzymawszy potwierdzenie, chwycił jedną z paczek i zniknął w drzwiach budynku pocztowego. Dwaj młodzicy oporządzający konie również weszli do środka.

Marta Skowronek najpierw zacisnęła powieki, ale zaraz je otworzyła i zamrugła energicznie, jakby tym sposobem chciała wymazać przed oczu obraz przystojnego rudzielca w eleganckim pocztowym płaszczu.

– Gdzie pan Franciszek? – wydusiła w końcu.

– Nie wiem, droga pani, nie tłumaczył mi się, co dziś porabia. O jednym mogę panią zapewnić, a mianowicie o tym, że będę trąbił, ile wlezie. Od wczoraj przejąłem obowiązki pocztowe na Krakowskim Przedmieściu. Żałuję, że z uwagi na dalekie trasy nie dane mi będzie trąbić tutaj codziennie, ale gdy tylko się tu zjawię, zatrąbię, jakem Waldemar Promyk. – Skłonił się przesadnie nisko i już chciał wrócić do przerwanej zajęcia, lecz Marta niespodziewanie złapała go za rękaw służbowego płaszcza, w dodatku zrobiła to tak gwałtownie, że rudzielec przytrzymał się jej ramion, by nie upaść.

– Och, jesteś pani spragniona bliskości, w takim razie służę ramieniem. – Zaśmiał się swawolnie.

– Co za tupet! Proszę mnie puścić! – krzyknęła wzburzona, lecz uścisk mężczyzny nie zelżał. – Proszę natychmiast mnie puścić! Jest pan źle wychowany! Nie ma pan prawa hałasować! Moja pani jest powieściopisarką i potrzebuje spokoju – oznajmiła, nie kryjąc dumy i jednocześnie starając się wysliznąć z jego ramion. Te jednak wciąż trzymały ją mocno.

– Ach, to w takim razie chodzi zapewne o księżną Reszko. A wie pani, że jestem jej czytelnikiem? Zresztą, kto nim nie jest? – spytał retorycznie.

– Doprawdy? Jest pan czytelnikiem księżnej? Otóż, mój panie, czytelnik się tak nie zachowuje. Powinien pan się domyślić, że szczególnie o poranku księżna potrzebuje spokoju, bo pracuje nocą. Nie ma jej dziś co prawda w Warszawie, ale na przyszłość z szacunku do pisarki zechce pan zachowywać się stosownie.

Dla lepszego efektu Marta uniosła podbródek, lecz już po sekundzie pożałowała tego od-
ruchu, bo niebieskie oczy pocztyliona znalazły się tuż nad jej oczyma. Pochylił się jeszcze bar-
dziej, aż poczuła ciepły zapach jego skóry. Pachniał mydłem i wodą po goleniu. Spłonęła ru-
mieńcem jak młodziutka panienka. Zawstydzona i zła zacisnęła wargi i energicznym szarp-
nięciem wyrwała się z uścisku. Jej domowe pantofle, nieprzystosowane do wilgotnej na-
wierzchni, pośliznęły się na bruku i byłaby zapewne wywinęła koziołka, lecz w ostatniej chwili
przytrzymała się żeliwnej poręczy ławki. Odtrąciła podaną sobie dłoń, zanim jednak zdołała
złapać równowagę, podmuch wiatru uniósł dół jej sukienki, pokazując światu białe płócienne
pantalony. Energicznym ruchem przygładziła materiał. Pocztylion chciał jej pomóc w szamo-
taninie z wiatrem, ale fuknęła na mężczyznę rozzłoszczona i speszona, a potem obróciła się
i zła na cały świat, a przede wszystkim na tego krnąbrnego bawidamka, ruszyła w stronę ka-
mienicy.

– Proszę pani, proszę poczekać! – zawołał pocztylion, ale ona, nie spojrzawszy już w jego
kierunku, goniona palącym wstydem, przyspieszyła. Biegła po schodach, głośno dysząc. Wpa-
dła do mieszkania, zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie plecami. Mamrocząc obelgi pod adre-
sem rudzielca, starała się uspokoić oddech.

– A to typek, ja mu jeszcze pokażę – odgrażała się pod nosem.

– Marto, co się stało?

Zwabiona niecodziennym hałasem Aniela wybiegła z kuchni i stanęła w holu. Nie pamię-
tała Marty tak wzburzonej.

– Nic. Zupełnie nic. – Ochmistrzyni pokręciła głową, czym wywołała jeszcze większą kon-
sternację kucharki i pokojówek, które też zjawiły się w holu.

– Masz przekrzywiony czepek, rozwiane włosy i czerwone policzki. Wyglądasz, jakby cię
ktoś gonił – oceniła Aniela, niespiesznie zacierając poproszone tu i ówdzie mąką dłonie.

– Nikt mnie nie gonił. Byłam na dole obsztorcować pocztyliona. Bezczelny typ. – Marta
westchnęła przeciągle i ponownie pokręciła głową z dezaprobatą. – Że też poczta takich za-
trudnia. Świat zszedł na psy. Nieuprzejmy, niemiły, bezczelny i pewny siebie, aż przykro pa-
trzeć.

– Pan Franciszek bezczelny? – zdziwiła się pokojówka. – Ależ to niespotykanie łagodny
człowiek. Cóż on takiego Marcie zrobił?

– Nie słyszałaś trąbki? Głuchy by usłyszał. Zresztą, to nie był Franciszek tylko jakiś fircyk.
Tak czy siak, księżna spać nie może przez te poranne hałasy. Najlepiej zrobisz, Melu, jak zaj-
miesz się czyszczeniem sreber. Pragnę przypomnieć, że nasza pani dziś wraca.

– O co pannie Marcie chodzi? Srebra dawno przetarte. – Urażona pokojówka wzruszyła
ramionami

– Niech sobie pocztylion dziś trąbi, ile wlezie, przecież księżnej Sary od kilku dni nie ma –
wtrąciła się Frania.

– Nie ma, nie ma – przedrzeźniała ją Marta. – Nie wiecie, że trzeba działać zawczasu,
a nie wtedy, jak mleko się rozleje?

– Wydaje mi się, że księżna Sara nie raz, nie dwa mówiła, że lubi dźwięk trąbki. Na własne
uszy słyszałam – zaklinała się Aniela, widząc jednak, że ochmistrzyni szykuje się do słownego

ataku na nią, natychmiast uniosła dłonie i ustąpiła. – Rzeczywiście, może mi się tylko zda-
wało. Chociaż ja sama też lubię melodię trąbki pocztowej, ale dobrze już, dobrze, wracam do
zagniatania ciasta, bo widać od razu, że Marcie mucha na nos siadła.

Marta zamierzała coś ostro odpowiedzieć, ale otworzyła tylko usta, bo rozległ się stukot
kołatki. Odskoczyła raptownie od drzwi, jakby te ją oparzyły. Wzrokiem i machnięciem dłoni
nakazała kobietom opuścić hol i udać się do swoich zajęć. Zrobiły to niechętnie, tak rzadko
w ich spokojnym apartamencie działo się coś naprawdę godnego uwagi. Nadstawiły więc uszu
i zerkały z ukrycia. Bo też była to iście niecodzienna sytuacja i zamierzały nie uszczknąć ani
krzty z szykującego się widowiska.

Marta tymczasem poprawiła biały czepek, przyglądała włosy, wygładziła szary materiał
sukienki, wzięła głęboki oddech i nacisnęła klamkę.

– Jakże mi miło widzieć panią ponownie. – Rudowłosy pocztylion uśmiechnął się figlar-
nie, a następnie skłonił się z przesadną uprzejmością, ściągając uprzednio czarny firmowy ka-
pelusz z białą wstążką. – Proszę się już nie dąsać, choć pięknie pani z tym chmurnym spojrze-
niem, ale wolałbym zostać obdarzony uśmiechem. Starzy powiadają, że uśmiech jest prze-
pustką do lepszego świata.

– Ma pan przesyłkę dla księżnej? – przerwała mu Marta, z kamienną twarzą wyciągnęła
rękę przez próg, nie zaszczywiwszy gościa spojrzeniem.

– Mam przesyłkę dla pani męża – oznajmił poważnie Waldemar Promyk.

– Ależ ja nie mam męża! – wypaliła i wbiła w pocztyliona zszokowany wzrok.

– Całe szczęście! – Roześmiał się szczerze. – Bardzo chciałem się tego dowiedzieć i od
razu proszę o wybaczenie za ten niewinny żart. Straszne się cieszę, że jest pani panienką.

– Jak pan śmie! – fuknęła oburzona Marta. – Za dużo pan sobie pozwala! Jest pan bez-
czelny, bez wychowania i... – Zaperzyła się, bo zabrakło jej słów, co zdarzało się nader rzadko.

– Czy mówił już pannie ktoś, że jest panna urocza, gdy z tych piwnych oczu ciska pioruny?
Och, jakże się panienka pięknie gniewa i czerwieni. – Nie przestawał się śmiać, a przy okazji
zdawał się dobrze bawić całą sytuacją.

– Proszę natychmiast opuścić apartament księżnej Reszko. – Ściągnęła brwi ku sobie i po-
patrzyła na przybysza bykiem. – Natychmiast proszę stąd wyjść! – podniosła głos.

– Ależ szanowna panienko, nawet czubkiem trzewika nie przekroczyłem progu aparta-
mentu księżnej. Gdzież bym śmiał!

– I całe szczęście. Żegnam pana. – Odsunęła się, by zatrzaskać drzwi przed nosem nie-
sfornego gościa. Nie uszła jednak dwóch kroków w głąb mieszkania, gdy ponownie rozległo
się pukanie. Tym razem jednak cichsze. – Nie no, ja oszaleję, oszaleję – powtórzyła z dezapro-
batą. Z ostentacyjnym westchnieniem i przewracając oczyma, na powrót otworzyła drzwi. –
Zapomniał pan o czymś? – zakpiła.

– Tak się zapatrzyłem w panienki czarodziejskie oczy, że na śmierć zapomniałem o bożym
świecie i o listach. Jest panienka prześliczna, mówił już panience ktoś? – Uśmiechnął się sze-
roko, a ona zamarła. Serce jej nagle oszaleło. Chciała być zła, ba, wmawiała sobie, że jest zła,
ale nie potrafiła nie odwzajemnić uśmiechu, a jej twarz nabrała łagodności. Mężczyzna roz-
ciągnął usta jeszcze bardziej, a wtedy w jego wysmaganych wiatrem policzkach ukazały się

doleczki, natomiast tęczęwki oczu nabrały błękitnej głębi. Uśmiechnęła się więc bezwiednie całą sobą. – Ma panienka śliczny uśmiech – szepnął konspiracyjnie, a obniżony, ciepły tembr głosu całkowicie ją rozkojarzył.

– Co to za przesyłki? – wydusiła z trudem. Chciała coś kąśliwie zripostować, jednak stała przed nim niczym bezbronne dziewczętko.

– Mam list do pani Marty Skowronek – odpowiedział cicho, jakby powierzał jej jedną z największych tajemnic.

– Do mnie? – Podniosła wzrok w autentycznym zdziwieniu. Jeszcze się nigdy bowiem nie zdarzyło, by przyszła na jej nazwisko jakakolwiek korespondencja.

– A zatem ma panienka na imię Marta. – Znów się uśmiechnął. – Marta Skowronek. Pięknie brzmi i pasuje do panienki ognistego charakteru.

– Też coś! – prychnęła, ale odruchowo poprawiła włosy. Nagle przypomniała sobie, że przecież pocztylion był świadkiem żenującej sceny przed kamienicą, gdy wiatr podwiał materiał jej sukienki, pokazując światu pantaloney. Niegrzecznym szarpnięciem wyrwała list z rąk mężczyzny, okręciła się na pięcie, chwyciła klamkę i pchnęła drzwi.

– Panno Marto... – szepnął i przytrzymał jej zaciśniętą na klamce dłoń.

– Jeszcze coś? – mruknęła. Nie rozumiała, dlaczego nie potrafi oprzeć się magii spojrzenia niebieskich rozbawionych oczu i ciepłego głosu. Peszyły ją własne zachowanie i nieoczekiwana bezradność wobec tego człowieka.

– Poproszę tylko o jeszcze jeden uśmiech. Obiecuję, że pojutrze, gdy wrócę do Warszawy, też zagram na trąbce pod panienki oknem, dość głośno, żeby przyszła panienka na mnie narzyczeć. – To powiedziałwszy, roześmiał się i zanim zdążyła rzucić jakąś ciętą ripostę, zbiegł po schodach, pogwizdując wesoło.

– Marta ma adoratora. – Mela, porzuciwszy kryjówkę, wybiegła na korytarz. – Marta ma adoratora, Marta ma adoratora, Marta ma adoratora – powtarzała i klaskała w dłonie.

– Przystojny ten nowy pocztylion i wpatrzony w naszą ochmistrzynię jak kot w mysz – zapiszczała Frania. – Chyba szykuje się romans, bo Marta przy nim pokraśniała jak nieśmiała panienka.

– W tej chwili przestańcie! Robota skończona? Strzępicie sobie jęzory po próżnicy! Pościele z magla odebrane? Nie? To na co jeszcze czekacie? – Ochmistrzyni dopiero teraz wpadła w gniew. Nie lubiła czczego gadania, a szczególnie na swój temat.

Po wyjściu dziewcząt bezszelestnie przeszła przez salon i stanęła przy oknie. Stąd rozciągał się najlepszy widok na Krakowskie Przedmieście. Poranne mgły już zdążyły się unieść, ale dzień nadal był pochmurny. Okutani w palta i szale przechodnie przemykali ze skulonymi ramionami i wciśniętymi w kołnierze głowami. Marta Skowronek z wysokości pierwszego piętra obserwowała, jak rudowłosy pocztylion wskakuje na kozła i strzelając lejcami, rusza z gracją w stronę kawiarni U Brzezińskiej. Wiedziała, że niebawem skręci na plac Warecki, a potem, kto wie, może uda się wprost do Saksonii. Mówił, że nie będzie trąbił codziennie, więc pewnie wyjeżdża daleko. Nie rozumiała, dlaczego nagle posmutniała. Potem uzmysłowiła sobie, że niedawno skończyła trzydzieści dwa lata. Była już stara. Bardzo stara. Za stara, by wyjść za mąż czy w ogóle myśleć o miłości. Takie kobiety jak ona, od dziecka służące we dwo-

rach jaśniepaństwa, nie miały szans na własne życie. Kochała swoją panią i swój los. Ba, czuła się szczęściarą. Nigdy wcześniej nie myślała o błahostkach, dlaczego więc ten przypadkowo spotkany młokos zasiał niepokój w jej duszy? Jeszcze teraz na wspomnienie jego figlarnych niebieskich oczu ciepło przelewało jej się wokół serca, a nisko w brzuchu dziwne łaskotki wy- czyniały harce. Oparła czoło o framugę okna. Pomyślała o doskonale skrojonym mundurze pocztowym Waldemara Promyka, wspaniałym płaszczu z peleryną, wytwornym cylindrze. Musiało mu się dobrze i wygodnie żyć, wszak był urzędnikiem państwowym, w dodatku wykonywał szanowany i prestiżowy zawód, bywał w świecie. A ja? Co ja sobą reprezentuję? – zastanawiała się w duchu. Od dziecka oddana na służbę, bez możliwości ułożenia sobie życia. Popatrzyła na wartko płynące rynsztoki, a potem na wytworną kobietę wsiadającą do dorożki. Dwa skrajne światy są tak blisko siebie, a zarazem tak daleko – oceniła w myślach. Czy ja bym mogła kochać? – zapytała siebie, ledwo poruszając wargami, i ogarnęła ją dziwna tęsknota. Przygryzła wargę, ale zaraz machnęła ręką na swoje dziecinne mrzonki. Jednak gdy żółta pocztowa bryczka z przystojnym pocztylionem zniknęła z horyzontu, z piersi Marty wyrwał się cichy jęk. Spuściła wzrok i dostrzegła w dłoni kopertę, o której na śmierć zapomniała. Podniosła ją na wysokość wzroku i z lekkim trudem odczytała zamaszyste zawijasy.

O święci pańscy! Toż to list z parafii Świętego Mikołaja! Coś musiało zająć u matuchny lub tatki – strwożyła się. Ojciec i matka byli niepiśmienni, cokolwiek się wydarzyło, nie mogli sami napisać do córki. Zapewne poprosili o tę przysługę proboszcza. Musiało to być jednak coś naprawdę ważnego. Zapewne ciężka choroba lub śmierć. W innym przypadku nikt nie osmieliłby się zawracać duchownemu głowy. O mój Boże! Jeśli matuchna umarła, przyjdzie mi zająć się tatkiem – przeraziła się. W roztargnieniu zrobiła znak krzyża. Nie wyobrażała sobie opuścić księżnej Sary. Arystokratka była nie tylko jej chlebobawczynią, lecz też na swój sposób przyjaciółką i ostoją. Marta na służbę do rodziny Wolskich została oddana jako dziecko. Miała kilka lat, gdy urodziła się Sara. Pokochała tę jasnowłosą istotkę całym dziecięcym serduszkim. Pracowała najpierw we dworze w Bielawie, potem po ślubie panienki Sary przeniosły się obie do Karczewa, a niedawno do Warszawy. Innego życia Marta nie знаła. Rodziców już prawie nie pamiętała, więc teraz przeraziła się czekającymi ją kłopotami. Z szelestem spódnicy opadła na fotel i chlipnęła. Nie wiedziała wprawdzie, co się wydarzyło u rodziców, ale była pewna, że czekają ją zmiany i że z pewnością nie będą to zmiany na lepsze. Przez krótki moment pomyślała o przystojnym rudowłosym pocztylionie, ale po chwili z trudem odsunęła od siebie obraz młodego mężczyzny i przerażona przeczytała list raz, drugi i trzeci, skryła twarz w dłoniach, bo czuła, że jej świat właśnie przewraca się do góry nogami.



Marta Skowronek od ponad godziny stała przy oknie i śledziła przejeżdżające dorożki. Ulica tonęła w ciemności, bo nieliczne latarnie olejowe dawały zbyt nikłe światło. Martwiła się o swoją panią, która już dawno powinna być w domu. Jazda po zmroku bywała niebezpieczna. Wystarczyło najechać na większy kamień czy wpaść w dziurę, których nie brakowało, a można było się narazić na urwanie dyszla i kilkugodzinny postój na wertepach w chłodzie i ciemności. Zdarzały się też wcale nierzadkie napady chuligańskie na powóz jadący bez eskorty innych pojazdów. Służąca z niepokojem zagryzała dolną wargę i chodziła od okna do okna. W końcu, gdy szara godzina dnia ustąpiła nocy, zaprzężona w sześć dorodnych koni kareta zatrzymała się u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Trębackiej. Dwaj mężczyźni zeskoczyli z kozła. Jeden z nich ruszył na tył pojazdu, gdzie były przytwierdzone kufry podróżne, drugi natomiast wziął podręczną lampę olejową i otworzył drzwi powozu z wygrawerowanym herbem Reszków, wysunął schodki i podał rękę księżnej Sarze. Ubrana w wytworny biały kożuch obsyty futrem z białych gronostajów i kremową, suto marszczoną spódnicę młoda kobieta wsparła się na dłoni stangreta i delikatnie chwyciła kremowy materiał, a gdy ten się uniósł, można było przez chwilę dostrzec kilka warstw białych halek zdobionych szlachetną koronką. Biała futrzana czapka przyozdobiona pośrodku trzema piórami harmonizowała z jasnymi jak pszenica włosami splecionymi w warkocz oraz z błękitnym kolorem oczu.

Ochmistrzyni odetchnęła z ulgą. Odeszła od okna, poprawiła ciężki materiał stopy i rozejrzała się krytycznym wzrokiem po salonie. Świece w kandelabrach i trzask palących się w kominku suchych szczap zaczarowały pomieszczenie przytulnością i ciepłem. Na długim dębowym stole, zasnutym śnieżnobiałym haftowanym srebrną nicią obrusem, stała przygotowana na jedną osobę zastawa. Woźnice, kucharka i pokojówki, a także Marta jadali w kuchni, choć zdarzały się wyjątki, kiedy to księżna życzyła sobie, by Marta towarzyszyła jej przy którymś z posiłków. Bywało to rzadko i właściwie wyłącznie przy kolacji. Ochmistrzyni podejrzewała, że dziś również księżna Sara zechce podzielić się wiadomościami z Bielawy i zaprosi ją do stołu, ale Marta nigdy w życiu nie pozwoliłaby sobie nakryć od razu na dwie osoby bez wyraźnego rozkazu chlebobawczyni. Gdy były małymi dziewczynkami, często jadały razem w dziecięcej bawialni. Dopiero gdy Marta dojrzała, zrozumiała pewną niestosowność zachowania jej pani. W kręgach arystokracji bratanie się ze służbą uważano niemal za świętokradztwo.

– Aniela, pani przyjechała – zawołała ochmistrzyni w głąb kuchni, skąd dolatywał aromatyczny zapach pieczonego drobiu, a sama udała się do obszernego korytarza. Strzepnęła drobny pyłek z miękkiej, obitej czerwonym aksamitem kanapy i czekała, by pomóc swojej pani ściągnąć kożuch i trzewiki. Usłyszała na schodach ciężkie kroki należące do któregoś z woźniców, a potem te drobne, stąpające delikatnie i lekko. Oczy jej rozbłysły, gdy arystokratka stanęła w drzwiach.

– Dobrze cię widzieć, Marto. – Księżna Reszko obdarzyła czekającą na nią ochmistrzynię serdecznym uśmiechem. – Jak się miewasz?

– A dziękować, pani Saro, u mnie dobrze, choć dom bez pani jest pusty, jakby życie w nim zgasło – odparła służąca i skinieniem głowy odpowiedziała na pozdrowienia woźnicy, który eskortował księżną, oświetlając jej drogę na piętro. Mężczyzna po chwili zszedł na dół, by po-

móc przy bagażach. Gdzieś z głębi pomieszczenia kuchennego rozległ się wesoły śmiech pokojówek i gderanie Anieli, lecz po sekundzie wszystkie trzy stanęły w holu, by powitać księżną.

– Witajcie, kochane. Przywiozłam trochę smakołyków z Bielawy. Rodzice załadowali do brocii cztery podróżne kufry, zupełnie jakbyśmy w Warszawie przymierali głodem. – Zażądała się. – Zaraz Henryk i Tadeusz przyniosą bagaże, zajmijcie się nimi jeszcze dziś, bo większość pyszności musi trafić do spiżarni.

– Oczywiście, jaśnie pani. – Aniela dygnęła, a razem z nią Mela, Frania i ochmistrzyni.

– Pięknie pachnie, a jestem głodna jak wędrowny sokół. Chodź, Marto, będziesz mi towarzyszyła przy posiłku. – Księżna przeszła do salonu, zatrzymała się przy kominku i wyciągnęła zmarznięte dłonie w stronę ognia.

– Pani Saro... To znaczy księżno – poprawiła się Marta – Podstawię pani rozgrzane cegły pod stopy. Jeszcze gotowa się księżna przeziębici.

– Na razie dziękuję, ale chętnie skorzystam, gdy będę udawała się na spoczynek. Siadajmy do stołu. – Zachęciła ochmistrzynię ruchem dłoni, sama również usiadła, akurat w momencie, gdy Frania wniosła półmisek z mięsiwem. Sara podziękowała młodzience służącej skinięciem głowy, a kiedy ta wyszła, zwróciła się do Marty: – Tęskniłam za domem. Kiedyś mówiłaś mi, że Bielawa nie jest już moim domem, dodałaś wtedy, że Karczew również nim nie jest. Miałaś rację, moim domem jest Warszawa. – Rozłożyła białą chustkę na kolanach i pozwoliła, by Marta nałożyła jej porcję mięsa i sałaty na talerz. Kiedy ochmistrzyni zapodała również sobie niewielką porcję i usiadła na miejsce, księżna kontynuowała: – Moim domem nie jest to miasto ani nawet ten apartament, moim domem jesteście ty i... – Nagle zamilkła. Marta zastanawiała się, czy ma na myśli młodego wydawcę Gustawa Gurga. Wiedziała, że księżna zapalała do niego uczuciem i że on to uczucie odwzajemnia. Ale mogła mieć również na myśli swoje małe dzieciątko spoczywające na cmentarzu na Powązkach. – Cieszę się, że wróciłam – podsumowała księżna po krótkiej pauzie weselszym tonem.

– Warszawa opustoszała bez pani Sary. A co słyhać w Bielawie? – Marta siedziała z dłońmi ułożonymi na kolanach. Nie miała apetytu, nie potrafiła się zmusić do przełknięcia choćby kęsa nawet dla swojej ukochanej chlebobawczyni. Po przeczytaniu wiadomości od proboszcza popadła w przygnębienie. Maskowała je uśmiechem, ale przygaszony wzrok i niepodobna do niej melancholia zwróciły uwagę Sary.

– W Bielawie dobrze, wszyscy zdrowi, ale widzę, Marto, że ciebie coś gnębi. Stało się coś? – Wytarła rąbkiem chusteczki kąciki ust i przyjrzała się uważniej ochmistrzyni. – Jesteś chora?

– Nie, na szczęście nie, ale chyba szykują się u mnie kłopoty. Dostałam niepokojący list od proboszcza z parafii w Sępach. Wezwał mnie pilnie do domu. Może matuchna lub ojciec pomarli. – Zwiesiła głowę i westchnęła głośno.

– Bardzo mi przykro. Cóż zrobić, samo życie, musisz jechać. Masz moją zgodę i poparcie, choć przyznam, że i bez ciebie będzie pusto w tym domu. – Księżna wyraźnie zmarkotniała. – Kiedy otrzymałaś list?

– Dzisiejszego ranka. Nowy pocztylion go dostarczył. Trąbił pod oknem, nie dał sobie przemówić, żeby tego nie robić. Pewnie będzie księżną budził, straszny łobuz z niego. – Gdy to mówiła, na jej twarzy zabłąkał się łagodniejszy przebłysk, ale też spąsowiła.

– Lubię dźwięk trąbki, no, może nie po całonocnym pisaniu, ale nie przeszkadza mi granie. Mniejsza o trąbkę i o pocztyliona. Dam ci powóz, nie będzie mi potrzebny w najbliższych dniach, a zresztą zawsze mogę skorzystać z dorożki. Pojedziesz z Henrykiem, jest bardziej doświadczony. – Księżna Reszko wstała od stołu i przeszła po salonie w tę i we w tę, lecz po chwili zatrzymała się przy kominku.

– Księżno Saro, to niepodobna, żeby służąca podróżowała książeńcem powozem. – Marta przeżegnała się nabożnie. – Kto to widział, takie bezecenstwa! Wezmą księżną na języki. Bratanie się ze służbą jest w bardzo złym stylu. Nie mogę do tego dopuścić. Dam sobie jakoś radę.

– Przecież nie mogę pozwolić, byś do Sęp jechała dyliżansami. Mogłabyś się pogubić, a i z pewnością przyszłoby ci iść szmat drogi pieszo. – Arystokratka podeszła do ochmistrzyni i położyła jej dłoń na ramieniu, a potem stwierdziła lekceważąco: – To, że wezmą mnie na języki, wcale mnie nie dotyka ani nie martwi. Plotki, plotki, plotki. Co najwyżej, więcej moich książek się sprzeda. Niech plotkują. Przeżyłam już wiele intryg i plotek. Natomiast nie przeżyłabym, gdyby tobie się przytrafiło jakieś nieszczęście. Moja ty kochana Marto, wiele razy ratowałaś mnie z opresji, pomagałaś w przemycaniu korespondencji, wspierałaś dobrym słowem, pozwól więc, że ja się odwdzięczę udostępnieniem ci powozu. Powiem więcej, dam ci nawet porządną podróżną garderobę i sprawię ci czarną suknię na ewentualność pogrzebu oraz czarny płaszcz. I nie protestuj, proszę, bo i tak zdania nie zmienię. Do Sęp daleko. Przenocujecie bezpiecznie w Bielawie. Odpoczniecie wy, odpoczną konie. Widzisz, same korzyści.

– Jaśnie pani, ja nawet nie wiem dokładnie, gdzie te Sępy się znajdują. Nie pamiętam już rodzinnego domu. Miałam kilka lat, gdy wysłano mnie służbę. Tatkę i mamę widziałam jeszcze tylko kilka razy w życiu. Nawet nie wiem, czy poznam któreś z nich. Zresztą, ten dom, jak pani wie, rodzice otrzymali od wielmożnych państwa właścicieli majątku w Sępach za uczciwą i długoletnią służbę, gdy ja już pracowałam w Bielawie.

– Wiem, dlatego daję ci powóz i stangreta. Henryk jeździł do majątku w Sępach wiele razy, wie, jak tam trafić. Zapewne chcesz jechać jak najprędzej...

– Tak po prawdzie, to nie jechałabym wcale, ale grzech nie pożegnać matuchny, która powołała mnie na ten świat, czy tatki. Mus jechać. Martwię się tylko, jak wy sobie tu beze mnie poradzicie.

– O to się nie martw. Kilka dni przetrwamy. Mam nadzieję, że wrócisz do nas jak najszybciej. Ale prawdą jest, że jeśli twoja nieobecność potrwa dłużej, to bez ciebie zginiemy. – Sara uśmiechnęła się łagodnie, starając się dodać swojej ochmistrzyni odwagi. – Jutro zacznij pakować kufer, zlecę pilne uszycie sukni i porządnego palta dla ciebie, a pojutrze z samego rana możesz ruszać.

– Boję się, pani Saro, to znaczy księżno, że... – Urwała nagle, bowiem wierzyła, że wypowiedziane w złą godzinę słowa nabierają mocy sprawczej, a jej obawy, że po śmierci ojca czy matki będzie zmuszona zająć się drugim rodzicem, stawały się w jej wyobraźni coraz bardziej realne. Bała się, że jej życie w Warszawie definitywnie się skończyło. Wieczorem, gdy

w swoim małym pokoju kładła się spać, zacisnęła powieki, by powstrzymać napływające łzy, ale te i tak wymknęły się i zmoczyły poszewkę wypchaną gęsim piórem poduszki. Nie chciała zmian, bała się ich. Tuż przed zaśnięciem jej myśli powędrowały do przystojnego rudowłosego pocztyliona. Chwilę pieściła w sercu jego uśmiech i blask niebieskich oczu i nagle świadomość wyjazdu stała się jeszcze trudniejsza.



Dzień wstał mglisty i wilgotny. Mimo że była już połowa marca, w powietrzu wirowały drobinki śniegu. Ubrana w czarną suknię i w czarny prosty płaszcz ofiarowany przez księżną Marta Skowronek, czekając, aż Henryk porządnie umości kufer na tyłach karety, przyglądała się dwóm krukom, które wydziobywały znajdujące się w płytkim rynsztoku resztki. To jeden, to drugi podfruwiał do zastygłej brei, łapał co atrakcyjniejszy kąsek i odskakiwał, by połknąć go pospiesznie na boku, po czym znów wracał w to samo miejsce. Marta spojrzała w niebo. Zastanawiała się, czy ciężkie szare chmury zwiastują deszcz, czy raczej pogoda się utrzyma. Gdzieś na końcu ulicy zastukały końskie kopyta. Kobieta się odwróciła i dostrzegła żółtą brykę dylizansu. Zmrużyła oczy i serce mocniej jej zabiło. Na koźle siedział Waldemar Promyk. Jeszcze jej nie dostrzegł, a być może nie poznał jej w wytwornym czarnym płaszczu i czarnym toczku na głowie. Przyglądała się pocztylionowi spod zmrużonych rzęs. Musiała przyznać, że robił wrażenie na kobietach. Postawny, w pięknie skrojonym służbowym płaszczu z peleryną, czarnym kapeluszu z białą wstążką, a do tego przystojny i pełen sił witalnych. Dostrzegł ją akurat w momencie, gdy zamierzała cofnąć się i schować za powozem Reszków. Marta uważnie, by nie umoczyć brzegów sukienki w pobliskim rynsztoku, odsunęła się na bok, bo pocztylion zajechał pod budynek poczty.

– Uszanowanie, panno Marto. Nie poznałem panny. – Zeskoczył z kozła i uklonił się, uchylając kapelusza. – Zapewne wiadomość, którą dostarczyłem dwa dni temu, nie była zbyt pomyślna – domyślił się, omiatając wzrokiem jej szczupłą sylwetkę spowitą w czerń.

– Uszanowanie, panu. To prawda, nie była – odpowiedziała lakonicznie. Nie chciała roztrząsać osobistych spraw na ulicy, szczególnie z tym obcym jej człowiekiem. – Mam nadzieję, że nie użyje pan trąbki. Moja pani jeszcze śpi i byłoby mi naprawdę przykro, gdyby pan ją zbudził. – Przyglądała się, jak wiatr rozwiewa rude loki, które wymyknęły się spod kapelusza. Kąciki jej ust uniosły się w nikłym uśmiechu, bo pocztylion miał w sobie coś łagodnego i intrygującego zarazem. Biły od niego radość życia i figlarność.

– A po cóż mnie trąbić, skoro panna Marta wyjeżdża? Nikt nie przybiegłby na dół, by we mnie ciskać pioruny wzrokiem, a i nie miałbym serca wyrywać ze snu księżnej Reszko – odparł prostolinijnie.

– Panno Marto, możemy jechać. – Henryk wysunął schodki przy drzwiach powozu.

– Już idę – odpowiedziała, ale nie wykonała żadnego ruchu, tak jakby jeszcze na coś czekała.

– Na długo pani wyjeżdża? – spytał, wpatrując się w księżęcy powóz nieprzeniknionym wzrokiem. Zdawał sobie sprawę, że ta niepozorna kobietka musi cieszyć się niewiarygodnym zaufaniem i szacunkiem swojej chlebodawczyni, skoro ta użyczyła jej własnego powozu. Jeszcze nigdy nie spotkał się z takim szczodrym i poniekąd nonszalanckim gestem.

– Nie wiem. Obawiam się, że... na zawsze – wymknęło jej się zbyt szczere wyznanie, a przy ostatnim słowie broda jej lekko zadrgała. Odwróciła się bez pożegnania i uchwyciła wyciągniętą dłoń Henryka, który pomógł jej usadowić się w powozie.

– Mam coś dla panienki, proszę chwilę zaczekać – rzucił Waldemar Promyk do Henryka i pobiegł do dylizansu. Po minucie wrócił z kwadratowym pudełkiem owiniętym w szary pa-

pier. – Panno Marto, to dla pani. Miałem to pani dać, gdy przybiegnie panienka na mnie narzyczeć za trąbienie. – Roześmiał się, choć w beztroskim śmiechu zabrzmiała nutka goryczki.

– Ależ ja... nie mogę tego przyjąć – zaprzeczyła energicznie, zakłopotana zaistniałą sytuacją.

– Bardzo proszę. Sprawę mi panienka wielką radość. Gdy panna Marta przyjmie ode mnie ten skromniutki, niewinny upominek, uwierzę, że wróci panna tu szybko. – Podszedł bardzo blisko otwartych drzwi i położył jej pakunek na kolanach. – Szerokiej drogi i pomyślnych wiatrów! Będę czekał! – zawołał, gdy konie ruszyły. W szybie w drzwiach nadal widział wpatrzoną w niego nieco pobladłą twarzyczkę. Stał długo i patrzył, jak powóz Reszków dostojnie przemierza Krakowskie Przedmieście, aż całkowicie zniknął z pola widzenia. Pocztylion zmarkotniał, Warszawa dla niego nagle opustoszała. Ta mała pyskata kobietka zawróciła mu w głowie od pierwszego wejrzenia. Postać jeszcze chwilę, a potem wszedł do budynku poczty po dyspozycje na najbliższe dni.

Marta oparła się o miękkie obszyty ciemnobordowym adamaszkiem zagłówek. Pogładziła szare opakowanie kartonu. Pierwszy prezent, jaki kiedykolwiek otrzymała od mężczyzny. To szare niewinne pudełko onieśmiało ją. Zastanawiała się, czy to jest przyzwoite, by od bądź co bądź nieznanego kawalera dostawać upominki. Przeszło jej przez myśl, że nie powinna otwierać prezentu, tylko po powrocie do Warszawy zwrócić go darczyńcy. Tak, tak zrobię – postanowiła. Jednak w miarę pokonywania drogi ciekawość okazała się silniejsza. Powóz nie zdążył jeszcze minąć Rogatek Belwederskich, gdy drżącymi dłońmi, delikatnie i z nabożnym namaszczeniem, odchyliła szary papier. Uśmiechnęła się, gdy jej oczom ukazało się czerwone serduszko wypełnione pralinami.

– Czekoladki – powiedziała do siebie.

Wyjęła ostrożnie pierwszą z brzegu słodycz i wsunęła do ust. Poczuli rozkoszny smak karmelu i czekolady. Czekoladki to przecież nic zdrożnego – tłumaczyła sobie. Nawet ładnie z jego strony, że dał mi niewinny podarunek na przeprosiny za zbyt hałaśliwe zachowanie. Jednak serce podpowiadało coś więcej. Myślał o mnie, kupił praliny, i to w kształcie serca. Martę zalała fala ciepła. Dotknęła rozpalonego policzka. Czy ja się mogę podobać? Czy on nie zauważył, że jestem starą kobietą? – pytała siebie w myślach. Służące oddawane jako małe dziewczynki do pomocy we dworach nie miały zbyt dużych szans na małżeństwo. Służyły do późnej starości, a potem, gdy przestały się nadawać do pracy, pomieszkiwały kątem u rodziny, jeśli ta chciała je przyjąć, a jeśli nie, kończyły w przytułku. Rzadko której udawało się wyjść za mąż, a najczęściej to właśnie mężatki w podzięce za kilkadziesiąt lat nienagannej służby były w wielkich majątkach obdarowywane skromnym, małym, drewnianym domem. Odchodziły wtedy wraz z mężem i wiodły godne życie do późnej starości. Przeprowadzając się z Karczewa do Warszawy, Marta śmiała się, że teraz będzie miała okazję poznać miłego mężczyznę, który się z nią ożeni. Mówiła to jednak w żartach, bo nie wierzyła, że w wieku trzydziestu dwóch lat może zwrócić na siebie uwagę. Znowu dotknęła dłonią policzka, jakby chciała się upewnić, czy nadal jest gładki. Zapewne ten cały Waldemar bałamuci wszystkie napotkane kobiety, a ja się ekscytuję – zganiła się w myślach i westchnęła głośno.

Za Warszawą krajobraz się zmienił. Gdziekolwiek na polach leżały jeszcze bure hałdy śniegu, droga stała się bardziej grząska. Marta oparła czoło o szybę i przyglądała się bezkresnej naturze. Szybko jednak porzuciła obserwację, bo chłód szyby przyprawił ją o dreszcze, a nogi ścierpły jej z zimna i zdrętwiały od siedzenia w jednej pozycji. Przechyliła się i sięgnęła po leżący na siedzeniu naprzeciwko niej pled. Zanim się nim otuliła, zdjęła płaszcz i ostrożnie położyła go na siedzeniu, by się nie wygniół ani nie skudłacił.

Zatrzymali się z Henrykiem tylko raz w przydrożnej gospodzie, by się ogrzać, a także nakarmić i napić konie. Ludzie ukłonili się Marcie w pas. Skrępowana niecodzienną sytuacją, przemknęła do wnętrza karczmy ze spuszczoną głową, nie zamieniwszy z nikim ani słowa. Właściciele gospody zaścielili jeden ze stołów białym obrusem, postawili przed wytwornie ubraną kobietą talerz ze smakowicie pachnącym bigosem oraz imbryk z herbatą.

– Kochana dobrodziejko, zechciej przyjąć od nas ten skromny posiłek w podarunku za wyświadczoną uprzejmość, że zechciała pani do nas wstąpić. – Gospodarz w ukłonach cofał się do pomieszczeń kuchennych. Jego żona wspięła się na palce i szepnęła mu coś do ucha, ale ten zaczerwienił się i zbeształ ją przy wszystkich: – Toż nie widzisz, że księżna w żałobie?! Ani mi się waży zagadywać. I wy też! – Rozejrzał się po izbie i zmierzył gości groźnym wzrokiem. Natychmiast spuścili głowy i zajęli się jedzeniem.

Marta przyjęła rolę, jaką jej omyłkowo narzucono, ale o mało nie parsknęła nerwowym śmiechem. Czuła na sobie ukradkowe spojrzenia współbiesiadników. Patrzyli na nią z ciekawością i z respektem. Nikt jednak po reprimendzie karczmarza nie zagadywał i nie prosił o jałmużnę. Zanim zaczęła jeść, poczekała na stangreta, czym wywołała ciche szepty dezaprobaty, bo niepodobnym było, by jaśniepaństwo bratało się ze służbą. Dwie siedzące młode chłopki okutane w szare kufajki dopatrywały się megalomanii w osobach pięknej pani i stangreta, ale panna Skowronek nie spoglądała na boki. Woźnica usiadł z nią do stołu i zanurzył łyżkę w brunatnej brei. Kapusta była kwaśna i rozgotowana, ale rozgrzała zmarznięte ciała kobiety i jej towarzysza podróży. Ciepło od kominka sprawiło, że Marcie opadły powieki, a zmęczenie dało się we znaki. Do Bielawy, gdzie zaplanowano nocleg, mieli jeszcze ponad trzy godziny jazdy, a w powozie mimo pledu panowało nieznośne zimno.

Do majątku Wolskich zajechali późnym popołudniem. Przed gankiem stał powóz, do którego odprowadzana przez gospodarzy właśnie wsiadała siostra pani domu, Adelajda Podolska, lecz na widok karety siostrzenicy zeszła ze schodków i z uśmiechem wpatrywała się w przybyszy. Klementyna i Ambroży Wolscy również stali zaintrygowani, w końcu Sara wyjechała od nich zaledwie dwa dni wcześniej. Nieco zaniepokojeni zastanawiali się, co się nagle wydarzyło. Kiedy bryczka z herbem Reszków się zatrzymała, Wolski skinął głową na ukłon woźnicy, po czym podszedł energicznym krokiem, by osobiście otworzyć córce drzwi i pomóc wysiąść. Jakież było jego zdziwienie, gdy w powozie ujrzał jedynie Martę Skowronek.

– A gdzie księżna? – Ambroży cofnął się o krok, nie podając służącej ręki.

– Jaśnie pani księżna Reszko użyczyła mi powozu, bo ojciec pilnie wezwali mnie do domu. Jedziemy do Sęp, a księżna Sara nakazała nam w Bielawie się zatrzymać – wyjaśniła niepewnie. Zastanawiała się, jak wysiąść z powozu, by nie przewrócić się na śliskich, wąskich schodkach. Henryk, który na szczęście zdążył zeskoczyć z kozła, podał jej rękę, na której się

wsparła. – Jadę na pogrzeb – dodała. – Księżna nakazała nam, byśmy tu w Bielawie przenocowali, bo konie muszą odpocząć – powtórzyła, tym razem bardziej szczegółowo.

– No proszę, to teraz służba książęcymi powozami się rozbija – prychnęła Adelajda. – Dobrze, że świadkiem tego bratania się jestem ja, a nie ktoś inny z naszego kręgu towarzyskiego, bo by was szybciotko wzięli na języki – zwróciła się do Klementyny Wolskiej. – Klementyno, porozmawiaj z córką. Ja jestem wyrozumiała, ale wiesz, do czego takie jednanie się doprowadza. Tylko do nieszczęścia. Jestem wdzięczna Sarze za uratowanie męża Marianny z opresji i naprawdę lubię tę moją niesforną chrześnicę, ale ludzie nie mają litości w osądach.

– Masz rację. Ja również nie pochwalam i nie rozumiem działań Sary. Stała się nieobliczalna, ale cóż, Ambroży zawsze jej bronił i rozpieścił ją niemożliwie. Teraz trudno jej cokolwiek wytłumaczyć. Ma swoje zdanie na każdy temat.

– No, skoro młodej kobiecie kupiliście wielki apartament w Warszawie, gdzie może mieszkać bez opieki męża czy czyjejkolwiek, to takie są właśnie skutki. – Machnęła ręką w stronę Marty. – Bez opieki, w dodatku pisze i wydaje książki. Kto słyszał takie rzeczy. Tylko czekać, aż ksiądz ją z ambony wyklnie.

– Jeśli do tej pory nie wyklął, to już nie wyklnie. Uważam zresztą, że Sara jest odpowiedzialną młodą kobietą. A że ma ambicje? No cóż, któż ich nie ma? – Ambroży Wolski rozłożył ręce. – Ja jestem z niej dumny.

– Za mocno ją rozpieściłeś, mój drogi, za mocno. Moja siostra ma rację i akurat w tym temacie się z nią zgadzam – zwróciła się Klementyna do małżonka. – Teraz zbieramy gorzkie żniwo zbyt luźnego wychowania.

– Skandal za skandalem. O ile jeszcze pisanie świat w jakiś sposób zrozumiał, o tyle przyjaźnienie się ze służbą jest nie do wybaczenia. Wspomnisz moje słowa, Klementyno – stwierdziła Podolska tonem nieznoszącym sprzeciwu i wyciągnęła dłoń, by szwagier pomógł jej wsiąść do powozu.

– Do zobaczenia, Adelajdo – rzucił na pożegnanie, ale ona nie odpowiedziała.

– Och, co z tej naszej córki wyrosło? – Matka Sary otuliła się szczerzej kaszmirową kremową chustą, przetykaną złotą nicią. – Że też książe Hipolit okazał się takim nikczemnikiem. Ta dziewczyna nie ma szczęścia w miłości – oświadczyła niepompna, że to za jej sprawą i na skutek jej kombinacji matrymonialnych córka popadła w ramiona tyrana.

– Już dobrze, kochanie. Nie denerwuj się. – Ambroży objął żonę ramieniem, nim jednak poprowadził do budynku, zwrócił się do woźnicy: – Henryku, uwolnij konie i zaprowadź do stajni. Do Sępa dostaniecie inną bryczkę. Rzeczywiście, nie godzi się, by zwykła służąca, nawet ulubienica mojej córki, jeździła książęcym powozem. – Zakłopotany Ambroży nawinął wąsa na wskazujący palec.

– Z całym szacunkiem, wielmożny panie, ale nie mogę zmienić powozu. Księżna Sara by się na mnie rozzłościła. Mam pannę Martę zawieźć do rodziny, a potem niezwłocznie wracać do Warszawy. Tak poleciła księżna Reszko. – Skłonił się z estymą, ale z całej jego postawy biła stanowczość, której ani Ambroży, ani Klementyna nie mieli odwagi się przeciwstawić. Znali uparty charakter swojej jedynaczki, w dodatku nie mieli śmiałości podważać jej autorytetu.

Matka Sary wysunęła się z mężowskiego ramienia i bez słowa weszła do budynku. Ambroży westchnął z dezaprobatą i ruszył za żoną. Marta stała na środku podjazdu, nie bardzo wiedząc, jak ma się zachować i co właściwie ze sobą zrobić. Henryk spojrział na nią ze współczuciem, po czym energicznie dźwignął jej niewielki kufer i ruszył przodem. Onieśmiona podreptała za nim do kuchni. Pachniało czosnkiem, ziołami i swojską kielbasą, wiszącą nad kaflową wielką kuchnią. Gertruda na widok Marty uśmiechnęła się szeroko. Znały się, bo obie kilkanaście lat służyły u Wolskich.

– Zapewne jedziesz do domu – bardziej stwierdziła, niż spytała kucharka. – Szmata czasu tam nie byłaś.

– Ano tak. Wezwali mnie, to jadę. – Marta Skowronek starała się nie okazywać zaskoczenia na widok zmian, jakie zaszły w starszej kobiecie. Gertruda straciła trzy przednie zęby, twarz usiała jej się zmarszczkami, a plecy zaokrągliły. Marta pomyślała ze smutkiem, że wkrótce Wolscy zatrudnią nową kucharkę, a starej podziękują, odsyłając ją pod opiekę krewnych, jeśli takich Gertruda posiada. Mnie też zapewne spotka taki los – uświadomiła sobie. Potem jednak przyszło jej do głowy, że jej pani jest inna. Lepsza. Na pewno nie zrezygnuje z moich usług tylko dlatego, że będę za stara do pracy – pocieszała się w myślach.

– Coś się tak zamyśliła? Rozbieraj się, nie stój jak słup soli. Jakiś była tu ostatnio, to spałaś jak jaka księżna na pokojach, ale coś mnie się widzi, że dziś nikt ci łóżka w pokojach na piętrze nie pościele. – Gertruda roześmiała się rubasznie, aż z tego śmiechu złapał ją kaszel i dusił dobrych kilka minut. – Przyjdzie ci spać na starych śmieciach – rzuciła, a widząc, że Marta nie podziela jej wesołości, dodała: – Nie przejmuj się, mało tośmy nocy wspólnie za piecem przespały. – Otarła łzy, które wycisnęła jej z oczu męczący kaszel, i chrząknęła jeszcze, odkasłując kilka razy.

– Wystarczy mi moje stare miejsce za przepierzeniem kuchennym.

– Tam, w wielkim mieście, u księżnej, pewnie dobrze ci się żyje. Masz swoją klitkę czy śpisz w kuchni? – Z głosu starej kucharki wyzierała autentyczna ciekawość.

– Mam piękny pokój z oknem. Jestem ochmistrzynią. Byłam nią już we dworze w Karczewie, tyle tylko, że teraz pracy mam znacznie mniej. Tylko na jedną noc tu zostaję, bo konie już dzisiaj dalej gnać nie mogą. Zresztą, za niedługo noc nastanie, to i tak daleko byśmy nie zajechali. – Ściągnęła płaszcz i rozejrzała się po kuchni, gdzie mogłaby go bezpiecznie położyć, w końcu ułożyła go na ławce pod ścianą. – Aż dziwne, że pani Adelajda Podolska na noc się wybiera.

– Ano tak. Noc za pasem. Wielmożna pani Podolska nie ma tak daleko, jest nadzieja, że zdąży przed nocą, a nawet jak nie zdąży, to jej woźnica zna tę drogę na pamięć. Wybierała się już od godziny i wybrać się nie mogła. Czekał, zaraz dla ciebie i Henryka naszykuję po dwie pajdy chleba ze smalcem i żur podgrzeję w rondlu. Pewnie zmarzliście, dziś taka pogoda, że lepiej nosa z domu nie wyściubiać.

Marta była ciekawa, co słyhać u Marianny Podolskiej, ale nie chciała wypytywać, bo wciąż czuła zażenowanie z racji sceny przed dworem i upokorzenie ze strony pani Adelajdy Podolskiej. Miała ją za wielkoduszną i wyrozumiałą kobietę. Tak samo zresztą jak panią Mariannę. Jednak do czasu. Gdy panna Podolska zamieszkała w Karczewie, przeżyły razem wiele

dobrych i złych chwil. Księżna Sara bardzo swoją kuzynkę kochała, ale Marta nie ufała jej do końca. Wielokrotnie była świadkiem mizdrzenia się Marianny do księcia Reszki. Hipolit Teofil Reszko był draniem, dopuszczał się przemocy na żonie, ale mimo wszystko spółkowanie Marianny z tym starym sarmatą i ubijanie z nim interesów choćby i w najszczytniejszych celach Marta uważała za haniebne. Wprawdzie Sara wybaczyła kuzynce Mariannie wszystkie podłości, ale Marta, niewykształcona i prosta kobieta, uważała, że kto raz dopuścił się nikczemności, ten do wszystkiego jest zdolny.

– Rozpadało się – oznajmił Henryk, wchodząc do kuchni. – W porę dojechaliśmy. Oby tylko w nocy ścisnął przymrozek, bo inaczej utknemy w tym błocie na zawsze – psioczył. Usiadł przy piecu i oparł zmarznięte dłonie o gorące kafle. – Coś, Marto, tak zmarkotniała? Martwisz się gadaniem jaśniepaństwa?

– Jakim gadaniem? – zainteresowała się Gertruda. Nakreśliła nożem znak krzyża na wielkim bochnie chleba, odłożyła nóż i spojrzała na Henryka.

– Księżna dała nam swój powóz. I to ten najpiękniejszy. Jakaśmy do karczmy weszli, to wszyscy się pannie Marcie kłaniali niczym księżnej. – Zaśmiał się jak z dobrego żartu. – Dostaliśmy piękny stół, obrus na nim zaścielono i jak jaśniepaństwo nas przyjęto, płacić nie kazano.

– E, to wy pewnie głodni nawet nie jesteście. – Gertruda z niewiadomych przyczyn poczuła się urażona, jakby jej ktoś osobisty afront uczynił.

– Żarcie było okropne, tyle że ciepłe. Ale jeść dla przyjemności się tego nie dało – skwitował Henryk. – Twój żur tak pachnie, że aż ślinka cieknie. Tęskniłem do smacznego jedzenia, tylko w Bielawie jest takie – podlizywał się.

– To w Warszawie kucharka źle gotuje? – Gertruda posmarowała pajdy grubą warstwą smalcu i położyła na desce.

– Bardzo dobrze gotuje – wtrąciła Marta, która właśnie nalewała wody do imbryka. – Nie narzekasz chyba, Henryku, na umiejętności kucharskie Anieli?

– Gdzieżbym śmiał. – Wzniósł zaczerwienione dłonie, a potem czmychnął spod karcącego spojrzenia Marty i usiadł przy stole.

– To mówicie, żeście przyjechali książęcą karetą. – Gertruda porzuciła kulinarne tematy. – No, no, toście zadali szyku i tematu do plotek. – Przygarbiona pokuśtykała do stołu. Marta nalała chochelką żur do dwóch misek i podsunęła jedną woźnicy, a drugą sobie. – Będą z tego kłopoty, mówię wam. To nie uchodzi, by służba, nawet choćby i najlepsza, jeździła po świecie jak jaśniepaństwo.

– Też tak myślę – konstatował Henryk z pełnymi ustami.

– To nie był mój pomysł. Księżna uparła się, bym jechała do Sęp jej powozem. Od razu wiedziałam, że to się w Bielawie nie spodoba. Ani nigdzie – powiedziała gorzko.

– Pogadają, pogadają i na gadaniu się zakończy. – Henryk przeżuwał smakowitą skórkę od chleba. – Księżna Sara jest najlepszą panią, jaką w życiu spotkałem. Źle o niej mówią, bo jej zazdroszczą. Ale pamiętaj, że ona nikogo się nie słucha i nie da ci, Marto, zrobić krzywdy.

– Pewnie tak, ale co krwi człowiekowi napsują, to napsują – oświadczyła Gertruda.

– No, na mnie czas. Pojadłem, ociepliłem się, a teraz idę spocząć. Przyjdę po pannę Martę, jak się rozwidni. Oby nam pogoda sprzyjała. Dobrej nocy, kobietki. – Otarł sumiaste wąsy i wyszedł do stajni, gdzie na stryszku woźnice mieli pokój.

Marta pozbierała ze stołu kubki, miski i deskę. Opłukała je i wytarła do sucha ściereczką. Czuła dziwny niepokój. Najchętniej położyłaby się na spoczynek, ale pragnęła wypytać Gertrudę, czy wie, co stało się w jej rodzinie. W końcu Wolscy jeździli do Sęp, a i służba z Bielawy nie raz, nie dwa zajeżdżała do dworu w Sępach. Nie wiedziała, jak zacząć rozmowę, gdy tymczasem okazja nadarzyła się sama, bo Gertruda zagadnęła:

– A po kim to żałobę nosisz? Umarł ci kto? Piękny płaszcz i suknia z dobrego materiału. Księżna cię rozpieszcza albo bogatego kawalera przygruchałaś sobie. W końcu swoje lata masz. W mieście łatwiej znaleźć miłość – oceniła.

– Nie mam kawalera – odparła Marta spokojnie, mimo że słowa nieco wścibskiej Gertrudy troszkę ją zabolały. – Księżna jest dla mnie jak najlepsza siostra.

– Zawsze cię rozpieszczała – przytaknęła kucharka, ale Marta nie pociągnęła tematu, za to wykorzystwała rozmowę, by zadać dręczące ją pytanie:

– Gertrudo, masz może nowiny z Sęp? Dostałam list od proboszcza, ale oprócz tego, że nakazał mi pilny powrót do ojców, nic więcej nie napisał. Pewnie matuchna lub tatko pomarli?

Czekając na odpowiedź, Marta Skowronek się zamyśliła. Na jej policzki wyszedł zamróz, stopy w trzewikach pulsowały od nagłej zmiany temperatury. Strzepała z czarnego materiału sukienki kilka okruszków chleba, nim spojrzała na Gertrudę. Bała się odpowiedzi. Nie pamiętała już rodziców, ale bez choćby jednego z nich stałaby się półsierotą. Kochała ojca i matkę, a właściwie fakt, że powołali ją do życia. Nie miała do nikogo żalu, że nie przyszła na świat w pięknym pałacu, tylko w chłopskiej chacie. Taki los, nie ma co się obrażać na Pana Boga, że nie każdego uczynił bogatym – rozmyślała.

– Nie, nie słyszałam żadnych nowin. – Gertruda spłoszona odwróciła wzrok. Niepotrzebnie, bo w kuchni zrobiło się niemal całkiem ciemno. Kucharka nie zapaliła świecy, a Marta nie śmiała o to poprosić. Smuga światła sączyła się z uchylonych drzwiczek pieca kaflowego. To nikłe źródło światła i ciepła sprawiło, że w obszernej kuchni zrobiło się przytulniej i intymniej. – To znaczy dochodzą do mnie strzępki informacji, ale sama nie wiem, w które wierzyć, a w które nie. Ludzie potrafią żyć plotkami i pomówieniami.

– Śmierć rodziców to żadna plotka – szepnęła Marta, bardzo już zmęczona.

– O śmierci twoich rodziców nie słyszałam – zaprzeczyła stanowczo.

– Ale o czymś słyszałaś, prawda? – Ochmistrzydni księżnej była więcej niż pewna, że kucharka coś przed nią ukrywa.

– Ano coś tam słyszałam. – Gertruda przejechała palcem po ceracie, rysując na niej wyimaginowane zygzaki. – Ale to tylko plotki, a plotek nie chcę powtarzać – zastrzegła nieco zmieszana. – Sama się jutro przekonasz, jaka jest prawda.

– Nie chcesz, nie mów – ucięła Marta. Bała się, że powie Gertrudzie o kilka niepotrzebnych słów za dużo. Miała żal do kucharki. W końcu tyle lat służyły razem w Bielawie, że przez szacunek i przyjaźń, jakimi się wzajemnie darzyły, powinna przygotować ją na to, co czeka ją w Sępach. Skoro nie pogrzeb, to co się tam wydarzyło? – zastanawiała się. Wstała od stołu,

dziękując w duchu za ciemność. Niegdyś nie zwracała uwagi na brak intymności. Rozbierała się przy Gertrudzie bez skrępowania, ale odkąd miała swój własny pokój i zaznała lepszego życia, dziwnie jej jakoś przychodziło ściągać z siebie garderobę. Rozsunęła białą kotarę zawieszoną na sznurku i w końcu się rozebrała. Przewiesiła sukienkę przez krzesło, ściągnęła trzewiki i postawiła je pod stołem, wlała do miski wodę z dzbanka, a potem dołała nieco ciepłej z imbryka i przemyła twarz i ramiona, a także dekolt, resztę wody wylała do wiadra. Gertruda poszła w jej ślady. Przymknęła drzwiczki od pieca, zanim wsunęła się na zapiecek. Kobiety leżały ramię w ramię na dość wąskim posłaniu. Kucharka mamrotała pod nosem słowa modlitwy, ale już po chwili zapadła w sen. Z jej otwartych ust najpierw wydobywał się świst, a potem już tylko od czasu do czasu głośnie chrapanie.

Marta Skowronek mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. We dworze w Bielawie spędziła niemal całe swoje życie, a teraz czuła się tu jak intruz. Państwo Wolscy, którzy ją tak lubili, zrobili jej afront o karetę, z której przecież poniekąd nie chciała nawet korzystać. Nie zagadnęli, nie pytali jej, co słychać, jak się ma. Nie byli ciekawi, jak jej się żyje w Warszawie, tylko obsobaczyli ją bezceremonialnie. I to przy pani Adelajdzie, która im wtórowała. A może to nie chodzi tylko o książęcy powóz? Gertruda też jakaś dziwna. Niby mnie ugościła, poczęstowała żurem i chlebem ze smalcem, ale mówić o niczym nie chciała i również mało zagadywała, a zawsze taka ciekawa najnowszych ploteczek była. – Marta nabierała coraz gorszych podejrzeń. Wierciła się z boku na bok. Deszcz przestał bębnić o szyby, ogień w piecu dogasał, gdzieś z daleka niosło się pohukiwanie puszczyka. Trapiąca niepokojem służąca przewróciła się na bok, ale w końcu i jej udało się zapaść w płytki, niespokojny sen.



Jasna poświata księżycyca rozpostarła srebrny parasol nad dworem w Bielawie. Rosnące wzdłuż drogi platany, śpiące jeszcze po długiej zimie, rzucały cienie na drogę prowadzącą do bramy. Na gołej ziemi uprzątniętej jesienią z liści skrzył się mroźny chłód nadchodzącego poranka. Do wschodu słońca zostały jakieś dwie godziny. Martę wybudził ze snu strach, którego nie potrafiła nazwać. Serce jej łomotało, a dłonie drżały. Wysunęła się spod ciepłej pierzyny, załatwiała potrzebę do kubła, a potem po omacku, jedynie przy księżycowej poświacie wpadającej przez okno, ubrała się w sukienkę, trzewiki, nałożyła toczek na głowę, założyła płaszcz, wzięła kubel z nieczystościami, by wylać je za oborą, a potem zakradła się do stajni. Uchyliła drewniane wrota najciszej jak potrafiła, ale i tak żeliwne zawiasy zaskrzypiały. Spłoszone konie zarżały niespokojnie, a z góry dały się słyszeć męskie przekleństwa. Marta zatrzymała się i nasłuchiwała. Pamiętała, że do pomieszczeń stajennych pomagierów idzie się po drabinie. Rżenie koni wybudziło ze snu śpiących na górze mężczyzn. Kobieta stanęła pod drabiną i chrząknęła, ale ze ściśniętego gardła nie chciały się wydostać słowa.

– Ki diabeł? – zawołał zaspany męski głos.

– Jest tam kto?! – wrzasnął tubalnie ktoś inny.

Marta przełknęła ślinę, chrząknęła cicho i dłuższą chwilę zbierała się, by zdradzić swoją obecność, a przede wszystkim wyjawić sprawę, z którą tu przyszła.

– Muszę rozmówić się z Henrykiem – wydusiła z siebie niezbyt głośno, stojąc pod drabiną.

– Z kim? Mówże głośniej, kobieto! – zniecierpliwził się któryś ze stajennych.

– Z Henrykiem, woźnicą księżnej Reszko – powtórzyła głośniej.

– Te, Heniek, jakaś baba do ciebie przylazła, zbudź się. – Zaśmiał się rubasznie jeden ze stajennych, a Marta starała się przypomnieć sobie, do kogo mógł należeć głos. Nie знаła nikogo takiego. Wolscy musieli nająć nowego chłopaka do koni, który nie grzeszył uprzejmością.

Z góry dochodziły niewyraźne pomrukiwania. Marcie zdawało się, że usłyszała swoje nazwisko wymienione z wulgarnym kontekstem. Tak, nie przesłyszała się, któryś z mężczyzn wymieniał jej nazwisko, a potem kilku stajennych się roześmiało. Miała dość. Znow odchrząknęła, zaczerpnęła tchu i zawołała zirytowana:

– Henryku, chcę już jechać, póki ziemia jest jeszcze związana przymrozkiem i nim się na dobre rozwidni.

– Ej, Heniek, wstawaj, panienska do ciebie przyszła – znow któryś robił sobie żarty. – To ta Skowronek, pewnie taka sama jak tamta. Niczego sobie kobity i chyba łatwe w użyciu. – Ktoś wymawiał te słowa cicho, ale jednak na tyle głośno, że dotarły do kobiety stojącej pod drabiną.

Marta Skowronek przysłuchiwała się chamskim żartom ze ściągniętymi brwiami i zmarszczonym czołem. To, że przyjechała do Bielawy powozem jaśnie pani, nie upoważniało nikogo do czynienia sobie pod jej adresem nieprzyzwoitych żartów. No chyba że... woźnica wygadał się, że dostała prezent od nieznanego mężczyzny. Czy to by znaczyło, że dworują sobie z jej kobiecej czci? O, niedoczekanie wasze! – pomyślała zeżłona.

– Nie życzę sobie podłych pomówień pod moim adresem! W niczym na nie nie zasłużyłam! – krzyknęła ostro, a rozmowy natychmiast ucichły, nikt też się więcej nie roześmiał. W stajni słychać było już tylko ciche parskanie koni i trzeszczenie drewnianej drabiny, gdy woźnica księżnej stawiał ciężkie stopy na szczeblach.

– Po co się tak pieklisz, Marto? Umówiliśmy się, że wyjeżdżamy, kiedy się rozwidni. Spać panna nie możesz? W dworskiej kuchni ciepło i za piecem wygodnie. Jeszcze się namarzniemy dzisiaj. Doskonale wiem, że mam cię zawieźć, ale nie rozumiem, dlaczego tak histeryzujesz – gderał, zapinając guziki płaszcza.

– Bardzo cię proszę, Henryku, wyjeźdźmy czym prędzej. Nie chcę być w tym miejscu. Czuję się tu niemile widziana. Dusza mi podpowiada, że powinniśmy wyjechać natychmiast. Jestem spakowana, a nawet w ogóle się nie rozpakowywałam – mówiła szybko, patrząc na mężczyzną stanowczym wzrokiem. Niewiele widział w mroku pomieszczenia, ale w głosie kobiety było coś takiego, że bez słowa zabrał swoje rzeczy, otrzepał ubranie ze słomy, krzyknął do chłopaków, by zaprzęgali konie do powozu, a sam udał się z Martą do kuchni po jej kufer. Odczuła ulgę. Po drodze chwyciła wiadro, z którego zdążyła wylać nieczystości i ruszyła za Henrykiem. Gertruda jeszcze spała, więc nie budząc jej, ukroiła na drogę po grubej kromce chleba, posmarowała smalcem, złożyła je smarowidłem do siebie i owinęła lnianą ściereczką.

Noc ustąpiła rześkiemu wczesnemu porankowi, gdy karetą sunęła wolno platanową aleją. Henryk żegnany przez ziomek wypił na drogę pół szklanki siwuchy, by nie zmarznąć na koźle. Po prawdzie, to on też wołał zejść z oczu jaśnie wielmożnym państwu. Lubił pana Ambrożego, bo ojciec Sary często z nim żartował, częstował tytoniem i zagadywał, jak mu się mieszka w Warszawie, ale zważywszy, że korzystali z najlepszego powozu księżnej tylko dlatego, by służąca mogła dojechać do rodziców, co nawet i jemu wydawało się na swój sposób świętokradztwem, wołał uniknąć porannej konfrontacji. Już wcześniej przewidywał w duchu, że taka nonszalancja się w Bielawie nie spodoba, a i w Sępach z pewnością narażą się na krytykę. Bardzo lubił ochmistrzynię Martę Skowronek i tym bardziej współczuł jej położenia, w jakim się nieopatrznie znalazła. Nie chodziło tylko o powóz, bo o tym plotkowano by kilka tygodni, a potem obrano by sobie inny temat do plotek. On już wiedział, że wydarzyło się jeszcze coś, z czym rodzina Marty, a i zapewne ona sama, będą musieli się zmierzyć. Nie był wyklewnym człowiekiem, więc nie ujawnił się z posiadaną wiedzą, nie chciał też być posłańcem złych wiadomości. Oszczędził pannie Skowronek zmartwień. Przecież i tak za kilka godzin będzie musiała się z nimi zmierzyć.

Martą szarpał coraz większy strach. W uszach wciąż brzmiały wulgarne głosy stajennych i prześmiewcze słowa, gdy mężczyźni niefrasobliwie wymieniali w stajni jej nazwisko. Wyrażanie sobie folgowali, przywołując najprymitywniejsze skojarzenia. Skuliła ramiona, ale po chwili je wyprostowała i podniosła dumnie podbródek, jakby już toczyła walkę z niewidzialnym przeciwnikiem. Potem przypomniała sobie zmieszanie Gertrudy i doszła do wniosku, że musiało stać się coś zaskakującego. Skoro kucharka twierdziła, że nie słyszała, by któryś z rodziców umarł, to co u licha się takiego wydarzyło, że w pisanie listu do niej zaangażowano samego proboszcza.

Żeby oderwać myśli od nieprzyjemnych gdybań, oparła czoło o szybę. Natychmiast poczuła zimno, ale nie cofnęła głowy. Popatrzyła na bezkresne pola i na strzeliste sosny rosnące hen za miedzą. Usłyszała głośny skrzek żurawi i pomyślała o wiosnie. Wkrótce nadejdzie. Zapewne już gdzieś kielkują przebiśniegi. Tak bardzo czekałam na wiosnę w Warszawie, ale kto to wie, co jest mi pisane – zamyśliła się. Przed oczami ujrzała wesołe niebieskie oczy pocztyliona i nagle ciepło musnęło jej serce. Przypomniała sobie o słodkich pralinach pozostawionych wczoraj pod pledem. Oderwała czoło od szyby i spojrzała na siedzenie naprzeciwko. Pled leżał równo złożony, sięgnęła ręką pod spód, ale pudełka nie wymacała. Podniosła puchowy materiał i ze smutkiem odkryła, że praliny zniknęły. Nie było nawet pudełka w kształcie serca. Zapewne chłopak stajenny zabrał je, gdy sprzątał powóz. Posmutniała. Czuła się, jakby ją okradziono z bezcennej rzeczy, a nie tylko z czekoladek.

W połowie drogi do Sęp Henryk zatrzymał konie, zeskoczył z kozła i spytał, czy Marta chce wysiąść. Chciała. Pomógł jej więc zejść po schodkach, a ona wręczyła mu pajdę chleba ze smalcem. Jedli w milczeniu, a gdy skończyli, woźnica zaczął postukiwać czubkiem trzewika o twardą ziemię, spuścił głowę i nad czymś się zamyślił. Marta zastanawiała się, czy chce jej coś powiedzieć, a ponieważ milczał, uznała, że jej się zdawało. Spojrzała w niebo, a jej myśli powędrowały do apartamentu księżnej Sary. Aniela już rozpala pod kuchnią, a Mela i Frania noszą drwa do kominków. Potem któraś z nich, pewnie Frania, bo jest mniej roztrzepana, pójdzie na targ po warzywa...

– Marto...

Głos Henryka wyrwał ją z zamyślenia. Spojrzała na mężczyznę, ale on dalej kopał czubkiem buta w ziemię i stał ze spuszczoną głową. Nie wiedziała, czy przypadkiem się nie prześluszyła.

– Mówiłeś coś?

– Może... gdy dojedziemy do Sęp... zostaniesz w powozie... – szarpał słowa cichym, przyduszonym głosem, jakby to, co chce powiedzieć, sprawiało mu wielką przykrość. – Twoja obecność... może być tam źle odebrana...

Marta westchnęła. Przeklęła w duchu użyczenie powozu przez księżną Reszko. Doskonale zdawała sobie sprawę, że wynikną z tego same kłopoty. Musiała przyznać Henrykowi rację, nie powinna ujawniać swojej obecności. Po co narażać panią Sarę na obmowę.

– Masz rację, nie wysiądę z powozu. Nie ma takiej potrzeby. Sam spytasz w Sępach, gdzie znajduje się dom Skowronków. Niepotrzebnie księżna uparła się, bym jechała powozem. W Sępach zostanie to z pewnością równie źle przyjęte, może nawet gorzej niż w Bielawie.

– Tak, to też – stwierdził lakonicznie woźnica i przestał pukać butem w ziemię.

– Co to znaczy „też”? Jest coś jeszcze, co zostanie źle przyjęte? – zdziwiła się nieprzyjemnie. Złodowaciale palce zadrzały, a kanapka wysunęła jej się z rąk i upadła na wilgotną ziemię. Stado wron na polu poderwało się i przyfrunęło nieco bliżej, kracząc przy tym głośno, jakby plaskająca smalcem do dołu kromka chleba wyjątkowo je zachwyciła.

– O masz ci los, co za niefart. – Woźnica zrobił ruch, jakby miał zamiar schylić się i sprawdzić, czy pajda nadaje się do zjedzenia, ale oczywistym było, że się nie nadaje. Mokry piach i czarna ziemia upstrzyły górną stronę kromki małymi kropkami.

– Henryk, znamy się dobrych kilka lat, możesz mi powiedzieć, co się dzieje? Na pewno wiesz, co się wydarzyło w moim rodzinnym domu. Słyszałam rozmowy i wstrętne chichot stajennych, a także moje nazwisko...

– To prostytutki, nie ma co sobie języka strzępić ich paplaniną. Nie rozmawiałem z nimi. – Odwrócił twarz i znów zaczął czubkiem trzewika stukać o twarde podłoże. Widziała, że mija się z prawdą.

– Jedźmy już – rzuciła, a Henrykowi żal się zrobiło kobiety. Zastanawiał się, co ma zrobić, nabrał już powietrza i otworzył usta, ale stchórzył. Sapnął tylko niczym stary wysłużony pies, poczłapał do powozu i w milczeniu otworzył przed kobietą drzwi. Ona też już nie prosiła o nic. Zagryzła wargę, oparła się o wytworny adamaszkowy zagłówek i zapatrzyła w okno. Nie widziała mijanych pól i lasów ani małych wiejskich chat krytych strzechą. Nie zwracała uwagi na chłód ani na niewygody podróży. Po zachowaniu Wolskich, ale też Gertrudy i Henryka domyśliła się, że stało się coś bardzo złego.

Po niecałych trzech godzinach jazdy dotarli do dworu w Sępach. Odźwierny wybiegł przed biały budynek stróżówki i skłoniwszy się nisko, otworzył bramę wjazdową. Marta wcisnęła się w adamaszkowe oparcia, byleby tylko nikt nie zauważył jej obecności. Sprzed budynku zerwały się cztery charty i ujadając na całą okolicę, biegly w stronę powozu. Przed drzwiami pięknie utrzymanego dworu pospiesznie wyszedł kamerdyner, krzyknął na psy, a kiedy to nie poskutkowało, gwizdnął ostro. Charty szczeknęły jeszcze z rozpędu kilka razy, ale po paru sekundach zawróciły w stronę budynku. Powóz Reszków zatrzymał się przed gankiem i kamerdyner zszedł z szerokich schodów, by otworzyć niespodziewanemu gościowi drzwi. Henryk zeskokczył z kozła w momencie, gdy lokaj państwa Sępińskich właśnie rozkładał metalowe schodki.

– Witam wielmożną panią. – Skłonił się i wyciągnął do Marty rękę, by kobieta się na niej wsparła.

– Witam pana, pozostanę w powozie – odpowiedziała zdumionemu mężczyźnie. Ten cofnął się natychmiast, ale zaskoczony dziwacznością sytuacji, drzwiczek na powrót nie zamknął, spojrzął na stangreta, którego kojarzył z widzenia, kiedy to jeszcze księżę Reszko bywał w Sępach, ale było to dość dawno, jeszcze przed ślubem z panną Wolską, natomiast siedzącej w karecie damy nie widział nigdy.

– Czy mógłbym uzyskać informację... – zaczął Henryk, ale nie skończył, bo z budynku wyszli państwo Rozalia i Dionizy Sępińscy.

– Alfredzie, dlaczego nie pomagasz gościom wysiąść z powozu? – Dionizy Sępiński patrzył na swojego kamerdynera, jakby ten nagle oszalał.

– Wielmożna pani nie chce wysiąść z powozu... – wydukał kamerdyner, równie oszołomiony jak jego chlebobdawcy.

– Ależ doprawdy... księżna Reszko... nie chce wyjść z powozu? Dlaczego? – Zdezorientowana Rozalia Sępińska spoglądała to na kamerdynera, to na męża. W oczach oprócz niepo miernego zdziwienia dostrzec można było również pewien niepokój lub też zawstydenie. Zrobiła krok w stronę powozu, ale zatrzymała się i zaraz się cofnęła. Jeszcze nigdy nikt nie postawił jej w tak niezręcznej towarzysko sytuacji.

– Ja wielmożnemu państwu wytłumaczę. – Henryk, klnąc w duchu na cały świat, skłonił się nisko przed skonsternowanymi właścicielami majątku, odchrząknął i miętosząc czapkę w dłoniach, rzekł: – W powozie jest tylko ochmistrzyni księżnej Reszko. Jedziemy na pogrzeb w jej rodzinne strony. Księżna użyczyła karety, by łatwiej było dotrzeć.

– Ach tak – bąknęła wciąż zdziwiona pani Rozalia. – To niebywały gest – dodała.

– Chcesz napić konie? Coś potrzeba? Jeśli tak, to stajenny się tym zajmie. – Jejmość Sępiński również wydawał się zaskoczony.

– Nie, niczego nie potrzebujemy. Jesteśmy już właściwie u celu. Nie wiemy tylko, gdzie dokładnie znajduje się dom rodziny Skowronków.

– Skowronków?! – zawołali jednocześnie Rozalia i Dionizy, a kamerdyner cofnął się dwa kroki tak raptownie, jakby spodziewał się jakichś gwałtownych ruchów ze strony jaśniepaństwa. I rzeczywiście, niemłoda już dama uniosła rąbek ciemnozielonej sukni i zbiegła po szerokich stopniach prosto do otwartych drzwiczek powozu. Mąż nieco spokojniej ruszył za nią. Marta chciała wstać, ale w powozie było zbyt nisko, bała się zejść po śliskich i chwiejnych stopniach, a Henryka nie było w zasięgu jej wzroku. Na widok zagniewanych twarzy właścicieli majątku przybrała pozycję półsiedzącą, schyliła głowę i czekała na nieprzyjemności, których była więcej niż pewna. I nie myliła się.

– Ty jesteś od Skowronków? – Kobieta wymierzyła w Martę palec wskazujący.

– Tak, proszę pani – odpowiedziała Marta grzecznie. Naraz podniosła głowę. Nie miała się czego wstydzić. Jej rodzice służyli tu całe swoje życie, a ona tu we dworze w Sępach przyszła na świat. To zapewne za sprawką Sępińskich została oddzielona od rodziców i oddana na służbę do Bielawy. – Nazywam się Marta Skowronek i jestem ochmistrzynią u księżnej Sary, Leokadii Reszko.

– Na czyj pogrzeb ty się wybierasz? – Sępińska wbiła w nią chmurne spojrzenie. Nim jednak Marta zdążyła cokolwiek wyjaśnić, w kobietę wstąpiła furia. Twarz jej poczerwieniała, a dłonie zacisnęły się w pięści: – Proszę natychmiast się stąd wynosić. Natychmiast! Kłamczucho, nikt ci nie umarł. Nie ma w Sępach żadnego pogrzebu ani nawet nikogo ciężko chorego. Pewnie księżną Reszko też oszukałaś, żeby wygodnie do ojców zajechać i ludziom się pokazać!

– Ależ, ależ proszę pani... – Marta chwyciła się za serce, niezdolna wykrztusić więcej ani słowa.

– Już dobrze, już dobrze, moja kochana duszko. – Sępiński otoczył żonę ramieniem i odciągnął w stronę budynku. Kobieta rozsłochała się żałośnie, a Marta struchlała. Opadła na siedzenie, mrugając energicznie, jakby chciała odpędzić sprzed oczu zjawę. Henryk podszedł pośpiesznie i zatrzasnął bez słowa drzwi karety, wskoczył na kozła, zdzielił batem konie i w asyście ujadających psów ruszył sprzed podjazdu. Przy otwartej bramie stał odźwierny, dał ręką znak Henrykowi, by zwolnił, a gdy konie stanęły, zwrócił się do woźnicy konspiracyjnym szeptem.

– Do Skowronków niedaleko. Dziesięć minut drogi stąd. Na końcu drewnianych chałup. Ich chałupa pomalowana na żółto i dwie ławki wystrugane koło płotu stoją.

– Dziękuję, przyjacielu. Ależ się rozwrzeszczeli. – Machnął głową w stronę dworu. Stróż chciał coś powiedzieć, ale obaj mężczyźni machinalnie spojrzeli za siebie. Dionizy Sępiński

stał na szerokich schodach, palił fajkę i nie spuszczał z oczu powozu Reszków. Odźwierny odskoczył od karety i cofnął się do stróżówki, a Henryk znów strzelił z bata. – Wio! – zawołał. Konie ruszyły, ciągnąc za sobą elegancką karekę. Marta popadła w dziwny stupor. Patrzyła przed siebie na siedzenie naprzeciwko, ale go nie widziała. Jak oni mogli tak mnie potraktować? Jak mogli? Gotowała się w niej wściekłość na tych bogatych ludzi, którzy ludzki los i godność swoich poddanych mieli za nic. Za kilkadziesiąt lat służby takie podziękowanie spotkało moich rodziców – uświadomiła sobie i pokręciła głowę z dezaprobatą. Niepokój, który ją trapił od momentu otrzymania listu, teraz przemienił się w paniczny strach. Ze słów Sępińskich wynikało, że rodzice żyją, no więc, co się tutaj wydarzyło? – rozmyślała przerażona.



Kareta zaprzęzona w dwa konie toczyła się wolno po nierównym grzęskim gruncie, ale gdy stangret zauważył pierwsze drewniane chałupy, zza chmur wyrzało słońce. Umorusana dzieciarnia wybiegła na drogę, a gdy powóz wtoczył się między niskie domy kryte strzechą, chłopcy zaczęli biec na wyścigi po obu stronach karety tuż przy kołach. Ta niecodzienna asysta dzieci i psów oraz wzajemne pokrzykiwania i szczekanie kundli sprawiła, że niemal wszyscy mieszkańcy małej osady wyszli przed domy. I starsi, i młodszy, wiedzeni niecodziennym zdarzeniem i ciekawością, podążyli za powozem, wymieniając między sobą przypuszczenia, cóż takiego sprowadziło na tę wiejską osadę, położoną tak daleko od wielkiego świata, jaśnie wielmożnych państwa.

Kilka sąsiadujących ze sobą domów otoczonych było lichymi płotami ze sztachetek, przed jednym z nich stały dwie ławki. O tej porze dnia nikt na nich nie siedział. Henryk przypomniał sobie słowa odźwiernego z Sęp i ściągnął lejce. Konie przeszły do truchtu, a po chwili stanęły. Tłum gapiów podążający za powozem gęstniał. Niektórzy zaczęli się przepychać, by być bliżej widowiska. Z pomalowanego na żółto drewnianego budynku krytego strzechą wyszło dwoje starszych ludzi. Kobieta poprawiła chustkę na głowie i przysłoniła dłonią oczy. Mężczyzna stanął nieco z tyłu. Jego lekko przygarbione plecy sprawiały wrażenie, jakby życie go przytłoczyło.

– Pochwalony – zawołał Henryk. Zeskoczył z kozła, uchylił czapkę i skłonił głowę.

– Pochwalony, pochwalony – dało się słyszeć ze wszystkich stron.

Marta w powozie mocno zacisnęła powieki, złożyła ręce i gorliwie wyszeptała słowa modlitwy, a kiedy drzwi karety się otworzyły, spojrzała w oczy Henrykowi, szukając w nim wsparcia. Mężczyzna podał jej dłoń i pomógł wyjść. Gdy stanęła na mokrej, grząskiej ziemi, strach nagle ją opuścił. Podniosła głowę i uśmiechnęła się do starszej kobiety, która szła do furtki. Nim Marta zdążyła się odezwać, staruszka w kwiecistej chustce na głowie i granatowej szerokiej spódnicy do ziemi, przepasanej szarym fartuchem, uklękła przed nią i pocałowała ochmistrzynię w dłoń, to samo zrobił stojący za nią mężczyzna.

– Ależ proszę przestać! – Marta wyrwała rękę i schowała za plecy, bo gapie też podchodzili bliżej, by się jej skłonić i zapewne przywitać. – Szukam Marii i Józefa Skowronków. Gdzie mogę ich znaleźć?

– To na mnie wołają Józef Skowronek. A to moja żona Maria. Czym mogę wielmożnej pani służyć? – Starszy, szczupły mężczyzna wciąż stał z uniesioną pochyloną głową, podnosił co chwilę wzrok, by zaraz go opuścić, widać było, że nie ma śmiałości spojrzeć takiemu gościowi w oczy.

– Ojczy, matko! – Marcie głos nagle się załamał. Teraz ona chciała ucałować dłoń mężczyzny, ale ten natychmiast się odsunął i osłonił przed przybyłą swoją żoną.

– Co też wielmożna pani... – wyszeptał. Patrzył na córkę, jakby ta postradała zmysły. Po zgromadzonych przeszedł szmer. Oni również wpatrywali się z niedowierzaniem. Stali tak naprzeciw siebie nieporuszeni dobrych kilka minut. Nawet psy zamilkły. Woźnica Reszków w tym czasie ściągnął kufer i postawił obok ławki na kępie suchej trawy.

– Żegnaj, Marto. Do zobaczenia w Warszawie – rzucił i nie czekając na odpowiedź, wdrapał się na kozła, strzelił lejcami i odjechał.

– Mamo, tatko, to ja, Marta, wasza córka. Pisaliście do mnie. – Nagła suchość w gardle uniemożliwiła swobodną wypowiedź, nie mogła też przełknąć śliny. Stała w oczekiwaniu na reakcję matki i ojca.

– To się wam ustawiła córka w szerokim świecie. Bogato żyje, na wielką panią zrobiona. – Gapiom przeszedł pierwszy szok. Zaczęli komentować sytuację i przekazywać sobie z ust do ust nowinę, że córka Skowronków przyjechała niczym wielka pani.

– Marta? Moja Marta? Dziecko moje... – Maria Skowronek wzięła do ręki rąbek fartucha i otarła łzy. Podeszła nieśmiało do córki, lecz zamiast ją przytulić, pogłaskała spracowaną dłoń materiał czarnego eleganckiego płaszcza. – To naprawdę ty, córeczko?

– Tak, ja, mammo. To naprawdę ja. – Marta objęła niższą od niej o głowę, trochę przygarbioną kobietę. Stały przytulone do siebie, oszołomione i niepewne tego, z czym przyjdzie im się zmierzyć. – Tatko, nie poznajesz mnie, ale to naprawdę jestem ja, twoja córka. – Przeniosła wzrok na mężczyznę.

– Trudno poznać, oczom uwierzyć i rozumowi. – Patrzył na nią jak na pięknego egzotycznego ptaka, który przyleciał tu tylko na chwilę. Nie podchodził do córki, onieśmielenie mu na to nie pozwalało.

– Wyrosła wam córka na prawdziwą damę. Oj, nie pasuje ona teraz tutaj, w waszej chałupie jej nie w smak będzie – wołali gapie jeden przez drugiego. – Pewnie jakiegoś bogatego starca sobie przygruchała.

– Mamo, tatku, nie zaprosicie mnie do środka? – Marta nie chciała na oczach ciekawskich sąsiadów roztrząsać rodzinnych spraw. I tak czuła się wystarczająco skrępowana. Ojciec przeszedł dwa kroki i odsuwając najbliższych gapiów, chwycił stojący przy sztachetkach kufer podróżny, a Maria z Martą weszły do izby. Dopiero w środku matka podniosła ręce i przejechała wewnętrzną stroną dłoni po policzkach młodej kobiety.

– Aleś wyrosła, dziecinko. Aleś wyrosła – powtórzyła.

Marta schyliła się i położyła głowę na ramieniu matki.

– Wyrosłam, ale wciąż jestem twoim dzieckiem, mammo. – Pocałowała pomarszczony policzek Marii.

– Wyrosłaś na piękną panią. Czasami donosili mi ludzie, że dobrze ci się żyje gdzieś daleko w świecie. Cieszyłam się twoim szczęściem, dziecinko. Bardzo się cieszyłam. – Matka pogładziła materiał jej płaszcza i uśmiechnęła się melancholijnie. – Pewnikiem jakieś dostała list od proboszcza, to myślałaś, że nam się pomarło.

– Tak, matuchno, tak pomyślałam. W liście nie było napisane...

– Ano nie było. – Matka westchnęła głęboko i podeszła do paleniska. Na żeliwnej, dość wysłużonej kuchence z czterema fajerkami stał gar ziemniaków. Gorąca para wypełniała niewielką izbę.

– Ładnie mieszkacie.

Marta rozejrzała się po ubogim wnętrzu. W rogu obok żeliwnej kuchni, na długiej niskiej ławie stały dwa wiadra z wodą. Nad nimi na ścianie wisiało białe płótno z wyhaftowanym ma-

łym aniołkiem z trąbką. Ochmistrzyńni uśmiechnęła się do obrazka, bo trąbka przywołała na myśl miłe i bliskie jej sercu skojarzenia. Pod oknem stał stół i trzy taborety, a na wprost ściany z wiadrami pomalowany na biało staroświecki kredens. Klepisko, zapewne rano posypane świeżym piaskiem, już zdążyło się nieco zabrudzić.

– Szmat czasu się nie widzieliśmy. – Ojciec zamknął drzwi i zaniósł kufer do drugiego pomieszczenia.

– Ładny salon – pochwaliła, wchodząc za nim.

– Taki jak wszędzie – skwitował, wciąż zmieszany widokiem eleganckiej kobiety, w której trudno było mu odszukać własne dziecko.

– Naprawdę bardzo ładny – upierała się. Pokój szumnie przez Martę nazwany salonem był jednym z dwóch pomieszczeń w tym domu. Niemal całą ścianę na wprost okna zajmowało łóżko małżeńskie, nad nim u wezłowania wisiał namalowany święty obrazek przedstawiający Maryję z Dzieciątkiem. Przy łóżku na środku pokoju stał stół i cztery proste krzesła. Po prawej stronie łóżka stały obok siebie komoda i trzydrzwiowa toaletka. Po przeciwnej stronie mały żeliwny piecyk i trzydrzwiowa szafa, zaś przy ścianie z oknem, nieco z boku, pojedyncze łóżko. Oba zaścielała zrobiona na szydełku kolorowa narzuta. Na podłodze pod jednym i drugim łóżkiem leżały słomiane maty. Na oknie zasłoniętym białą ręcznie wydzierganą firanką rosły w glinianych doniczkach paprocie.

– Pokój jak pokój. Prosta chałupa, ale i z nas prości ludzie, nie potrzebujemy innej – tłumaczył się ojciec ze skromności pomieszczenia. – Oby tylko ta do śmierci nam posłużyła – dodał. Postawił kufer pod oknem, spojrzął na córkę, zdawało jej się, że ojciec chce coś powiedzieć, lecz ten tylko sapnął, odwrócił się i skierował do kuchni. – Rozgość się – rzucił jeszcze, robiąc nieokreślony ruch ręką, i już go nie było.

Marta zdjęła płaszcz, podeszła do szafy i otworzyła drzwi. Stare drewno jęknęło przeciągle. Odwiesiła płaszcz na drewniany wieszak i zdjęła toczek z głowy. Trzymając go w ręku, zastanawiała się, gdzie ma go położyć, żeby się nie zgniół. W końcu położyła go na dół szafy na stosiku poskładanej pościeli. Ściągnęła czarną sukienkę i wyjęła z kufra granatową spódnicę i szary kaftan. Gdy na powrót weszła do kuchni, ojciec odcedzał kartofle, a matka mieszała coś na patelni. Smakowity aromat podsmażanej na smalcu cebulki rozszedł się po pomieszczeniu. Dopiero teraz dziewczyna uświadomiła sobie, że niewiele tego dnia jadła. Jedyna pajda chleba spadła jej na ziemię po skosztowaniu zaledwie dwóch kęsów.

– Teraz bardziej przypominasz naszych – ucieszyła się matka. – W tej wytwornej sukni, pięknym płaszczu i w tym maleńkim kapelusiku nie miałam śmiałości z tobą rozmawiać – wyznała.

– A skąd ty masz te ładne rzeczy? – W głosie ojca czaiły się podejrzenie i niepokój. Przesiadł na stołku pod oknem i mierzył córkę przenikliwym wzrokiem.

– Moja pani mi je sprawiła, żebym na pogrze... – Umilkła nagle, chrząknęła i roześmiała się. – Żebym ładnie wyglądała, jak przyjadę w rodzinne strony i wstydu rodzinie nie przyniosła – odpowiedziała weselszym tonem.

– I powóz ci dała? – Ojciec wciąż nie dowierzał słowom córki.

– Ano dała, tatko, księżna Reszko jest bardzo dobra, mądra i hojna. No i chyba się bała, że zgubię się w drodze, jeszcze nigdy nigdzie sama nie jechałam. Tyle tylko, że z tym powozem, to nie był najlepszy pomysł – dorzuciła poważniejszym tonem.

– Ludzie będą gadać, że pańskim powozem jeździsz, na języki cię wezmą. Nie godzi się, żeby zwykła służąca za panią się przebierała, nigdy nic dobrego z tego nie wynikło. – Matka wyłożyła na blaszaną miskę ziemniaki, polała je tłuszczem z cebulą i postawiła na środku stołu, a następnie wyjęła z szafki trzy drewniane łyżki, jedną podała mężowi, jedną córce, a jedną zostawiła sobie. – No, częstuj się. Z drogi jesteś, to pewnie i głodna.

Marta nie dała po sobie poznać, jak bardzo zaskoczył ją fakt, że rodzice jedzą ze wspólnej miski. Czegoś takiego nie praktykowano w Bielawie ani w Karczewie, a tym bardziej w Warszawie. Służba jadła w kuchni, ale mieli swoje talerze i sztućce. Sięgnęła po ziemniaka i włożyła do ust. Smakował wyśmienicie. Pochyliła się i sięgnęła ponownie, i jeszcze raz. Jedli w milczeniu, każde pogrążone w swoich myślach. Po posiłku Maria wstała, żeby posprzątać ze stołu, ale córka ją uprzedziła.

– Pozwól, mamó, że ja to zrobię.

– Odstaw tylko miskę na zimny fajerek i nałóż przykrywkę na resztę ziemniaków, będzie na zaś. A łyżki wrzuc do miski z wodą, bo jak gotowane ziemniaki je oblepią i przyschną, to nijak nie idzie ich oderwać. – Obrócona bokiem, przyglądała się krzątającej się młodej kobiecie.

– Pewnie zastanawiasz się, po co cię ściągaliśmy z wielkiego świata? – zagadnął Józef.

– Tak, tatku, zastanawiam się. – Marta z powrotem usiadła przy stole. – Kiedy dostałam list od proboszcza, pierwsze, co pomyślałam, to że któremuś z was się pomarło. Potem już wiedziałam, że to nie o to chodzi. Byłam we dworze w Sępach pytać o drogę do was, tatku... – Zamilkła nagle, przerażona, bo matka wybuchła płaczem. – Mateczko, co tobie? – Pogładziła jej pomarszczoną dłoń. – Co tobie, matuchno kochana?

Ojciec wstał, wyciągnął rękę i na górze kredensu wymacał woreczek. Wyciągnął z środka fajkę, a potem ściągnął sznureczek i delikatnie zgniótł woreczek z tytoniem, znów rozwiązał i zaczął starannie nabijać fajkę. Skupił na tej czynności całą swoją uwagę. Matka otarła rąbkiem fartucha łzy, popatrzyła na męża, któremu nie pozwalała palić w izbie, ale tym razem nie zwróciła mu uwagi. Rozumiała go. On nie potrafił płakać, musiał czymś zająć ręce i ukoić skołataną nerwy.

– Co ci w Sępach powiedzieli? – spytał w końcu, gdy na powrót usiadł do stołu.

– Nie mnie, tylko woźnicy, bo ja nie chciałam się afiszować swoją osobą w tym książęcym powozie. Już w Bielawie kręcili nosem na fanaberie mojej pani. Niepotrzebnie dałam się namówić na podróż kareta – rzuciła z westchnieniem.

– Niepotrzebnie, córko – przyznał Józef. – I bez tego ludzie o nas gadają.

– Co gadają? – Starła się spojrzeć ojcu w oczy, ale ten, wciąż ubijając tytoń, patrzył na fajkę.

– Straciliśmy posady w Sępach – chlipnęła Maria. – I Józef, i ja. Po tylu latach ciężkiej pracy.

– Ale dlaczego? Przez ludzkie gadanie? – dopytywała ochmistrzyni, patrząc to na jednego rodzica, to na drugiego.

– Nie, nie przez gadanie. Młody panicz z Sęp się zaręczył. Miało być wesele, ale się wszystko zepsuło. – Ojciec skończył nabijać fajkę, ale zamiast podpalić i wziąć do ust, odłożył ją na stół i zamilkł.

Matka chlipnęła cicho, gdzieś za oknem zapał kogut, a kilka chwil później zaszczeakał pies. Marta nie ponaglała rodziców, widziała, że to, co chcą wyznać, jest dla nich bardzo trudne. Zachodziła w głowę, co miało wspólnego wesele młodego dziedzica z ich utratą posiadłości. Jednak milczenie tak długo się przeciągało, że w końcu dotknęła ojcowskiej dłoni i szepnęła:

– Co się stało? Powiedz, tatku.

– Nasza Ludwika się koło niego zakręciła – wyrzucił z siebie szybko i ze wstrętem.

– Ludwika? Przecież ona ma... – Marta starała się obliczyć w duchu, ile lat ma jej najmłodsza siostra, z którą się ostatnio widziała, gdy ta była jeszcze niemowlakiem.

– To jej osiemnasta wiosna – wtrąciła cicho matka. – A głupie toto, uparte.

– Najgłupszy wiek u kobiety. – Ojciec wzruszył ramionami. – Najgłupszy – powtórzył. Szczęka mu się zacisnęła i Marta domyślała się, że buzuje w nim złość i gniew.

– I Ludwika zbałamuciła panicza, tak? I tylko dlatego odwołali ślub i wesele? Mało to paniczów ugania się za służkami? – Marta przypomniała sobie przerażenie młodziutkiej Sary tuż po nocy poślubnej, a także późniejsze zdrady księcia Hipolita ze służkami, dwórkami, a nawet z kuzynką Sary, Marianną.

– Jego przyszła żona bardzo w nim zakochana była ponoć. Jak ludzie donieśli, że jej narzeczony zabawia się ze służącą, to widzieć go nie chciała. Sępińscy popadli w rozpacz, bo mariaż ten kilka lat szykowali. Panna niczego sobie i bardzo majątna, ale co z tego, jak nijak wybaczyć zdrady narzeczonemu nie chciała. Nie pomogły przeprosiny, prośby, a nawet wyjaśnienia Sępińskich, że ze służącą to żadna zdrada. Panienska się zaparła, że za męża za niego nie pójdzie, prędzej sobie życie odbierze albo do klasztoru wstąpi. I nie po próżnicy język strzępiła, już od trzech miesięcy posługę w klasztorze pełni.

– A co Ludwika? Gdzie ona jest? – zainteresowała się Marta.

– Ludwika jak to Ludwika. – Matka machnęła ręką. – Chyba nie przejęła się tym wcale. A nawet ucieszyła, bo zakochana myślała, że panicz się z nią ożeni, ale paniczowi ani to w głowie było. Ot, zabawiał się i tyle jego, a ona pohańbiona i wystawiona na ludzkie pośmiewisko.

– Jest brzemienista? – spytała cicho Marta.

– Od najgorszego wstydu i nieszczęścia Pan Bóg ją zachował, ale i tak wszyscy ludzie paluchami wskazują, że letko się prowadziła. Tylko patrzeć, jak ktoś jej krzywdę zrobi, bo wiadomo, że nadgryzione jabłko łatwe do zdobycia, ale mimo że słodko smakuje, bez wartości jest. Ona jeszcze słyszeć o tym nie chce, że już nie jest jak inne panny na wydaniu. Obnosi się ze swoim wstydem z podniesionym czołem, jakby to kogoś innego dotyczyło, no, ale tu na wsi ludzie nie zapominają takich rzeczy. Ona już tu życia nie ma.

– I gdzie ona jest? – wróciła do pytania Marta.

– A włóczy się po wsiach, żeby jaką chociaż dorywczą robotę dostać, bo nas z Sęp z pracy wygnali po złości i tylko patrzeć, jak z chałupy wyrzuca. – Ojciec w końcu wyjął kawałek dra-

paka i potarł o niego zapalną. Zapalił fajkę i zaciągnął się tytoniowym dymem.

– Ależ nie wyrzucą was przecież z domu! – oburzyła się córka. – Tyle lat nienaganej pracy, poświęcenia, przecież wy sami ten dom stawialiście, Sępińscy tylko kawałek ziemi dali.

– Kto o tym pamięta, dziecko? – spytała matka zgnębiona. – Na pańskiej ziemi stoi, z pańskiego tartaku wybudowany, a że własnymi rękoma postawiony? Kogo to obchodzi, córeczko? – Matka znów chlipnęła.

– I jak wy teraz żyjecie? Z czego się utrzymujecie?

– Józef do leśniczego chodzi. Metry mu pomaga ciągać, choć zdrowia już nie ma. No, ale mus ciężko pracować. Ludwika teraz nikt nie zatrudni, ani we dworach, ani nawet baby ze wsi nie chcą jej do najcięższych robót. Mówią, że jak raz zgrzeszyła, to na okrągło grzeszyć będzie i im chłopów bałamucić.

– A ja? Jak mogę pomóc? – spytała cicho. Skoro po nią wezwali, to musieli mieć jakiś plan związany z jej przyjazdem.

– W wielkim mieście mieszkasz. Widać od razu, że dobrze ci się powodzi. Ludzie mówili w Sępach, ci, co do Bielawy zajeżdżają, że księżna ochmistrzynią cię zrobiła. A teraz widzimy, że prawdę ludzie gadali. – Matka kreśliła palcem na stole jakieś esy-floresy. – No to myśmy z ojcem se umyślili, że mus zabrać stąd Ludwikę. W wielkim mieście prędzej jej grzech się ukryje niż tutaj.

– Musisz nam pomóc, córeczko. – Teraz ojciec poszukał jej dłoni. – Jesteś dużo starsza od siostry, posłuch masz i cieszysz się respektem w świecie. Zabierz od nas ten kłopot, bo my już za starzy jesteśmy, spracowani, i temu, co nas spotkało, nie podaliśmy. Nie mamy pracy, a za chwilę pewnie i domu, ale dla nas starych już nic nie trzeba. Ona młoda, głupia, bo głupia, ale tutaj życia nie ma.

– Pomożesz nam, Martusiu? – W oczach matki było tyle niemej błagalnej prośby, że Marta westchnęła, a potem się poddała.

– Pomogę. Muszę najpierw spytać księżnej, przemyśleć, jak mogę pomóc Ludwice, ale przyrzekam, że nie zostawię was z tym kłopotem – rzekła uroczyście. Jednak gdy słowa obietnicy wybrzmiały, Marta się przestraszyła. Jadąc tu, rozmyślała, że być może życie, jakie wiodła do tej pory, się zmieni. I rzeczywiście miała rację, choć wtedy jeszcze nie wiedziała, jak bardzo.



Marcowe słońce otuliło spragnioną ciepła ziemię. Na trawnikach i w miejskich parkach przebiśniegi rozchyliły białe płatki. Czuło się pierwsze porywy wiosny. Mężczyźni porozpinali płaszcze, a kobiety, chroniąc się przed natarczywymi promieniami, przysłoniły twarze woalkami lub przechadzały się z rozpostartymi nad głowami jasnymi parasolkami. Miasto ożyło po długiej zimie, a także po wczesnowiosennych mgłach i roztopach. Ubrana w seledynową suknię i krótki biały płaszczyk z ozdobnym paskiem księżna Sara Leokadia Reszko udała się na popołudniową kawę do kawiarni U Brzezińskiej. Była umówiona z wydawcą, Gustawem Gurgiem. Z uwagi na jego wyjazd do Frankfurtu, a potem do Paryża nie widzieli się kilka tygodni. Zdziwiła się, jak wielką radość czuje z powodu tego spotkania. Zaprzeczała jednak sobie, że żywi do Gustawa coś więcej aniżeli wielką sympatię w zamian za to, że spełnił jej marzenie i wydał powieść. Jeszcze nie tak dawno nie wierzyła, że jej książka zostanie wydana. W akcie desperacji oddała ją kochankowi Brunonowi Dzikowskiemu i poprosiła, by ten firmował ją własnym nazwiskiem. Powieść zdobyła rozgłos, a kiedy wyszła na jaw mistyfikacja z zamianą autorów, oboje, zarówno księżna, jak i niespełniony literat, zyskali ogromny rozgłos. Z tym że Dzikowski zyskał złą sławę. Wzdrygnęła się na wspomnienie niedawnego kochanka. Już prawie o nim nie myślała. Zdeptał jej miłość, a ona długo nie potrafiła się z tego pierwszego porwywu serca wyleczyć. Zbyt dużo razem przeszli dobrych i złych chwil. Nie kochał mnie prawdziwie – pomyślała. Ani mnie, ani naszego dzieciątka, które urodziło się martwe. Ani razu nie zapytał o naszą córeczkę, ani razu nie zmówił modlitwy przy jej grobie. – Westchnęła. Byłaby może i popadła w stan melancholii jak zaraz po nieszczęśliwym porodzie i potem, gdy odkryła, że Bruno się żeni, ale właśnie podeszła do niej wysoka, szczuplutka dziewczyna. Dwa jasne warkocze i sukienka odsłaniająca kostki zdradzały jej młodziutki wiek, a szczery uśmiech i zachwyty w oczach podpowiadały, że jest to oddana czytelniczka.

– Wielmożna pani, czy mogę uścisnąć pani dłoń? – Dygnęła przed księżną i skłoniła głowę, ale zaraz ją podniosła, a radość w jej oczach udzieliła się także Sarze. – Chcę tylko powiedzieć, że kocham *Tajemnicę*. Podkradłam powieść mojej mamie, podczytywałam wieczorami, no i przepadłam. Księżno, jest pani wspaniałą pisarką, jest pani wzorem dla nas, kobiet. Ja też marzę o tym, by pisać. I dzięki pani mam ogromną wiarę, że może kiedyś też wezmę do ręki swoją książkę – trajkotała przejęta.

– Bardzo ci tego życzę, to wielkie szczęście dotknąć okładki własnej powieści i zobaczyć zachwyty w oczach czytelników. To uczucie wprost nie do opisania. – Sara się uśmiechnęła, a młodziutka pretendentka pióra długo za nią patrzyła, gdy się pożegnały. Takie dowody sympatii księżna otrzymywała na każdym kroku. Szczególnie od kobiet. Męski świat krytyków wprawdzie nie śmiał oczerniać twórczości księżnej, lecz nabrał wody w usta, pomrukując tu i ówdzie, że to nie są wielkie dzieła. Ich zmowa wrogiego milczenia i fukania, że oto kobieta naruszyła zamknięty krąg męskiej literatury, początkowo bolały Sarę, ale z czasem zrozumiała, że pisze dla siebie, a także dla ludzi. Nie aspirowała do literackich nagród i zaszczytów, po prostu w pisaniu dawała upust swojej pasji.

Gustawa Gurga zobaczyła już z daleka. Młody, przystojny, w doskonale skrojonym beżowym płaszczu i wysokim czarnym cylindrze przechadzał się wzdłuż ulicy, robiąc krótkie wy-

cieczki w tę i we w tę. Podziwiała jego smukłą sylwetkę i elegancki strój. Wyglądał szykowniej niż większość mężczyzn, jakich знаła. Odwrócił się i również ją dostrzegł. Przyspieszył kroku, by ją powitać.

– Dzień dobry, księżno. Jak miło panią widzieć. Od razu dzień stał się piękniejszy. Nawet słońce się przebudziło. – Uchwycił jej obie dłonie i zajrzał w oczy. Zakrywała je wprawdzie kremowa woalka kapelusza, ale dostrzegł w nich błysk i radość. – Tęskniłem – wyszeptał, ledwo poruszając wargami. – A ty? Tęskniłaś, Saro? – spytał z nadzieją.

– Dzień rzeczywiście stał się piękniejszy, gdy widzę pana w dobrym zdrowiu i doskonałym humorze – rzuciła przekornie. Cieszyła się. I to bardzo. Warszawa wydawała jej się pusta przez te kilka tygodni, gdy go nie było, szczególnie teraz, kiedy nie miała koło siebie też i Marty. Jednak po zdradzie Dzikowskiego ostrożniej podchodziła do porywów serca. Z Gustawem połączyło ich zauroczenie, szalone pocałunki, miłe liściki, ale przede wszystkim sprawy zawodowe. Sara po traumatycznych przeżyciach nie dowierzała żadnemu mężczyźnie, a szczególnie takiemu, który mógłby w jakikolwiek sposób z jej otwartości serca czerpać profity, jak to czynił niegdyś Bruno. Lubiła swojego wydawcę, nawet bardzo, ale póki nie miała pewności, czy za miłosnymi deklaracjami nie stoi chęć ubicia dobrego interesu, wołała zachować ostrożność. – Naprawdę dobrze pana widzieć – powtórzyła, bo wciąż wpatrywał się w jej oczy i czekał z nadzieją na dobre słowo.

– Liczyłem na czulsze powitanie, ale niech tam, na początek i to wystarczy, choć gnałem do Warszawy... do pani... do ciebie, Saro, co koń wyskoczy. – Westchnął zabawnie.

– Ależ ja bardzo się cieszę, widząc pana, naprawdę. – Podała mu dłoń i pozwoliła się wprowadzić do wnętrza lokalu. Już od progu uderzył ich gwar i duchota.

– Och, taka piękna pogoda, marzę, by wypić kawę na tarasie. – Zatrzymała się w wejściu i odwróciła twarz ku niebu. – Jestem spragniona słońca, wiosny, radości... Czy dałoby się dla ulubionej klientki wystawić stół na taras? – zwróciła się do mężczyzny ubranego w liberię. – Wiem, że to szalony pomysł, ale tak bardzo nalegam.

– Księżnej się nie odmawia. Z radością sprostam pani prośbie, martwię się tylko, czy księżna nie zmarznie na zewnątrz, bo ta pogoda jest zdradliwa – uprzedził lokaj.

– Ależ nie, nie zmarznę, obiecuję. – Roześmiała się szczęśliwa jak mała dziewczynka.

Po chwili dwaj kelnerzy wynieśli stół, a młodziotka dziewczyna z obsługi zaścieliła go białym obrusem. Właścicielka, Katarzyna Brzezińska, nie miała własnych dzieci, najmowała do pracy dwunastoletnie dziewczątka z domu sierot, biorąc je do siebie na służbę. Gdy dochodziły do odpowiedniego wieku, by wyjść za mąż, dawała im godny posag i szukała uczciwych mężów. One odwdzięczały się kobiecie miłością i oddaniem. Być może dlatego w kawiarni U Brzezińskiej spotykali się literaci i cała śmietanka towarzyska miasta. Wyczuwało się tu niesamowicie dobrą aurę.

– Jesteś niemożliwa, Saro, zupełnie niepodobna do kobiet z twojej sfery. Masz duszę marzycielki i dziecięcą radość życia. Promieniejesz, świat przy tobie staje się interesujący. Oglądając się wstecz, zastanawiam się, jak dałem radę przetrwać w świecie tych kilka tygodni, nie mogąc patrzeć w twoje oczy, nie widząc twojego uśmiechu, nie słysząc twojego głosu, nie całując twoich...

– A jak minęła podróż? – przerwała mu, nie chcąc dopuścić do miłosnych wyznań. Serce jej waliło z emocji, dłonie drżały, a duszę ogarnęło szaleństwo. Musiała mocno się pilnować, by nie zdradzić, że ona również tęskniła. I to bardzo.

– Dziękuję, dobrze, szczególnie w powrotną stronę – odparł, powściągając chęć dalszego prawienia komplementów.

Oboje usiedli ramię w ramię przodem do ulicy, bo Sara pragnęła patrzeć na przechodniów i przejeżdżające dorożki, lubiła obserwować tętniący życiem trakt.

– Może to nietaktowne, ale kocham patrzeć na ludzi. Obserwuję ukradkiem ich zachowania, mentalność, stroje, przysłuchuję się rozmowom, a wszystko po to, by moje powieści były żywe, barwne i wciągające.

– I takie są. Nakład *Tajemnicy* znów się kończy. Już się przygotowuję do kolejnego do-druku. Zdradzę ci, moja autorko, że otrzymałem w Paryżu ciekawe propozycje. Najpoczytniejsza paryska gazeta chce drukować *Tajemnicę* w odcinkach. – Gustaw odchylił się, bo ciemnowłosa młodzianka kelnerka rozstawiała przed nimi dzbanek kawy i porcelanowe filiżanki.

– Jaśnie wielmożna pani życzy sobie ciepły kocyk? – Uśmiechnęła się z wdziękiem.

– Jeszcze nie, ale dziękuję za troskę, zapewne skorzystam, bo mamy zamiar długo podelektować się wyborną kawą, pysznym ciastem oraz widokiem miasta.

– To przyjdę, gdy państwo wypiją kawę, zapytać, czy już. – Wsunęła srebrną tacę pod pachę, dygnęła i pobiegła do swoich zajęć.

– To wspaniała wiadomość, Gustawie – powróciła do przerwanej wątku. – Marzyłam niegdyś o drukowaniu powieści w gazecie. To przymiot wielkich nazwisk i wiąże się z ogromnym zagranicznym rozgłosem. Francja to kraj wielu możliwości. Jesteście już po słowie z paryskim wydawcą?

– Nie do końca. – Podniósł dzbanek i nalał kawę do filiżanki Sary, a potem do swojej. – Proponują dość spory nakład, ogromny nawet bym powiedział, ale szkopuł w tym, że chcą wydać powieść pod męskim pseudonimem. Nie chciałem się umawiać bez twojej wypowiedzi w tym temacie.

– Och... oni też mają problem z tym, że autorką jest kobieta – stwierdziła gorzko.

– Tak. Niestety, niby postępowy kraj, a jednak w tym temacie zacofany. Nawet Amantine Dupin, czyli George Sand, pisze pod męskim pseudonimem. I nie tylko pisze, nosi się też po męsku. Pruderia, wszędzie pruderia. Sporo wody w rzekach przepływie, nim świat otworzy się na twórczość kobiet. Jesteś jedną z pionierek. Winszuję odwagi, to naprawdę wielka rzecz.

– Czy ja wiem, czy to odwaga... Sporo cierpień kosztował mnie mój upór. Zresztą, to nie była odwaga. Sama nie wiem, co mnie tak pcha do przodu. Tyle razy życie ze mnie zadrwiło, a jednak żadne przeciwności losu nie odebrały mi marzeń o książce.

– Marzenia mają to do siebie, że pozwalają i biednym, i bogatym pieścić nadzieję o ich spełnieniu. Są piękne same w sobie, nawet wtedy, gdy się nigdy nie zmaterializują – powiedział w zadumie. – Choć lepiej jest oczywiście, gdy się spełnią – dodał weselej. – Ja też mam jedno marzenie... Saro... – szepnął, ale zamilkł.

Sara nie podjęła tematu ani nie odwzajemniła spojrzenia. Domyślała się, że młody mężczyzna znów zacznie rozmawiać o miłości. Chciała słyszeć miłosne zaklęcia, a jednocześnie

się ich obawiała. Jej poranione serce nie zniosłoby następnego odrzucenia. Upiła łyk kawy, a potem powędrowała myślami do wcześniejszych słów Gustawa. Tak, czas, w którym przyszło mi żyć, nie jest przyjaznym światem dla kobiet, które lubią marzyć – pomyślała.

Przez chwilę obserwowała dorożkę. Echo końskich kopyt przyjemnie niosło się po bruku. W pewnym momencie w szybie powozu zobaczyła twarz starej hrabiny. Dama podniosła lornion i przybliżyła na wysokość wzroku. Na ułamek sekundy wbiła karcące, niemal wrogie spojrzenie w księżną Reszko i w jej towarzysza, ale odwzajemniła ukłon obojga. Sara domyślała się, że arystokracja ledwo toleruje jej pisarskie fanaberie, a teraz doszły jeszcze spotkania z wydawcą w miejscach publicznych. To się nie godzi – kpiła w duchu z ironią. Złościła ją ta dwulicowość społeczna. Jej własny mąż książę Hipolit obnosił się ze swoimi kochankami, ba, flama dodawała splendoru bogatemu zonatemu szlachcicowi, natomiast mężatka w towarzystwie mężczyzny sam na sam gorszyła, choćby niewinną rozmową. Nic dziwnego, że gdzieś tam w Paryżu pisarka przywdziała męskie nazwisko i nosić się zaczęła po męsku – rozmyślała księżna. Nie chciała jednak w tej chwili zaprzętać sobie głowy przykrymi myślami. Chwyliła delikatnie uszko filiżanki i upiła łyk ciepłego, aromatycznego napoju. Kawa smakowała wybornie.

– Jeszcze kilkanaście miesięcy temu nie uwierzyłabym, że moje życie się tak odmieni. – Odstawiła talerzyk i filiżankę na stół i oparła się wygodniej. – Niezależność finansowa, spokój, wielkie miasto, własna powieść – wymieniała z rozrzewnieniem.

– Cieszę się, że choć odrobinę przyczyniłem się do twojego szczęścia, Saro.

– Bardzo się przyczyniłeś. *Tajemnica* przywróciła mi sens życia, ale nie tylko ona. Ratując z niewoli męża Marianny, przywróciłeś mi wiarę w człowieczeństwo. Zrobiłeś naprawdę wielką rzecz. – Musnęła dłonią jego rękę spoczywającą na oparciu krzesła. Chciał ją zatrzymać w swojej dłoni, ale nie zdążył, bo Sara już ją spokojnie cofnęła i położyła sobie na kolanach.

– Saro... – Chciał jej powiedzieć, jaka jest dla niego ważna, a także to, że nie mógł sobie bez niej znaleźć miejsca w świecie, ale zamilkł. Rzadko mieli okazję do bycia sam na sam, a tamte krótkie chwile szczęścia w powozie tuż po ślubie Marianny odmieniły też i jego. On, zagorzały kawaler, nagle zapragnął dzielić życie z tą mądrą i silną kobietą. Czuł, że z nią i tylko z nią byłby szczęśliwy. Podzielali tę samą pasję, miłość do literatury, rozumieli się bez słów. – Kocham cię – szepnął tak cicho, że w pierwszej chwili myślała, że się przesłyszała.

– Gustawie... proszę, nie... miłość zepsuje relację między nami. – Wypowiedziała te słowa nieco wbrew sobie, serce jej drżało z radości, dawno nie czuła się tak dobrze w towarzystwie mężczyzny jak teraz z tym przystojnym jasnowłosym mądrym człowiekiem. Broniła się jednak przed uczuciem. – Jestem mężatką... przecież wiesz...

– Wiem. Wiem też, jakim tyranem jest książę Hipolit Teofil Reszko. Wiele osób pisze anonimowe skargi na niego. To podły człowiek. – Gustaw Gurg zacisnął szczękę.

– Uważaj na niego, potrafi być też mściwy. Bardzo mściwy, a jego macki sięgają daleko, aż do Moskwy i Petersburga. Niejednemu wyrządził krzywdę i zламаł życie – powiedziała na pozór łagodnie, ale w jej słowach wybrzmiał smutek. Dobrze znała siłę męzowskiej pięści, a także smak najpodlejszych intryg z jego strony. Przez jej twarz przebiegł cień smutku, ale

niespodziewanie podniosła głowę i uśmiechnęła się jakby na przekór myślom. – Nie mówmy o smutnych rzeczach i o niegodziwcach, niech ten dzień pozostanie piękny. Czy mówiłam ci, że zostały mi zaledwie cztery rozdziały do ukończenia powieści?

– Nie mogę się doczekać, kiedy dasz mi do przeczytania – ożywił się. – Może znajdę w tej powieści cząstkę nas, to znaczy cząstkę siebie – poprawił się.

– Na pewno znajdziesz cząstkę nas, cząstkę mnie i cząstkę siebie. Piszę o tym, co czuję, o czym marzę, o czym śnię. Moje powieści są jak moje dzieci. Kocham je bezgraniczną miłością i w każdą wkładam matczyne serce. – Przez ułamek sekundy jej dusza przeniosła się na cmentarz Powązkowski, gdzie znajdowała się maleńka mogiła jej córeczki, ale nim zdążyła pograć się w smutku, zjawiała się kelnerka z puchowym pledem.

– Jaśnie pani, miałam po kawie zapytać, czy przypadkiem księżna nie zmarła, więc jestem i pytam. Czy koc już się przyda? – Pokazała w uśmiechu ładne, równiutkie, białe zęby. Nie można było nie odwzajemnić uśmiechu, bo w dziewczynie buzowała ogromna wola życia.

– Przyda się księżnej, proszę mi go dać. – Gustaw wstał i wziął puchowy materiał, a potem czule położył go księżnej na ramionach. – Dziękujemy za troskę. – Wsunął dziewczynie w dłoń hojny napiwek.

– Wyjątkowa kawiarnia. – Sara poprawiła pled na ramionach. Nie czuła chłodu, ale drobne, miłe gesty zawsze ją rozczulały. – Przez niego nie miałam prawdziwej premiery. – Celowo nie wymawiała nazwiska Dzikowskiego, ale Gurg od razu domyślił się, o kogo chodzi. – Za to teraz zrobimy szczególnie uroczystą, by podziękować pani Brzezińskiej i tym wszystkim przemiłym dziewczętom za serce i niespotykaną życzliwość.

– Obiecuję, że nowa powieść będzie miała wyśmienitą oprawę. Już ja się o to postaram i szczerze mówiąc, nie mogę się doczekać.

Rozmowa o nowej powieści pochłonęła ich bez reszty. Oboje uwielbiali rozprawiać o książkach, metodach wydawniczych, wielkości nakładu czy sposobach promocji. Nie zauważyli zbliżającego się od strony Nowego Świata żółtego dyliżansu pocztowego. Dopiero, kiedy zatrzymał się przed kawiarnią, oboje lekko zaskoczeni spojrzeli na woźnicę. Sara rozpoznała w młodym postawnym mężczyźnie nowego pocztyliona, który zastąpił Franciszka.

Tymczasem Waldemar Promyk już z daleka dostrzegł księżną. Od kilku dni umierał z niepokojem o Martę, a nie miał kogo zapytać, czy u niej wszystko w porządku, a także kiedy wróci do Warszawy. Bił się z myślami, czy spytać o to samą księżną. Jednak gdy zobaczył ją rozprawiającą żywo w kawiarnianym pustym o tej porze roku ogródku, nie wahał się ani chwili. Stwierdził, że sam los zesłał mu ją przed oczy. Zeskoczył z kozła, ściągnął czarny kapelus z białą wstążką, zrobił kilka kroków i skłonił się unieźnienie.

– Wielmożna pani, wielmożny panie, przepraszam, że zakłócam państwa spokój i nachodzę nieproszony, ale leży mi na sercu brak wiadomości od mojej przyjaciółki, panny Marty Skowronek.

– Marty Skowronek? – zdziwiła się księżna, a jednocześnie jakaś cząstka jej duszy od razu się uradowała. Bardzo kochała swoją ochmistrzynię i życzyła jej, by ta w końcu zaznała miłości. Nic nie wskazywało na to, że ktoś skradł jej serce, a tu nagle obcy mężczyzna nazywa ją swoją przyjaciółką.

– Tak, łaskawa pani. Będzie już z dziesięć dni, jak przyniosłem pannie Marcie list. Chyba w tym liście były złe wieści, bo widziałem ją potem w czerń spowitą, wyjeżdżała w rodzinne strony. Czas mija, a ja nie wiem, gdzie się dowiedzieć, jak się miewa i czy u niej wszystko dobrze się układa, czy pomocy przypadkiem nie potrzebuje – wyznał strapiony.

– Bardzo to miło, że leży panu na sercu dobro naszej wspólnej przyjaciółki. Z żalem muszę jednak przyznać, że i ja jestem spragniona wieści od niej. Niestety, od wyjazdu moja ochmi-strzyni nie kontaktowała się ze mną. Dzięki panu, dobry człowieku, uświadomiłam sobie, że trzeba coś z tym zrobić. Być może Marta rzeczywiście potrzebuje pomocy.

– Czy będzie mi wolno zapytać za kilka dni, jak się sprawy mają? – Patrzył na Sarę z napięciem i nadzieją w oczach.

– Z wielką radością przekażę panu wieści od Marty, mam nadzieję, że będą to dobre nowiny i że niedługo do nas wróci.

– Dziękuję, wielmożna pani. Do widzenia szanownemu państwu. – Skłonił się, włożył kapelusz, wskoczył na kozła i strzepnął lejcami.

Gdy odjechał, do Sary dotarło, że rzeczywiście Marta zbyt długo się nie odzywa. Księżna zmartwiła się, że u jej przyjaciółki być może wydarzyło się jakieś nieszczęście. Postanowiła jeszcze tego samego dnia napisać do niej list i wypytać, czy potrzebuje pomocy, a przede wszystkim – ściągnąć ją jak najszybciej do Warszawy.



Od ponad dwóch tygodni Waldemar Promyk wypatrywał wiadomości od kierownika poczty, którego przekupił paczką dobrej tabaki przywiezionej z Saksonii, by ten, segregując każdego ranka korespondencję, wypatrywał listu do panny Marty Skowronek od księżnej lub odwrotnie. Pragnął za wszelką cenę zdobyć adres dziewczyny. Gdy więc w ostatni dzień marca kierownik wręczył mu różową ozdobną kopertę z monogramem księżnej Sary Leokadii Reszko zaadresowanej do panny Marty Skowronek, nie potrafił ukryć ekscytacji. Wybłągał przełożonego, by ten zezwolił mu dostarczyć tę przesyłkę osobiście.

– Eh, nawet gdybym się nie zgodził, to zapewne i tak pojechałbyś do tych Sęp. A zatem dobrze, dostarcz te przesyłki, a twoją trasę w drodze wyjątku przejmie Alojzy. Z zakochanymi lepiej się nie targować, bo gotowi narobić głupstw – marudził pod nosem, ale w duchu kibicował Waldemarowi. Szanował jego ojca, oddanego pracownika, Franciszka Promyka, obecnie już w stanie spoczynku, a i sam Waldemar był godnym następcą swojego taty. – Tylko nie zasiedź się u panny Skowronek, doręcz pocztę i wracaj.

– Ma się rozumieć. Tak ułożę trasę, by była bez szkody dla listów i podróżnych. – Waldemar z bijącym sercem przyglądał się blad różowej kopercie i po raz kolejny czytał adres, jakby zamierzał nauczyć się go na pamięć. Wreszcie, góra za dwa dni, będzie wiedział, co się takiego wydarzyło, że dziewczyna nie wraca do Warszawy. A jego zdaniem Warszawa bez Marty wiele straciła ze swej atrakcyjności.



W majątku Sępy ziemia obeschła, lasy pokryły się zawilcami i fiołkami, a ptaki wyśpiewywały radosne trele. Marta Skowronek usiadła na ściętym pniu i zapatrzyła się na zawilce. Całe ich połączenie utworzyły biały kobierzec. Ona jednak ledwo zauważała budzącą się wiosnę. Od przyjazdu do Sęp mało co ją cieszyło. Nie chodziło wyłącznie o wybryk Ludwika, choć ten był karygodny, martwiła się i o siostrę, i o rodziców. Ich skromniutki dom, otrzymany niegdyś od jaśniepaństwa za wzorową służbę, nie był własnością Marii i Józefa Skowronków. Gdyby nie fatalnie ułożona miłość najmłodszej córki, zapewne mieszkaliby tam do śmierci, ale w obecnej sytuacji nie dość, że zostali pozbawieni pracy, a tym samym środków do życia, to groziła im dodatkowo utrata dachu nad głową. Marta rozmyślała nad tym wszystkim i była coraz bardziej przygnębiona. Marzyła o powrocie do Warszawy i spokojnym życiu, jakie wiodła u boku księżnej. Moja pani też się na pewno dowie o wybryku Ludwika, przecież Sępińscy przyjeżdżają do dworu w Bielawie. A co, jeśli i mnie każą zwolnić? – przeraziła się.

Od momentu przyjazdu do rodziców nie napisała wiadomości do księżnej Sary. Nie wiedziała, co ma napisać, ani kiedy wróci. Wstydziła się napisać prawdę, a kłamać nie miała sumienia. Codziennie przyrzekała sobie, że następnego dnia pójdzie pieszo te dziesięć wiorst na pocztę, by nadać list, ale wciąż i wciąż odkładała tę czynność. Rozmyślała, co ma zrobić, jak postąpić. Czy zostać z rodzicami i próbować podnieść ich na duchu, czy jechać do Warszawy z Ludwiką i tam na miejscu poszukać dla niej pracy. Nie było to jednak takie proste.

Kobieta westchnęła, zebrała szary materiał sukienki i podniosła się z pnia. Przeszła przez młody zagajnik i wyszła przy pierwszych zabudowaniach gospodarczych. Widziała śledzące ją zza firanek oczy. Ludzie spragnieni byli społecznej sprawiedliwości, nie to, by życzyli Skowronkom źle, ale żądni widowiska, czekali na rozwój wypadków. Gdy okazało się, że księżęcym powozem przyjechała córka Marii i Józefa, a nie żadna arystokratka, w mieszkańcach Sęp zakiełkowała zazdrość. Na nic się zdały tłumaczenia, że księżna powozu jedynie z kurtuazji używała. Ludzie dopisywali sobie legendę do tego zdarzenia. Niektórzy snuli przypuszczenia, że Marta zeszła w wielkim świecie na złą drogę i została panną lekkich obyczajów, inni twierdzili, że tak samo jak Ludwika uwiodła jakiegoś pana i teraz wiecie z nim grzeszny żywot bez ślubu, no bo przecież żaden szlachcic nie ożeniłby się z chłopką. Martę śmieszyłyby te spiskowe teorie, gdyby nie musiała patrzeć na przygnębione twarze ojca i matki.

Przed domem na ławce, ubrana w czerwoną spódnicę, biały kaftan i w kwiecistej chustce na głowie, siedziała Ludwika. Wystawiła twarz ku słońcu i nuciła sobie pod nosem. Zachowywała się tak beztrosko, jakby sprawa młodego panicza Sępińskiego i związane z tym kłopoty dotyczyły kogoś innego.

– Ludwika, co tak się wystawiasz do słońca, pomogłabyś matuchnie, a nie tu wysiadujesz przed całą wsią na śmiechowisko – zbeształa ją starsza siostra.

– A co to, posiedzieć przed domem już nie można? – Ludwika wzruszyła ramionami i na powrót przymknęła oczy.

– Przestań wystawiać siebie i naszą całą rodzinę na obmowę. Rodzice ciężko pracowali, by nas wykarmić, a ty im ładnie odpłacasz. – W Marcie zagotowała się złość.

– A bo to ja się na świat pchałam? Powołali mnie do życia, to niech się teraz martwią – skwitowała Ludwika. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Marta ścisnęła jej ramię tak mocno, że tamta zapiszczała jak mysz schwycona w pułapkę. – Puszczaj, to boli!

– Ma boleć – syknęła Marta, ściskając jeszcze mocniej. – Rodzice powołali do życia niemowlę, a nie kapryśną pannicę, która nie potrafi wianka utrzymać na wodzy.

– Puszczaj, to boli, nie jesteś moją matką, żeby na mnie krzyczyć i mną dyrygować! – Panna zerwała się z ławki i próbowała wyrwać się z uścisku, ale nie dała rady.

Marta, nie zważając na piski i krzyki młodszej siostry, niemal zaciągnęła ją do domu. Ojciec wyraźnie przyciszony siedział przy stole, a matka przy kuchni gotowała kluski na wodzie, pochlipując cicho.

– Znowu biadolenie, ja w tym domu oszaleję! – krzyknęła histerycznie młodsza latorośl Skowronków, zakryła dłońmi uszy i klapnęła na stołku przy stole na wprost ojca. – Mam dość tego zastoju, tego nieszczęścia, tego pomstowania. Tu się nie da żyć! Wciąż i wciąż muszę patrzeć na wasze zmarkotniałe twarze, jakbym co najmniej kogoś zabiła! – wykrzyczała, a potem nagle rozplakała się w głos.

– Straciłem pracę u leśniczego – powiedział cicho Józef.

– Jak to? Dlaczego? – Marta nie mogła zrozumieć, że leśniczy, bądź co bądź porządny człowiek, również uległ presji społecznej.

– Ktoś mu w nocy podpalił wyrąbane składy. Na razie musi oszacować straty i nie potrzebuje najemnych robotników.

– Matko kochana, ale kto to mógł zrobić? – Martę ogarnęła zgroza. – Ktoś to zrobił celowo?

– Wszystko wskazuje na to, że celowo – ojciec mówił spokojnie, ale z drżenia głosu i z całej jego postury wyzierało przygnębienie.

– I pewnie ja jestem wszystkiemu winna? Najlepiej oskarżyć mnie! Wszystkie zło tego świata dzieje się przeze mnie, a czy to ja szykowałam się do ślubu? Czy to ja wodziłam na pokuszenie? Czy to ja obiecywałam wspólne życie? – spytała zaczepnie Ludwika.

– Nie, nie ty. Tylko powiedz, córciu, po co dałaś się omamić? Przecież wiedziałaś, że on zaręczony, że za chwilę się żeni, coś ty chciała udowodnić światu? – Matka odłożyła drewnianą łyżkę i patrzyła to na córkę, to na gotujące się mączne kluski. – Teraz z nas tylko pośmiewisko ludzie mają. Po co ci to było? – przemawiała łagodnie jak do małej, skruszonej dziewczynki, ale Ludwika nie chciała słuchać matczynych słów. Zaciśnęła usta, a jej wzrok stał się chmurny.

– Dajcie mi wszyscy święty spokój! Mam dość tego zrzędzenia! Tobie dobrze – machnęła palcem w stronę Marty – urządziłaś się w wielkim świecie i rzniesz panią. Może leśniczemu nie przeze mnie, a przez ciebie podpalili stopy, nie pomyślałaś o tym?

– Co ty wygadujesz? – Marta zmarszczyła brwi.

– To może być prawda, Martusiu. – Matka obtarła łzy wierzchem dłoni. – Ludziom ciężko się żyje. A szczególnie teraz, na przednówku. W brzuchu kiszek marsza grają, to i języki ich świerzbią, by komuś łatkę przypiąć. A od kiedy przyjechałaś, zazdroszczą nie wiadomo czego.

– Mamo, sami po mnie przysłaliście...

– Przysłaliśmy, ale nikt się nie spodziewał, że i ty przyczynisz się do tego, by cię na ludzką obmowę wzięli. I nie ma co się złościć, córko. – Ojciec pogładził ją po ręce. – Tak to już w życiu jest.

– Sąsiedzi by nas chętnie paluchami wytykali, tylko nie mają śmiałości, bo jednak przez te kilkadziesiąt lat służby wzorowo wypełnialiśmy obowiązki, Sępińscy byli z nas bardzo zadowoleni, a i o tobie z Bielawy same pochwały przychodziły. Szacunek mieli, ale wiesz, jak to z szacunkiem bywa. Razem z szacunkiem i podziwem często zazdrość i zawiść chadzają.

– Mateczko, tatku, ja wiem, że wy chcielibyście, żebym Ludwikę ze sobą do Warszawy wzięła... – zaczęła spokojniejszym tonem, ale Ludwika jej przerwała.

– Do Warszawy? Chcę jechać do Warszawy, bardzo jestem ciekawa wielkiego świata. Tu zaściankowość i głupota królują. – Nadąsała pąsowe usta, a z oczu zniknęła chmurność.

Marta patrzyła na tę zmianę i aż się uśmiechnęła. Tak, siostra zachowywała się jak rozkapryszone duże dziecko. Tyle tylko, że za jej wybryki przyjdzie zapłacić rodzicom.

– Jeszcze nie powiedziałam, że cię zabieram – ucięła jej zapędy. – To nie jest takie proste, żeby załatwić ci jakąś pożyteczną pracę i dach nad głową. Informacje z Sęp trafią lub już trafiły do Bielawy, a stamtąd tylko patrzeć, jak przekażą je mojej pani i jeszcze ubarwią po drodze.

– Nic mnie to nie obchodzi, ja tu nie zostanę. To nie jest życie dla młodych. Zobacz, rozejrzyj się. – Ludwika, kreśląc palcem kółka na stole, nie spuszczała wzroku ze starszej siostry. – Nawet ty uciekłaś. I jestem pewna, że gdyby nie list od proboszcza, to byś nie przyjechała.

– Nie, nie przyjechałabym. To prawda – odparła spokojnie Marta. – A wiesz dlaczego? Powód jest prosty, nie urodziłam się księżniczką ani żadną jaśniepanią. No więc pracuję od rana do wieczora. Tak było od wiek wieków. Ciesz się, że nie musimy pracować w polu, tylko na salonach. Jeśli myślisz, że życie w mieście jest prostsze, to się zdziwisz. Wątpię, czy sobie w mieście poradzisz. Tam też trzeba pracować. I jeszcze dodam, że nie uciekłam, a zostałam oddana na służbę jako malutka dziewczynka. Nie uciekłam – powtórzyła. – Moja pani się przeniosła, a ja razem z nią. Wyboru nie miałam.

– Marto, nie będzie ci łatwo, ale proszę cię, proszę, zabierz ją do miasta. – Ojciec oparł czoło na splecionych dłoniach. Koniec zleceń w lesie, zaczepki sąsiadów, a do tego kłótnie córek i brak perspektyw na lepsze życie podłamały go.

– A co z wami, tatku? Przecież wy tutaj też zostać nie możecie. – Marta zmieniła ton na łagodniejszy. Podeszła do matki, która od dłuższego czasu milczała. Stała do nich tyłem i mieszała cebulę na patelni.

– Jakoś będziemy tu żyć, przecież chyba na bruk nas nie wyrzucą. – Westchnęła gorzko.

– Oj tam, jakby mieli wyrzucić, toby wyrzucili od razu. Urządzenie ceregiele i wciąż popłakujecie bez końca. To jest takie męczące. – Ludwika wstała od stołu i narzuciła chustę na plecy.

– A ty dokąd? – mruknął ojciec. – Siedź, musimy coś uradzić, bo tylko przyjdzie się nam z matką na suchej gałęzi powiesić.

Ludwika odrzuciła chustę i ostentacyjnie kopnęła nogą stołek.

– Albo mnie bierzesz do Warszawy, albo ucieknę w świat – oświadczyła buńczucznie.

Marta przeczuwała, że przez siostrę spotka ją w Warszawie wiele nieprzyjemności, nie miała jednak sumienia patrzeć na umęczone twarze ojca i matki. Pomogła matce nałożyć kłuski do miski, zalała je tłuszczem z cebulą i podała na stół. Spożywając skromny posiłek, pomyślała, że wczesna wiosna jest bardzo trudną porą roku dla mieszkańców wsi. Żał jej było rodziców. Miała cichą nadzieję, że dopóki z tego ich niewielkiego poletka uda im się zebrać plony, by zapłacić daninę dla dworu w Sępach, to jest nadzieja, że ich nie wygonią. Tylko czy będą mieli tyle siły, by te morgi uprawiać? – rozmyślała.

– Napiszę dziś list do księżnej, zapytam o pozwolenie, choć zastanawiam się, czy nie lepiej jechać do Warszawy porozmawiać osobiście. Jeśli moja pani zechce Ludwikę przenocować kilka tygodni, to po prostu po nią przyjadę. Nie ma mowy, bym cię zabrała bez zgody księżnej Reszko – zwróciła się do siostry. – Musimy przygotować ci nocleg. Zapewne w moim pokoju...

– Fiu, fiu, no proszę, masz swój pokój, a nie mówiłam, że w mieście jest łatwiej – zadrwiła.

– Wszędzie, gdzie wypracujesz sobie szacunek, jest trochę łatwiej, czy to miasto, czy wieś – odparła Marta.

– Dobrze mówisz, Marto. Na szacunek trzeba sobie zasłużyć dobrą pracą i przyzwoitym życiem. Niestety, łatwo jest ten szacunek stracić, nawet nie ze swoich win. Dziękuję ci, że chcesz zdjąć z naszych ramion ten ciężar. My tu z matką nic nie wymyśliliśmy. Wierz mi, że nie chcieliśmy cię obarczać Ludwiką. Pewnie samej też ci niełatwo. Nie mamy jednak wyjścia, córeczko... – Ojciec przełknął ślinę, wstał i objął starszą córkę. – Pilnuj jej, Martuniu.

– Postaram się – wyszeptwała zrezygnowana.

Nie napisała listu do księżnej, bo zapadł wieczór, a żał jej było pozbawiać rodziców świateł. Wiedziała, że muszą oszczędzać każdą kopiejkę i kilka razy obracać w dłoniach, zanim na cokolwiek wydadzą. Postanowiła napisać z samego rana. Mimo zmartwień lubiła wieczory w domu rodziców. Opowiadali jej, jaką była słodką dziewczynką, jak się garnęła do pomocy i rozczulała swoim uśmiechem. Opowiadali jej o przodkach i o walkach niepodległościowych sprzed zaledwie dwunastu lat, w których zginęli jej trzej bracia. Chłonęła ze łzami w oczach te rodzinne opowieści i podziwiała rodziców, że tak dzielnie to wszystko znieśli. Jednak nocami nie mogła spać, szczególnie, że siennik na wąskim tapczanie, który dzieliła z siostrą, był przetarty w kilku miejscach i słoma kłuła ją w plecy. Przewracała się z boku na bok, wpatrując się w ciemność pokoju. Rozmyślała o kruchości życia, o trudnym położeniu rodziców i siostry, o tym, że tak rzadko dane było jej widywać i ojca i matkę. A gdy zamknęła oczy, zobaczyła pod powiekami obraz roześmianego wysokiego rudzielca w pocztowym uniformie. Jego oczy śmiały się do niej, usta coś mówiły, ale nie słyszała słów. Wystarczyło jej jednak to wesołe, a zarazem czułe spojrzenie. Uspokoila skołataną myśl i dopiero wówczas zapadła w sen.



Siedzący na koźle postawny mężczyzna w czarnym cylindrze z białą wstążką wyprostował się i pewnie ściągnął lejce. Po minięciu majątku w Sępach wypatrywał małych drewnianych domków należących do chłopów i służby. Kiedy zbliżał się do wioski, serce łomotało mu jak szalone. Zastanawiał się, jak Marta go przywita. Jechał do niej z zaskoczenia, ale miał powód. Szarpały nim skrajne uczucia: od radości, że oto za chwilę ją ujrzy, po niepewność, czy w ogóle zechce z nim rozmawiać. Przekonał się już, że potrafi być słodka jak plaster miodu, ale też ostra niczym brzytwa. To właśnie ten temperament skradł jego serce.

Minął pierwsze zabudowania i ściągnął cugle, by wypytać idącą z kankami kobietę o dom Skowronków. Wskazała mu drogę, ale zanim ruszył, nie wiadomo skąd zbiegła się dzieciarnia i zaczęła biec przy dylizansie. Znał ten obrazek, często się zdarzało, że gdy przybywał do mniejszych lub większych wiosek, stawał się atrakcją. Zaczepiały go dzieci, prosząc o cukierka, ale również mężczyźni spragnieni wiadomości z wielkiego świata.

Żółta bryczka zaprzęzona w cztery konie rozbijała się na nierównościach, co wywołało salwy radości u biegnącej po bokach dzieciarni. Pocztylion sięgnął po trąbkę i zadał. Zakładał, że na ten dźwięk Marta Skowronek na pewno wyjdzie przed budynek. I się nie pomylił. Stała w drzwiach, odruchowo zsunęła z głowy zieloną chustę w białe grochy i dłonią poprawiła włosy, które wymknęły się z luźnego upięcia, opadając lśnącymi ciemnymi pasmami na plecy i ramiona.

– Pan tutaj? – spytała oszołomiona, nie dowierzając własnym oczom. – Ależ, co pan tutaj... robi?

– Uszanowanie, panno Marto. Wiedziałem, że trąbka sprawi, że wyjdzie mi pani na spotkanie. – Zaśmiał się, zeskakując z kozła i idąc w jej kierunku.

– Nie tylko mnie pan wywabił przed dom, ale całą wieś – zadrwiła, robiąc ręką zamaszyste koło i wskazując na licznych gapiów.

– Cieszę się, że moja gra została doceniona. – Skłonił się przed zgromadzonymi jak przed publicznością. Ludzie się roześmieli, a niektórzy zaczęli bić brawo. Dzieci natomiast jedno przez drugie pokrzykiwały, by zagrał jeszcze raz. Promyk nie dał się prosić i po krótkiej chwili powietrze przeszył zabawny, nieco patetyczny dźwięk trąbki pocztowej.

– Kto to? – Ludwika przeciskała się przez drzwi zza pleców siostry, by zobaczyć, co się dzieje. Za nią stanęli Maria i Józef. Na ich widok pocztylion odjął trąbkę od ust i się przedstawił.

– Dzień dobry, nazywam się Waldemar Promyk, mam przesyłkę dla panny Marty Skowronek. – Wyjął z kieszeni uniformu bladą różową kopertę. – Mam czekać na odpowiedź. – Podkoloryzował nieco swoje zadanie w obawie, że Marta weźmie list i na tym jego wizyta się zakończy, po czym wręczył jej kopertę i ucałował dłoń.

– Mamo, tato, to mój znajomy z Warszawy. Panie Waldemarze, wejdźmy do środka, nie stójmy wśród gawiedzi, proszę – zaproponowała, wciąż oszołomiona niespodziewaną sytuacją.

Promyk stanął na baczność i skinął głową, a następnie pochylił się, by pocałować dłoń Marii Skowronek, ale starsza kobieta, nienawykła do takich form powitania, schowała rękę za

plecy.

– Nie trzeba, proszę wielmożnego pana. – Zawstydzila się tej nagłej wylewności. Tyle ostatnio wydarzyło się w jej życiu nieprzyjemności, a do tego wścibstwa sąsiadów, że każda niecodzienność ją przerażała.

– Nie jestem żadnym wielmożnym panem – sprostował szybko. – Prosty chłopak ze mnie, syn warszawskiego pocztylion, Franciszka Promyka. To i ja na wzór tatki zostałem pocztylionem.

Marta, nie chcąc zwlekać z otwarciem listu, weszła do pokoju i rozerwała kopertę. Przebiegła wzrokiem po literach i ze wzruszenia łzy napłynęły jej do oczu. Księżna domyślała się, że jej ochmistrzynię zatrzymały jakieś nieprzewidziane sprawy, i prosiła, a wręcz żądała, by Marta wróciła do Warszawy, a wtedy wspólnie spróbują zaradzić kłopotom. Kobieta przytuliła list do piersi, a potem rozplakała się ze szczęścia. Tak, jej dom był tam, w Warszawie, u boku księżnej. Bardzo tęskniła za tamtym światem. Taką splakaną zastali ją domownicy i pocztylion, którzy weszli do pokoju.

– Panno Marto, czy jakieś niepomyślne wieści? – przeraził się Waldemar.

– Wywaliła cię ta twoja cała ukochana księżna? – prychnęła Ludwika z nutką słabo skrywanej satysfakcji.

– Nie, wszystko dobrze. Nawet bardzo dobrze. Księżna prosi, bym natychmiast wróciła do Warszawy, i chce mi pomóc we wszystkich moich zmartwieniach – odparła podekscytowana.

– Och, muszę jechać. Panie Waldemarze, czy ma pan miejsce w dyliżansie? – zaróżowiona z emocji zwróciła się do Promyka.

– Tak, mam jedno miejsce. Podróżnych zostawiłem w gospodzie na rozstaju dróg. Posilają się, odpoczywają. Jeśli panna Marta chce ruszać w drogę, musimy się pospieszyć. – Starał się ukryć emocje i mówić spokojnie. Sam nie wierzył w taki obrót sprawy. Czekala go dwudniowa podróż w towarzystwie Marty Skowronek.

– Jedno miejsce, czyli zostawiasz mnie, tak? – Ludwika skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała na siostrę bykiem.

– Nie, nie zostawiam cię – rzuciła siostrze, a potem zwróciła się do rodziców: – Matuchno, tatku, pojedę teraz do księżnej, by osobiście ją poprosić o możliwość zamieszkania z nami Ludwiki. Wrócę po nią najszybciej, jak się da. Obiecuję. – Popatrzyła poważnie na rodziców, a ci odetchnęli z ulgą. Ufali Marcie. Zawsze była bardzo odpowiedzialna, już jako dziewczynka uchodziła za dojrzałą, niżby wskazywał na to jej wiek. Dlatego tak bardzo upodobała ją sobie pani Klementyna Wolska.

Marta spakowała rzeczy, przekazała rodzicom wszystkie swoje oszczędności, zostawiwszy sobie kilka rubli na nocleg i posiłek w gospodzie, pożegnała się z rodziną i została odprowadzana przez tłumek gapiów. Nie wsiadła do środka dyliżansu, lecz ku radości pocztylion zajęła miejsce obok niego na koźle. Pomachała rodzicom i gawiedzi, a potem uśmiechnęła się do nieoczekiwanej przygody. Bliskość mężczyzny, który zaledwie ostatniej nocy jej się śnił, wyzwalala w niej niedookreślone uczucie szczęścia. Nagle wszystkie domowe kłopoty i nieszczęścia wydały jej się mniej straszne. Przecież to wszystko da się naprawić. Ludwikę stąd zabierze, znajdzie jej odpowiednie zajęcie w pralni czy szwalni albo może w jakimś porządnym

sklepie, natomiast rodzicom ulży, przesyłając kilka rubli co miesiąc. To powinno odgonić biedę spod ich drzwi.

– Marto, świat przy pani znów nabrał barw. Proszę, niech mi będzie wolno spytać, czy tęskniłaś za mną? – szepnął. – Bo ja strasznie tęskniłem. Nie potrafiłem sobie miejsca znaleźć. Ojczulek się ze mnie śmiał, a ja tłukłem się po izbie jak duch na uwięzi. Nie wiedziałem, co mam robić, by panią odnaleźć. Aż któregoś dnia zebrałem się na odwagę i podszedłem do jaśniepani księżnej Reszko – wyznał w końcu.

– Co takiego? – Zaskoczona Marta zwróciła twarz ku niemu akurat w momencie, w którym i on na nią spojrział. W jej spojrzeniu wyczytał więcej, niż mówiły słowa. Radość, miłość i podziw dla niego.

– Ano tak – odpowiedział już swobodniej, bo nagle szczęście uderzyło go w piersi z taką mocą, że zachciało mu się śmiać i płakać jednocześnie. Opowiedział więc Marcie o swoich poszukiwaniach, o przekupieniu kierownika poczty, a na koniec wyznał też to, że księżna wcale nie oczekiwała natychmiastowej odpowiedzi.

– Jest pan niemożliwy! – Śmiała się, zachwycona jego przedsiębiorczością i staraniem o nią.

– Mam na imię Waldemar, nie mów do mnie „pan”. Chcę usłyszeć z twoich ust moje imię – poprosił stłumionym głosem.

Nieco się wahała, pokonała jednak nieśmiałość i szepnęła, jakby próbując, jak to się jej uda:

– Waldemarze, jesteś niemożliwy. Wprost szalony.

– Każdy zakochany w kobiecie mężczyzna jest trochę szaleńcem. – Chwycił jej dłoń i podniósł do ust, a że była chłodna, zatrzymał konie, zeskoczył z kozła i sięgnął po ciepły puchaty pled, którym pieśczośliwie otulił jej ramiona. Rozmawiali o wszystkim, Waldemar opowiadał jej o podróżach do Saksonii i innych miejsc, a ona słuchała oczarowana. Pierwszy raz w życiu zakochana. Pierwszy raz naprawdę szczęśliwa. Pierwszy raz pomyślała o siostrze, że ta przecież też kochała. Była wszakże młodziutką, niedoświadczoną dziewczyną. Być może panicz Sępiński obiecywał jej niemożliwy ożenek, może prawił o miłości, a ona wierzyła. Tak, zapewne tak było. Marta byłaby w stanie rozgrzeszyć największego utracjusza. W ciągu tych dwóch cudownych dni podróży, mimo trudu, kurzu, zmęczenia, spłynęło na nią szczęście. Budziło się w niej zrozumienie do tego szalonego bicia serca, do stłumionych oddechów, do przeciągłych spojrzeń w oczy i milczenia, które było więcej warte niż słowa. Kochała i widziała świat w różowych barwach. Gdy po wysadzeniu podróżnych na placu Wareckim wjeżdżali już sami na Krakowskie Przedmieście pod ostatnią stację pocztową, Marta czuła się niepocieszona. Towarzyszył jej fizyczny ból na myśl, że musi się rozstać z Waldemarem, choćby na kilka dni. Wyciągnął ręce, by pomóc jej zsiąść, a ona zeskakując, znalazła się w jego silnych ramionach. Strąciła nieopatrznie z jego głowy cylinder, który potoczył się po ulicy. Zaśmiali się z tego incydentu jak dwoje psotnych dzieci. Pocztylion nie schylił się po nakrycie głowy, bo usta Marty znalazły się przy jego ustach tak blisko, że brakło mu tchu. Miał nieodpartą pokusę, by musnąć jej nabrzmiące czerwone wargi. Początkowo siłą woli się powstrzymał, lecz ujrawszy w oczach towarzyski podróży nutkę zawodu, przyciągnął dziewczynę do siebie

i pierwszy raz pocałował. Najpierw delikatnie, a potem namiętnie. Nie bronila się. Szał jakiś ogarnął jej ciało, chciała jeszcze, i więcej, i mocniej. Tak smakuje szczęście – myślała oczarowana. Ani przez chwilę nie pomyślała, że różowa szybka szczęścia może okazać się krucha i cienka.



W salonie apartamentu na pierwszym piętrze przy Krakowskim Przedmieściu paliły się świece i radośnie trzaskał ogień w kominku. Marta wreszcie czuła się we właściwym miejscu. Obmyła się po podróży, przebrała w prostą granatową sukienkę, rozpakowała kufer i obesła wszystkie pomieszczenia. W apartamencie pachniało czystością i perfumą, jaką spryskała się księżna tuż przed wyjściem na spotkanie. Marta przywitała się z Anielą, Franią i Melą. Służące i kucharka cieszyły się z jej powrotu, ale nie kryły też zaskoczenia.

– Nawet księżnej nie dałaś znać, kiedy wracasz. – Z głosu Meli przebijała nutka pretensji.
– Dopytywałyśmy i dopytywałyśmy, i nic.

– Przyjechałam najszybciej, jak tylko się dało. Zaraz po otrzymaniu listu od księżnej Sary. Widać beze mnie nie mogłyście sobie dać rady, że z takim utęsknieniem mnie wypatrywałyście. – Zaśmiała się radośnie. W ogóle wyglądała inaczej. Oczy jej błyszczały, cera nabrała rumieńców, a do tego bardzo zeszczupiała.

– W domu w Sępach widać wszystko dobrze, bo Marta wraca do nas uśmiechnięta i jakaś inna – oceniła kucharka, przechylając się przez kuchenny stół, by bardziej przyjrzeć się ochmistrzyni.

– Dziękować Bogu, nikt nie umarł. Choć rodzina popadła w pewne kłopoty... Otóż młodszą moja siostra... – Marta zawiesiła głos, zastanawiała się, jak ubrać w słowa wyczyn Ludwiki i problemy z nim związane, gdy Anieli niespodziewanie skwitowała:

– Młode toto i głupie.

– A i panicz chyba swój rozum powinien mieć – wtrąciła Frania, nim zasłoniła sobie dłonią usta i rozdziawiła oczy w przerażeniu, że się wygadała.

– Ach, więc już wiecie. – Marta zmarkotniała, uśmiech zgasł z jej twarzy jak zdmuchnięta świeca, a ramiona opadły.

– Ano wiemy, Henryk nam powiedział – przyznała Anieli.

– Szybko się wieści roznoszą, nie ma co. To pewnie i księżna już wie – stwierdziła smętnie.

– Niby skąd? Nikt księżnej nie zdradził twoich rodzinnych sekretów, bo i jak miał to zrobić? Nikt by się nie odważył, sama wiesz, jak księżna nie lubi plotek.

– Ciekawe, czy Henryk nie zdradził? – zastanawiała się głośno.

– Nie, na pewno nie. Księżna zabiegana, ostatnio sporo udziela się towarzysko, dziś też jest na spotkaniu. Zgadnij, kto jej towarzyszy. – Anieli zrobiła niewinną minę.

– Wydawca, pan Gustaw Gurg, przecież to oczywiste. – Marta skarciła kucharkę wzrokiem. – Dziwię się, tobie, Anielo, że stajesz przeciwko kobietom. Gdyby załóżmy panu Dzi-kowskiemu towarzyszył wydawca, nic byś nie mówiła, a księżnej sugerujesz romans.

– Widzę, jak na nią patrzy, z jakimi bukietami przychodzi tu ostatnio... – powiedziała tonem, który kazał się domyślać, że Gustaw jest w księżnej szaleńczo zakochany.

Na schodach dały się słyszeć lekkie kroki. Kobiety zamilkły i nasłuchiwały. Marta odsta-wiła filiżankę z herbatą, strzepnęła z granatowej sukienki okruchy po rogaliku i wstała od stołu, by w korytarzu powitać swoją chlebobawczynię.

– Marto, moja kochana, tak się o ciebie niepokoiłam. Cudownie, że już jesteś. – Księżna zdjęła jasny kapeluszek i podała go Frani. – Pokaż się, kochana, schudłaś, ale i wypiękniałaś.

No, chodź, opowiadaj, co tam u ciebie w rodzinnych stronach. – Zdjęła rękawiczki i również podała Frani. Marta przyglądała się, jak młodzianka pokojówka sprytnie i z wdziękiem uwija się przy księżnej, podaje jej domowe pantofle, odbiera podawane rzeczy i przedmiotki odkłada na miejsce. Cieniutka igielka zazdrości ukłuła ją w serce. Pomyślała z zalem, że każdego można zastąpić, choćby i najbardziej zaufanego człowieka. To odkrycie bardzo ją zabolowało, ale na przekór myślom uśmiechnęła się promiennie i weszła za księżną do salonu.

– Pięknie pani wygląda, księżno, tak bardzo promiennie. Jak dobrze tu wrócić. – Stała wciąż w drzwiach, bo młodzianka arystokratka przeszła przez pokój i zatrzymała się przy oknie. Ulicę spowijała ciemność, jedna tylko oświetlona dorożka odjeżdżała Krakowskim Przedmieściem. Sara spoglądała za nią, a potem odwróciła się od okna i klasnęła w dłonie.

– A więc, wreszcie jesteś, Marto. Tyle się działo przez ten czas, wizyt, rewizyt, a to jeszcze nie koniec. Teraz, gdy wszyscy już wiedzą, że zamieszkałam w Warszawie na stałe, wciąż przysyłają bileciki z zaproszeniami. Czasami udaje mi się wykręcić, ale w większości przypadków po prostu nie wypada. Ale chodź, kochana, opowiadaj, po cóż cię ksiądz proboszcz wezwał. – Chwyciła ją za dłoń i doprowadziła do kominka. – Mów, Marto, co się stało.

– Na szczęście nikt nie umarł – zaczęła ostrożnie. Z całej duszy pragnęła opowiedzieć Sarze, co naprawdę wydarzyło się w Sępach, ale jakiś wewnętrzny wstyd ograniczał słowa, które cisnęły się do gardła. Odczuwała ulgę, że w przytulnej ciemności salonu, księżna nie zajrzy jej w oczy. Była pewna, że maluje się w nich kłamstwo, a przynajmniej zatajenie prawdy. Ogarnęły ją potworne wyrzuty sumienia. Przecież ufała swojej pani, znała ją od kołyski, ale jednak blokada wciąż narastała.

– Dziękować Panu. – Sara upiła łyk herbaty ze śmietanką i odstawiła spodek i filiżankę na niski stolik przed kominkiem.

– Tak, ja też dziękuję Najwyższemu. Moi rodzice mają się dobrze. Bardzo chcieli mnie zobaczyć i... spytać... o... radę... – Ochmistrzyni przełknęła ślinę. Gorąco od kominka i tłamszone informacje, a do tego poczucie winy sprawiły, że głos wiądnął jej w krtani.

– Coś cię jednak gnębi, widzę to.

Marta podniosła głowę i zobaczyła, że księżna przygląda jej się badawczo. Zawstydziała się jeszcze bardziej. Niedawno, gdy siedziała na przedzie dyliżansu i rozprawiała z Waldemarem, świat zdawał się tak prosty i łatwy, a teraz wykrztuszenie z siebie prawdy przerastało jej możliwości.

– Tak, ma księżna rację, gnębi mnie pewien kłopot. Rodzice mają problem z moją młodszą siostrą Ludwiką... – Zawahała się, zagryzła wargę i czekała, czy Sara coś powie, ale księżna milczała. – Moja siostra... chciałaby mieszkać w mieście... marzy o tym... O niczym innym nie mówi. Rodzice też marzą dla niej o innym życiu. Są już starzy, chcą, by była blisko mnie... – Słowa nagle same popłynęły, a Marta biczowała się w duchu za to kłamstwo.

– Ona jedna została z rodzicami?

– Tak, mieszka z nimi w małej chacie. Nie jest jej tam łatwo...

– Z pewnością chciałyby do miasta. Tu więcej się dzieje, ale z drugiej strony, szkoda twoich rodziców, że zostaną sami. – Księżna wyciągnęła ręce w stronę kominka, a potem je roztarła. Wspomnieniami wróciła do siebie sprzed kilku lat. Też miała marzenia, wielkie plany, ale życie wtedy zaśmiało jej się w głos. – Ile twoja siostra liczy sobie wiosen?

– Skończyła osiemnaście lat.

– Niby dziewczątko, ale już dorosła panna. Tu, w Warszawie, na pewno miałyby większe możliwości...

Księżna nagle umilkła, bo ktoś energicznie zastukał kołatką do drzwi. Marta natychmiast się zerwała i pobiegła do holu, zastanawiając się, kto to może być o tak późnej porze. Stukot kołatki powtórzył się jeszcze dwukrotnie, nim ochmistrzyni otworzyła. W progu stał nieznany jej mężczyzna. Oświetliła jego twarz podręczną lampą olejową i dopiero wówczas dostrzegła, że intruz trzyma w wyciągniętej ręce przesyłkę.

– Dobry wieczór, przybywam z Karczewa. Przepraszam, że niepokoję wieczorową porą, ale ksiązę Hipolit Teofil Reszko oczekuje natychmiastowej odpowiedzi od księżnej. – Skłonił się.

– Proszę wejść i spocząć. – Marta wzięła szarą kopertę i zaniósła do salonu. – Księżno, pilna przesyłka z Karczewa, posłaniec czeka na odpowiedź.

– Dziękuję, zaprowadź go do Anieli.

– Tak, jest, proszę pani. – Marta wycofała się z salonu i zaprowadziła kuriera do kuchni, lecz ledwo weszła z nim do pomieszczenia, usłyszała głuchy jęk swojej pani. Zostawiła więc gościa pod opieką kucharki i pobiegła do salonu. – Księżno, czy mogę w czymś pomóc?

– Och, Marto, ksiązę pojedykował się i został trafiony w pierś. – Chodziła pospiesznie po salonie od okna do drzwi i z powrotem. – Jak to mogło się stać? – Popatrzyła pytającym wzrokiem na Martę.

– No cóż, nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka – mruknęła Marta bez żalu. Był okrutnym człowiekiem zarówno dla swojej małżonki, kochanek, służby, a nawet dla zwierząt.

– Błaga mnie, bym przyjechała do Karczewa. – Podniosła rękę z listem. – Och, nie wiem, czy mam ochotę na spotkanie z nim. – Wzdrygnęła się.

– Ja bym chyba nie jechała – stwierdziła Marta bardziej do siebie.

– Nie jechałabyś? A jeśli umrze? Może chce mnie prosić o wybaczenie? – Sara przetarła dłonią czoło. List wypadł jej z ręki, ale Marta ocknęła się z zamyślenia i natychmiast go podniosła.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, co księżna powinna zrobić. W innych okolicznościach bym na pani miejscu nie pojechała, ale ksiązę Hipolit rzeczywiście może umrzeć, a wtedy będą panią targały wyrzuty sumienia. Och, Boże, Boże, tyle problemów. – Marta nieoczekiwanie się rozplakała. Było to do niej tak niepodobne, że Sara w jednej sekundzie się uspokoiła.

– Wydad kurierowi dyspozycję, niech przekaże księciu, że jutro rano wyjeżdżam do Karczewa. Przygotujcie mnie do drogi. I natychmiast powiadomcie Tadeusza. Z samego rana ruszamy.

– Czy mam jechać z panią, księżno Saro? – Ochmistrzyni otarła łzy wierzchem dłoni, również gotowa do działania.

– Nie, nie. Niech Frania się spakuje. Zresztą, poproś ją do mnie, sama ją poinstruuje.

– Tak jest – odparła cicho Marta. Słowa jej pani zasmuciły ją. Już opuszczała salon, ale zdobyła się na odwagę i zapytała: – Księżno, dlaczego nie ja?

– Dopiero wróciłaś z podróży, masz własne problemy. Aha, sprowadź siostrę, pomogę jej znaleźć jakieś godne zajęcie.

– Dziękuję. – Ochmistrzyni ukłoniła się w podzięce, ale w jej duszy zakiełkowała niepewność. Poczuli się odtrącona i nikomu niepotrzebna.

Tej nocy Marta nie mogła zasnąć. Kołowrotek myśli wytrącał ją ze snu. Wyjazd Frani z księżną odebrała jak policzek. Po tylu latach służby wystarczyły trzy tygodnie, by moje miejsce zajął ktoś inny, młodszy – rozmyślała gorzko. Zastanawiała się, czy jednak plotka o skandalu, jaki wywołała Ludwika, nie dotarła do uszu księżnej. Potem wyobraziła sobie Ludwikę w ich apartamencie w Warszawie i westchnęła ciężko. Przekręcała się z boku na bok, snując jak najgorsze przypuszczenia dotyczące najbliższej przyszłości. Pomyślała też o rodzicach i trochę jej zdenerwowanie ustąpiło. Wyjazd Ludwiki z Sęp na pewno ulży ich niedoli. Po pierwsze, winowajczyni zejdzie z oczu sąsiadom, a po drugie, zwyczajnie będzie mniej gęb do wyżywienia.

Rankiem, gdy kufry już spakowano, a Frania cieszyła się na wyjazd do Karczewa, gdzie spędziła kilka ostatnich lat na służbie, apartament księżnej odwiedził Gustaw Gurg. Księżna na widok wydawcy odczuła prawdziwą ulgę. Ściągnęła podróżny płaszcz i kazała podać sobie i gościowi śniadanie w jadalni.

– Przepraszam, że nachodzę tak wcześnie, ale przejeżdżając Krakowskim Przedmieściem, zobaczyłem stangretów ładujących kufry podróżne. Księżno, czy szykujesz się do wyjazdu? Przecież jesteśmy na jutro umówieni. Coś się stało? – Ucałował dłoń Sary, nie spuszczać z niej wzroku.

– Mój małżonek został ranny w pojedynku i wzywa mnie do siebie. Tak bardzo nie chcę jechać, on był dla mnie udreką. – Wskazała gościowi fotel, ale Gustaw usiadł obok niej na otomanie. Nie protestowała. Nie zaprotestowała również, gdy położył dłoń na jej dłoni.

– Współczuję. O występkach księcia wiele słyszałem, wiem też, jakim potrafił być niegodziwcem. Jednak rozumiem twój wyjazd, Saro. Jesteś szlachetną kobietą i postępujesz słusznie. Tylko... proszę... nie zasiedź się tam... – Przybliżył twarz do jej twarzy, a potem jego usta dotknęły jej warg. Pieszczotliwie, czule, bez pośpiechu i pożądlivosti.

Marta, która właśnie przechodziła korytarzem, zobaczyła odbicie tych dwojga w wielkim lustrze. Mimo smutku i nieprzespanej nocy uśmiechnęła się. Zanim ruszyła do swoich zajęć, zobaczyła jeszcze, jak księżna kładzie głowę na ramieniu Gustawa, a ten otula jej szczupłą kibić ramieniem. Najważniejsza w życiu jest miłość – pomyślała ochmistrzyni. Moja pani zasługuje na nią jak nikt na świecie. Potem jednak przyszło jej do głowy, że każdy zasługuje na miłość. Ona również.

Po wyjeździe księżnej nie potrafiła sobie znaleźć miejsca. Wszystko leciało jej z rąk, aż Mela ją ofuknęła, żeby po prostu odpoczęła, poszła na spacer do parku lub zwyczajnie się wyśpała. Księżnej i tak nie będzie kilka dni, więc nie musi obarczać się wyrzutami sumienia. Marta roześmiała się wprawdzie na te bezeceństwa, które proponowała młodziutka poko-

jówka, ale sama również doszła do wniosku, że potrzebuje odpoczynku od złych myśli. Postanowiła przejść się po ulicach i poczytać ogłoszenia o pracę, które sklepikarze zwykli wywieszać na witrynach sklepów czy zakładów rzemieślniczych. Wiedziała, że tym zabije myśli o domu, o odrzuceniu przez panią Sarę i o Ludwice, której będzie musiała znaleźć jakieś zajęcie i dach nad głową. Narzuciła na ramiona wełnianą granatową chustę zrobioną przez siebie na drutach, nałożyła prosty słomkowy kapelusz i zbiegła po schodach.

Przed budynkiem stał dyliżans pocztowy. Serce zabiło jej mocniej. Z budynku poczty, którą warszawiacy nazywali pocztą saksońską z uwagi na jej połączenia kurierskie z Saksonią, wyszedł Waldemar Promyk. Marta szczególnie otuliła chustą ramiona, jakby miała zamiar się schować, ale pocztylion już ją dostrzegł.

– Marto, jak dobrze cię spotkać. Miałem cię właśnie prosić, byś wyświadczyła mi ten zaszczyt i spędziła ze mną niedzielę. Poszlibyśmy nad Wisłę, popływali łodzią, potańczyli, co ty na to? Tylko nie mów nie – zastrzegł, chwytając jej dłonie.

– Potańczyć? Ależ to niepodobna... ja jeszcze nigdy nie tańczyłam... – wyznała oszołomiona.

– To proste i takie przyjemne. Nauczę cię, tylko proszę, zgódź się – nalegał z uśmiechem.

– Nie wiem, czy...

– Nie musimy tańczyć, jeśli nie chcesz – przerwał jej pośpiesznie. – Możemy tylko pić kawę i słuchać muzyki. Pragnę, byś była blisko mnie. Śniłaś mi się w nocy... – Nachylił się, by spojrzeć jej w oczy, ale ona zawstydzona spuściła wzrok. – Proszę, nie odmawiaj.

– Właściwie, dlaczego nie? – spytała samą siebie. – Księżna wyjechała, nie mam żadnych pilnych spraw.

– Właśnie, dlaczego nie? – podchwycił. – A zatem do jutra. Przyjdę po ciebie w południe, dobrze?

– Dobrze – odparła na wdechu, bo zakręciło jej się w głowie. Popatrzyła jeszcze, jak Waldemar wskakuje na kozioł, a potem strzela lejcami i odjeżdża. Zrezygnowała z wcześniejszego zamiaru przespacerowania się ulicami Warszawy, by poczytać ogłoszenia. Miała pilniejszą sprawę, a mianowicie, w co ma się jutro ubrać.

– Widziałam, jak rozmawiałaś z naszym pocztylionem – powiedziała ze śmiechem Mela, gdy tylko Marta zjawiła się w drzwiach. – On wyraźnie się w tobie kocha.

– Ja chyba też kocham... – powiedziała powoli ochmistrzyni, nie zdając sobie do końca sprawy z treści wypowiedzianych słów.

– Och, to cudownie! Anielo, Marta jest zakochana! Nareszcie! – Mela, klaszcząc w dłonie, tańczyła w holu. – Anielo, Anielo, nasza ochmistrzyni nareszcie się zakochała!

– W tym nowym pocztylionie? Domyślałam się, że coś jest na rzeczy. Przyjechałaś rozpromieniona i rozświergotana niczym skowronek. W domu kłopoty, a w sercu radość, tylko miłość może to sprawić – oświadczyła ze znanstwem.

– Waldemar zaprosił mnie jutro nad Wisłę, tylko czy to wypada? – Stała oparta o drzwi wejściowe i wodziła wzrokiem po twarzach Meli i Anieli.

– No przecież dorosła jesteś, stanu wolnego, panna – wyliczała kucharka – to cóż stać by miało na przeszkodzie?

– A księżna Sara? Czy nie będzie miała za złe? Teraz, kiedy ksiązę Hipolit ranny, może bawić się nie wypada...

– A czy ty z księciem Hipolitem ślub brałaś? – zadrwiła Mela. – Moim skromnym zdaniem za księciem, jakby poszedł do Świętego Piotra, to mało ludzi by rozpaczało. Może któraś z jego kochanek, ale i w to wątpię. Niejedna przemykała korytarzami pałacowymi w Karczewie z siniakami na twarzy po igraszkach z nim.

– Ja tam księcia nie znam, ale wiele o nim złego słyszałam – powiedziała Aniela. – Ty się nie przejmuj, że jakiś cham się pojedykował. Złego diabli nie biorą i tak szybko z tego świata nie zejdzie. A ty, jak będziesz się tak certolić, to starą panną zostaniesz, ot co. Nie bądź głupia. Szykuj się na tę swoją randkę, bo aż się do niej rwiesz. I dobrze – rzuciła na koniec i wróciła do kuchni zagniatać ciasto na makaron.

– Nie mam się w co ubrać. – Marta spojrzała w lustro i okręciła się dwa razy. Sukienka wisiała na niej jak na wieszaku. Przez te trzy tygodnie w Sępach schudła na wiór.

– Marto, tym się nie martw, już ja cię wyrychtuję. Co jak co, ale maszynę mam i szyć umiem. Zaraz przerobię swoją sukienkę, tę jasnoróżową, która ci się tak podoba u mnie, dopasuję ją do twojej figury. Będziesz wyglądała niczym księżniczka z bajki. – Pokojówka się ekscytowała, jakby to ona, a nie Marta szła na pierwszą randkę. – Ten twój pocztylion oczu od ciebie nie oderwie.



Kilka minut po południu ubrany w białą plisowaną koszulę, kraciasty surdut i modne, kremowe pantalony, a także z bukietem fiołków w dłoni Waldemar Promyk zastukał kołatką do apartamentu księżnej Reszko. Drzwi otworzyła młodzianka pokojówka i zaprosiła pocztynionę do środka. W obszernym korytarzu Marta Skowronek podziwiała swoje odbicie w lustrze. Jeszcze nigdy w życiu nie wyglądała tak pięknie. Jasna różowa suknia podkreślała jej zdrową, śniadą cerę i ciemne, ułożone w kok tuż nad karkiem włosy. Jasne pantofle i słomkowy kapelusz dopełniały całości. Odwróciła się od lustra i posłała mężczyźnie czarujący uśmiech.

– Dzień dobry paniom. – Waldemar uklonił się pokojówce i kucharce, a potem na powrót wbił wzrok w ochmistrzynię. – Marto, jesteś prześliczną kobietą. – Promyk stał onieśmielony niecodziennym wyglądem służącej. Dopiero po chwili ocknął się i wręczył Marcie bukiet fiołków.

– Dziękuję. – Dygnęła niczym grzeczna panienska, wtuliła twarz w drobne, fioletowe płatki i pomyślała, że ten upojnie słodki zapach już zawsze będzie kojarzył jej się ze szczęściem.

Gdy spacerowali Krakowskim Przedmieściem, Marta odnosiła wrażenie, że miłość promieniuje od niej z daleka. Była wniebowzięta pierwszą w życiu randką. Idąc pod rękę, tworzyli piękny obrazek, bo też i para z nich była przednia. On wysoki, postawny, w idealnie skrojonym surducie w modną brązowo-kremową kratę i w prostym kapeluszu. Ona w ślicznej różowej sukni, którą Mela przeszyła w talii, zwięzając o dwie zaszewki. Głowę służącej zdobił prosty, słomkowy kapelusz. Marta Skowronek nie rozumiała wcześniej tego cudownego uczucia miłości, o którym opowiadała jej pani, gdy do szaleństwa kochała Brunona Dzikowskiego. Teraz za idącego u jej boku mężczyznę mogłaby oddać życie.

Rozmawiając i podziwiając miasto w ten ciepły, słoneczny dzień, doszli na plac Saski. Sporo ludzi przechadzało się przed dopiero co wybudowaną kolumnadą. Mężczyźni komentowali między sobą zmiany dokonane podczas ukończonej właśnie przebudowy, a damy podziwiała budzące się do życia ogrody.

– Tu, w pałacu Skwiercowa, na drugim piętrze w prawym skrzydle mieszkali rodzice Fryderyka Chopina i oczywiście mały Fryderyk z siostrą. Ojciec mi opowiadał, że pani Justyna i pan Mikołaj Chopinowie byli niezwykle uprzejmymi ludźmi. Gdy zanosił im przesyłki, częstowali go nalewką własnej roboty, a przy sobocie również faworkami. Dawne czasy, już będzie ponad dziesięć lat, jak pan Fryderyk nie mieszka w Polsce. Ten gmach to na szczęście już nie pałac Skwiercowa, a znów pałac Saski.

– Twój tata nosił tu przesyłki? Czy również jest pocztynionem? – spytała zaskoczona, pomijając ostatnią uwagę.

– Już nie, przeszedł ze służby w stan spoczynku, ale pracował jako pocztynion całe dorosłe życie. Bardzo dobrze się o tobie wypowiada. – Rzucił łobuzerski uśmiech.

– Co ty mówisz? O mnie? Jakim cudem? Czyżby twój tata to pan Franciszek? – Przystanąła i wpatrywała się w niego, nie dowierzając.

– Tak, mówiłem ci o tym w Sępach, ale pochłonięta listem od księżnej pewnie nie usłyszałaś.

– Nie, nie słyszałam. No proszę, jaki ten świat jest mały. – Zaśmiała się. – Bardzo lubię i cenię twojego tatę. To niezwykle zacny człowiek.

– On ciebie też bardzo ceni. I zdradzę ci coś, kibicuje naszemu dzisiejszemu spotkaniu. – Mrugnął figlarnie.

Śmiejąc i żartując, że to zapewne przeznaczenie, doszli na środek placu i zatrzymali się przed wysokim na trzydzieści metrów obeliskiem wzniesionym na cześć oficerów-lojalistów na pamiątkę Nocy Listopadowej z tysiąc osiemset trzydziestego roku.

– Dużo słyszałam o budowie tego pomnika, postavili go kilka miesięcy temu, a ja dopiero dziś widzę go na własne oczy. Rzadko kiedy mam czas spacerować po mieście, a zresztą wcześniej nie miałam z kim. – Zawstydziała się tego wyznania, chrząknęła i dopowiedziała innym tonem: – Piękne te lwy i te dwugłowe orły. – Przyglądała się odlanym ze spiżu rzeźbom.

– To pomnik hańby. Mam nadzieję, że o tym wiesz. – Waldemar nagle spochmurniał i zacisnął zęby. – To pomnik zdrajców – dodał buńczucznie, ale Marta ścisnęła jego dłoń i uniosła głowę, by spojrzeć mężczyźnie w oczy.

– Wiem, Waldemarze. Wiem, że to byli zdrajcy, ale, błagam, nie mów tego głośno. W mieście pełno jest szpicli. Chodźmy stąd, proszę. Najlepiej nad Wisłę. Nie chcę, byś się niepotrzebnie narażał złym słowem lub nie takim spojrzeniem. Widziałam zesłańca, który wrócił z katorgi. Nie uwierzyłbyś, jak Moskale znęcają się nad Polakami. Wcześniej był z niego panicz całą gębą, a teraz cień ino pozostał. Nie chcę, byś tak skończył. Mamy jedno życie, a ja chcę, byś żył, byś bym cały, zdrowy, bezpieczny i... mój – szepnęła.

Rozbroiła go tym wyznaniem. Zamknął w swojej twardej od trzymania lejców ręce jej drobną, spracowaną dłoń, a potem podniósł do ust i ucałował.

– Nie martw się, kochanie, będę twój, będę ostrożny... dla ciebie.

Ta niewinna pieśczoła i czułe słowa wzruszyły Martę. Spacerowali nadwiślańskimi bulwarami pochłonięci marzeniami, szczęśliwi i zakochani. W drodze powrotnej Waldemar zaprosił Martę do cukierni Wawrzyńca Lourse'a znajdującej się przy ulicy Miodowej. Wzbraniała się chwilę, bo słyszała, że do tego lokalu przychodzi cała warszawska inteligencja. Obawiała się tamtejszych marmurów, kryształów, wielkich lusterek, swojej zbyt skromnej sukni, braku obycia, ale przede wszystkim martwiła się, czy jej ukochanego stać będzie na jedną z najdroższych cukierni w Warszawie. On chyba domyślił się jej obaw, bo szepnął:

– Pozwól się zaprosić, Marto. Zapewne ponownie nie przyjdziemy tu prędko, ale uczcijmy ten dzień właśnie w tej cukierni, zobaczysz, on przetrwa w naszych sercach na zawsze.

W środku było gwaro i duszno od dymu. Zatrzymali się i omietli salę wzrokiem, by wyłowić wolny stolik. Wszystkie miejsca zajmowały wytworne damy w jasnych sukniach, zdobnych w kwiaty i pióra kapeluszach oraz mężczyźni w eleganckich surdutach. Chcieli zrezygnować, bo wyglądało na to, że brakuje choćby jednego wolnego stolika, ale wtedy zjawił się kelner i poprowadził ich w głąb sali. Przyjął zamówienie i już po chwili raczyli się ponczem i zajadali pyszny deser z półfrancuskiego ciasta z nadzieniem z migdałów prażonych w cukrze i karmelu. Marta ukradkiem lustrowała gości, wyobrażała sobie, kim są i o czym rozmawiają w tych wytwornych wnętrzach. Potem spojrzała na swoje spracowane dłonie bez rękawiczek i tani materiał sukienki. Westchnęła.

– Mam trzydzieści dwa lata, pierwszy raz jestem w cukierni, pierwszy raz wyszłam z mężczyzną, pierwszy raz mam na sobie kolorową sukienkę – wyznała szczerze. Chciała, by wiedział, że jest skromną, ubogą dziewczyną, która nie wie, co to amory. Bała się, że później nie będzie w stanie wyznać mu prawdy o sobie, a szczególnie o swoim zaawansowanym wieku. Niech wie o mnie wszystko – postanowiła.

– Jesteśmy równolatkami. – Dodał sobie dwa lata z obawy, by nie zraziła się związkiem z młodszym od niej mężczyzną. – Urodziłem się jako syn poczytłiona, ale to już wiesz, moja matka zmarła, wydając mnie na świat. Zajmował się mną ojciec, a ponieważ jest porządnym, prawym człowiekiem, wychował mnie najlepiej jak potrafił, wyuczył niezłego zawodu.

– Ja od dziecka służyłam we dworze u jaśniepaństwa. Najpierw u rodziców mojej pani, a potem u niej samej. Moich rodziców nie widziałam całe wieki. Odwiedziłam ich dopiero ostatnio, bo napisali do mnie, że mają kłopot... – Zawiesiła głos i spojrzała mu w oczy. Waldemar położył rękę na jej dłoni, ale nie ponaglał wyznania. Marta jednak czuła się w obowiązku wyjawiać mu całą prawdę. Sama nie wiedziała, jak do tego doszło, ale zaufała temu mężczyźnie bezgranicznie. – Moja siostra Ludwika uwiodła panicza ze dworu i przez to moja rodzina popadła w niełaskę. Stracili posady, a być może niedługo stracą i dach nad głową. Poprosili mnie, bym zajęła się Ludwiką, znalazła jej tu posadę i skromny kąt do życia. Poprosiłam księżną o pomoc, choć... nie miałam odwagi w całości przyznać się do poczynań mojej młodszej siostry. Mam wielką nadzieję, że znajdę jej zajęcie, a te kilkanaście pierwszych nocy prześpi z mną w pokoju. Narobiła kłopotów sobie, matuchnie i tatce. Teraz jeszcze trzeba ją ściągnąć do Warszawy, a to kosztuje i wymaga poświęcenia. – Westchnęła.

– Marto, o to się nie martw. Ściągnięcie siostry do Warszawy pozostaw mnie. Przy najbliższej okazji, już za kilka dni, jadąc tamtą trasą, zabiorę ją z Sęp i przywiozę. Chociaż w ten sposób mogę ci pomóc i ulżyć w trosce.

– Naprawdę? Mógłbyś to dla mnie zrobić? – Odsunęła salaterkę i spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Oczywiście. Jestem twoim mężczyzną i chciałbym ci nieba przychylić, ale póki co niebo jest wysoko, a dyliżans na wyciągnięcie ręki. Gwiazdkę z nieba dam ci później, a tymczasem ściągnę Ludwikę do lepszego życia.

Gdy wieczorem szli Krakowskim Przedmieściem oświetlonym lampami olejowymi, czuła się najszczęśliwszą kobietą na świecie. Pod domem księżnej nie potrafili się rozstać. Waldemar pocałował Martę. Gdy poczuła na wargach smak męskich ust, zakręciło jej się w głowie, a wtedy on pochylił się i wyszeptał:

– Kocham cię.

Nie odpowiedziała, bo szczęście odjęło jej mowę. Wolała przytulić się do barczystych ramion i wdychać zapach swojego mężczyzny. Potem, leżąc w swoim skromnym pokoju, marzyła o przyszłości. Pierwszy raz w życiu wybiegła myślami do swojego własnego szczęścia. Do tej pory jej priorytetem było szczęście jej pani, bez jednego wolnego dnia służyła i żyła życiem księżnej. Gdy wyjdę za mąż, nie opuszczę mojej pani. Poproszę Waldemara o zgodę i zrozumienie, że chcę pracować. Nie powinien robić problemu, pewnie i tak dzieci mieć nie będziemy, bo już jesteśmy na nie za starzy – kalkulowała w myślach. Nagle się przestraszyła.

A co, jeśli Waldemar wyleczy się z miłości do mnie, gdy spotka na swojej drodze młodszą kobietę, zdolną do zapewnienia mu potomstwa? Czy wtedy się we mnie odkocha? – pomyślała z trwogą. Przecież tak samo kochał i tak samo okrutnie obszedł się z księżną Sarą Bruno Dzi-kowski. Zostawił bidulkę bez słowa, bez litości, choć wcześniej dzień w dzień zabiegał o jej miłość. O niestałości męskich uczuć słyszała od kobiet legendy. Niespodziewanie odkryła, że słodkie uczucie miłości nierozzerwalnie wiąże się z zazdrością i niepokojem. Starła się ode-gnać złe emocje, ale obawy, czy jest godna uczuć Waldemara i czy on jej kiedyś nie zawiedzie i nie porzuci, zakradły się do jej serca i straszły. Musiała mocno się starać, by przywoływać w nocnych majakach cudowne słodkie chwile i nimi zasłonić swój strach.



W ogromnej, kipiącej złotem sypialni księcia Hipolita Teofila Reszki panował półmrok. Na komodach, kominku, stolikach nocnych, a także na ścianach w porcelanowych kandelabrach paliły się świece. Było ich kilkadziesiąt, bo książę nagle zaczął bać się ciemności, ale i one całkowicie nie rozproszyły mroku. Spowite ciemnością kąty, cienie na ścianie rzucane przez chybotałiwe płomienie wywoływały w Hipolicie ataki paniki. Dym od takiej ilości świec gryzł w oczy, ale książę z obawy o infekcję zabronił wietrzenia sypialni. Ten zawsze dumny i bezwzględny pan teraz przeraził się śmierci. Bał się zasnąć, bał się pustych pomieszczeń i wyimaginowanych diabłów, które, jak powtarzał w malignie, czyhały na niego ukryte za meblami albo pod łóżem. Czuwali przy nim na zmianę osobisty kamerdyner, dwaj lekarze, a także jego matka Anna Reszko. Ojciec Hipolita, dumny magnat Michał Józef Reszko, nie mógł przyjechać z uwagi na zbyt sędziwy wiek. Matka Hipolita, zgryźliwa i zmanierowana arystokratka o fizjonomii jaszczurki, patrzyła każdemu na ręce, snując insynuacje, że służba, korzystając z tego, że książę jest chory, a księżnej nie ma w pałacu, okrada posiadłość na ogromną skalę. Synowej wręcz nie cierpiała, miała za złe synowi, że jest zbyt miękki i w chwili słabości przywołuje imię żony. Kiedyś skrycie, lecz teraz publicznie oskarżała Sarę o brak potomstwa, o opuszczenie męża, a nawet o to, że się ostatnio pojedynekował, no bo gdyby małżonka była na miejscu, nie dopuściłaby do pojedynku męża. Najchętniej nie wpuściłaby Sary do pomieszczeń syna, ale ten raz po raz, gdy tylko się wybudzał, wołał jej imię. Lekarze stanowczo sugerowali, by posłać po księżną. Annę gorszył ten fakt, ale nie miała innego wyjścia, jak wysłać umyślnego po znienawidzoną synową.

Po przyjeździe do Karczewa księżna odwiedziła męża w jego sypialni tylko raz, akurat wtedy, gdy spał. Przeraziła się bladością i zapadłą twarzą Reszki. Nos mu opadł i jakby się wydłużył, policzki, niegdyś pulchne, teraz zwisały pomarszczone jak poruszony kozuch na mleku. Peruka, którą zawsze maskował łysinę, leżała na marmurowym nocnym stoliku, a jego jajowatą łysą głowę pokrywała dziwna różowa wysypka. Sara wycofała się z sypialni małżonka i weszła do swojego dawnego apartamentu. Czuła się oblepiona fetorem, jaki panował w sąsiednim pomieszczeniu, nie pomogło nawet otwarcie na oścież drzwi tarasu. Wyszła na zewnątrz, by zaczerpnąć haust świeżego powietrza, spojrzała w gwiazdy i nagle przypomniała sobie moment, gdy na tym tarasie stała po raz pierwszy. Skuliła się na wspomnienie tamtego strachu przed nocą poślubną z narzuconym jej przez rodzinę małżonkiem. Po chwili schodkami od strony tarasu zbiegła do przypałacowego parku. Przytuliła się do kasztanowca i trwała w bezruchu kilka długich minut. Wyrzucała sobie pochopny przyjazd do Karczewa. Hipolit ma dość opiekunów, po co mnie tu ściągnęli? – pomstowała w duchu. Pierwszą osobą, którą spotkała w pałacu, była teściowa. Nie zamieniła z Sarą ani jednego słowa. Żałowała, że nie wzięła ze sobą Marty. Chciała oszczędzić służącej trudów podróży, bo przecież niedawno przyjechała z rodzinnych stron, w których też się nie najlepiej układało, ale z Martą u boku czuła, że ktoś bliski jest przy niej. Teraz nie miała nawet komu się zwierzyć z grzesznych myśli, że brzydzi się opiekować własnym mężem. Nie obchodzi jej ten okrutnik, a pałac w Karczewie przywołuje w niej najboleśniejże wspomnienia.

Sara wróciła do pokoju i zadzwoniła po służbę. Niemal natychmiast rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – rzuciła pospiesznie, mocując się z olbrzymimi dwuskrzydłowymi drzwiami tarasowymi.

– Jaśnie pani czegoś sobie życzy? – W drzwiach stanęła na oko czterdziestoletnia kobieta ubrana w szarą długą, prostą suknię, przepasaną białym, krótkim fartuszkim z falbanką i w białym czepku na głowie. Skłoniła głowę i w wyuczonym dygu ugięła kolana.

– Napal w kominku, bo zbyt mocno wychłodziłam to pomieszczenie, ale zanim to zrobisz, przynieś mi nalewkę na miodzie – zadysponowała.

Służąca zniknęła niczym duch, by zaraz zjawić się z karafką i kieliszkiem na srebrnej tacy. Postawiła tacę na stole, napełniła kieliszek złocistym gęstym płynem, a sama zajęła się dokładaniem drewna do niemal wygasłego ognia. Sara wypijała miodownik na dwa łyki. Na ogół nie pijała alkoholu, ale teraz musiała się wzmocnić przed ewentualną rozmową z małżonkiem, gdyby poprosił o nią jeszcze tego wieczoru. Po wyjściu kobiety księżna zaczęła się zastanawiać, jak mogła tutaj mieszkać. Było coś odpychającego w tych murach. Wzdrygnęła się na myśl, że będzie zmuszona spędzić tu kilka dni i nocy. Postanowiła możliwie szybko wrócić do Warszawy. Gotowa była wybaczyć mężowi i udzielić rozgrzeszenia za wszystkie jego złe uczynki, byleby móc z czystym sumieniem stąd wyjechać. Zastanawiała się, czy nalać sobie drugi kieliszek, gdy znów rozległo się pukanie, a po chwili w drzwiach księżnej stanął zmar-twiony medyk. Nim zdążyła o cokolwiek zapytać, rzekł:

– Księżno, przepraszam, że niepokoję, ale książę Hipolit błaga o rozmowę z panią. Jego stan jest stabilny, ale nadal bardzo ciężki. Każda godzina może okazać się tą ostatnią – mówił spokojnym, pozbawionym emocji głosem. Otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale zaniechał słów, nacisnął klamkę i wyszedł tak cicho, jak się zjawił.

Sara westchnęła głośno. Przechyliła karafkę i nalała pełny kieliszek nalewki miodowej, po czym opróżniła go jednym haustem. Oczyma wyobraźni zobaczyła karcące spojrzenia matki i ojca, a także ciotki Adelajdy. Uśmiechnęła się do swoich myśli, a potem ociężale wstała od toaletki i ruszyła do sypialni męża. Nie skorzystała z tajnego przejścia, które łączyło ich pokoje, tylko przemierzyła obszerny korytarz, zapukała do drzwi sypialni i nie czekając na zaproszenie, weszła. Z fotela przysuniętego do ogromnego łóża małżeńskiego, w którym leżał Hipolit, podniosła się jego matka i ostentacyjnie opuściła sypialnię.

– Długo kazałaś na siebie czekać. – Hipolit nie potrafił powstrzymać się od złośliwości, w jego spojrzeniu wyczytała naganę. Zrobił ruch, jakby chciał unieść się na poduszkach, ale tylko zawył z bólu. Do pomieszczenia natychmiast wpadł lekarz.

– Księciu nie wolno się forsować. Jeśli puszcza szwy, może dojść do nieszczęścia – ostrzegł stanowczym, surowym tonem. Zanim się wycofał, obrzucił Sarę nieprzyjemnym spojrzeniem, z którego mogła wyczytać, że powinna bardziej się postarać, by zapewnić małżonkowi komfort. Wzruszyła na tę niemą sugestię ramionami, a dusza jeszcze bardziej się w niej zbuntowała.

– Przyjechałam najszybciej, jak mogłam. – Sara zdziwiła się, że jej słowa brzmią tak spokojnie, gdy tymczasem toczyła walkę między litością a wstrętem do tego człowieka. – Jeśli

chcesz mnie prosić o wybaczenie tych wszystkich podłości, które mi wyrządziłeś, to od razu ci mówię, wybaczam ci. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. – Stała wciąż w pobliżu drzwi, nie mogąc przełamać się, by podejść bliżej.

– Słyszałem, że wbrew mojemu zakazowi i wbrew całemu światu zostałeś pisarką. Zhańbiłaś książęcy majestat, no i pokazałaś, że lubisz stawiać na swoim. – Wbił w nią świdrujące spojrzenie i wykrzywił usta.

– Byłam przekonana, że posłałeś po mnie, bo sumienie ci ciąży, ale widzę, że się myliłam. – Odwróciła się i sięgnęła ręką klamki.

– Siadaj, jesteś moją żoną, nie zapominaj o tym. No już, siądź przy mnie. – Sapnął, z trudem łapiąc powietrze. Sara puściła klamkę, zacisnęła powieki i zamarzyła boleśnie, by przemieść się w inne miejsce. – Siadaj, mówię. Jesteś mi to winna.

Czy to na skutek wypitego alkoholu, czy złości na jego butę, czy też duchoty panującej w pomieszczeniu zakręciło jej się w głowie, wpadła w złość, zacięła się w sobie i nie mogła skruszyć serca, by choć udawać litość.

– Niczego nie jestem ci winna. Niczego – powtórzyła dobitnie. Nie znał jej takiej. Zawsze pokorna, małowówna, zamknięta w świecie powieści, nagle wydała mu się inną osobą. Posyłając po nią, był przekonany, że przyjedzie skruszona, z poczuciem winy, że go zostawiła, ale nic takiego nie miało miejsca. – Jeśli myślisz, że będę cię teraz pielęgnować, po tych wszystkich upokorzeniach, które mi zaserwowałeś, to się mylisz. Nienawidzę tego domu, tej sypialni, w której mnie noc w noc brałeś siłą, w której pozbawiałeś mnie godności, w której wymierzałeś mi razy. Wybaczam ci, bo tak nakazuje mi moja wiara. Będę się codziennie modliła, bym znalazła w sobie miłosierdzie, by cię nie nienawidzić.

– Umieram. I chcę się przed tobą wypowiadać – powiedział zrezygnowanym głosem Nie spodziewał się usłyszeć od niej słów pełnych pogardy dla niego. Niemal zapomniał o ich zbliżeniach. Miał po niej mnóstwo kobiet, ale kochał tylko jedną, Helgę Słupnik. Ale ją też skrzywdził i przegonił jak psa. Zaschło mu w gardle. – Pić... – wystękał. – Pić...

Brzydziła się go. Bała się, że gdy poda mu filiżankę z wodą, on chwyci podstępem jej rękę w żelazny uścisk i nie puści. Jęknął jeszcze kilka razy błagalnie, a ona stoczyła ze sobą przegraną walkę, by go napić. W końcu zadzwoniła po służbę. Wszedł młody lokaj, który natychmiast podszedł do chorego, wprawnym ruchem podniósł mu głowę, przytrzymał filiżankę, poczekał, aż Hipolit wychłpcze wodę, na koniec poprawił poduszki i wyszedł.

– Po co mnie tu właściwie wezwałeś? – Musiała odchrząknąć, bo głos uwiądnął jej w gardle. Powietrze gęste od dymu świec drażniło jej oczy, nos i krtań.

– Pójdę do piekła, wiem o tym – wyznał z groteskową bojaźnią. – Diabeł już czyha pod moim łóżem. Tak jak powiedziałem, chcę się przed tobą wypowiadać.

– Wypowiadaj się przed księdzem, a nie przede mną. – Pierwszy raz spojrzała na niego uważniej. Cały żal wyparował z niej, bo wyczuła w jego głosie rezygnację, powagę i szczerłość. Gdyby nie wierzył w to, co mówi, nigdy nie zdecydowałby się aż tak obnażyć przed nią. Przez wszystkie te lata manipulacja była jego drugim imieniem.

– Był już u mnie sam biskup. Wypowiadał mnie, ale kazał, byś i ty mi wybaczyła...

– Wybaczam ci. Jeśli to ma ci pomóc, to wybaczam. Będę się modliła o wybaczenie dla ciebie i o zbawienie twojej duszy.

– Nie kochałem cię... – zaczął, ale mu przerwała.

– Wiem o tym. Ja też cię nie kochałam – wyznała z wahaniem, czy jej słowa nie pogorszą jego stanu, ale on tylko się uśmiechnął. – Sam doskonale wiesz, że w naszych sferach miłość małżeńska bywa rzadkością. Jeśli w ogóle się zdarza...

– Skrzywdziłem cię, poniżałem... bo... – Umilkł, słowa albo sprawiały mu trudność, albo się ich wstydził. Nie ponaglała go jednak. – Nie wiem dlaczego...

Pomyślała, że upokarzanie jej i zresztą nie tylko jej sprawiało mu przyjemność. Bała się rozglądać po jego sypialni, bo obrazy, jak ją kopał, bił, gdy nie mógł sprawdzić się jako mężczyzna, stawały jej jak żywe przed oczami. Nie chciała wspominać pierwszej nocy, gdy brutalnie pozbawił ją dziewictwa, a potem zostawił samej sobie w rozdartej, zakrwawionej koszuli, przerażoną i przepełnioną wstydem. Przełknęła ślinę i siłą powstrzymała łzy. Nie chciała przy nim okazywać słabości. Była pewna, że nawet teraz, schorowany i pozornie bezbronny, drwiłby z niej boleśnie.

– Lubieś upokarzać ludzi. Skrzywdziłeś mnie, Mariannę i te wszystkie dziewczęta, które po prostu chciały mieć kilka kopiejek dla siebie. Odebrałeś nam godność, a teraz żebrzesz o litość – rzuciła twardo. – Wybaczyłam ci twoje kochanki, wybaczyłam ci nawet to, co zrobiłeś mnie i Brunonowi. Wybaczyłam wszystkie intrygi związane z moją powieścią. Wszystko.

– Zabiłem twoje dziecko...

– Co takiego? – krzyknęła tak głośno, że na korytarzu zrobiło się poruszenie. – Zabiłeś Annę Marię? Powiedziano mi, że zmarła podczas porodu! Co jej zrobiłeś?! – Zerwała się z fotela i stanęła nad Hipolitem.

– Przekląłem ją. Życzyłem jej śmierci, kiedy ją rodziłaś. Życzyłem śmierci tobie i... Helga... ona... wtedy... Gdy powiedziałem, że życzę śmierci twojemu dziecku, ona przyszła mi właśnie powiedzieć, że dziecko urodziło się martwe... Przeraziłem się. Wtedy jeszcze raz, chyba na złość, przekląłem to dziecko i nagle konie w stajni zerwały się z głośnym rżeniem. Spojrzałem w tamtym kierunku, kątem oka dostrzegłem pogardę w oczach Helgi. – Mówił szybko, bezładnie, byleby wypowiedzieć dręczące go myśli. – Wcześniej proponowałem Heldze, że wyjedziemy do Odessy, chciałem jej kupić dom, zrobić z niej panią... ale za ten pełen pogardy wzrok przegoniłem ją, tak jak stała. Ona jedna mnie naprawdę kochała. – Pociągnął nosem i skrzywił usta w bólu. – Pewnie się stoczyła do rynsztoka. Nie miała wyjścia... – chlipał żałośnie.

– Nie stoczyła się. – Sara patrzyła na małżonka z litością. Było jej go żal. Mściwy, bezwzględny, bezduszny, teraz skomlał i rozpamiętywał poniewczasie sponiewieraną miłość do jedynej kobiety, która darzyła go szczerym uczuciem.

– Skąd wiesz? – Ocknął się z letargu, oczy mu się rozjaśniły, a z twarzy zniknął wyraz beznadziei.

– Wiem i już. Służy w zgromadzeniu sióstr szarytek. Pomaga bezdomnym dzieciom.

– Jeśli umrę, ty odziedziczysz po mnie wszystko, proszę cię więc, żebyś spełniła moją ostatnią wolę i przekazała Heldze przeznaczony dla niej zapis.

- Przekażę.
- Poproś ją, żeby pomodliła się za moją duszę.

– Poproszę – obiecała, ale nie wiedziała, czy Hipolit usłyszał jej ostatnie słowo, bo zamknął oczy i niemal natychmiast rozległo się ciche pochrapywanie. Sara patrzyła na chorego bez poprzednich złych emocji. Był dla niej obcym człowiekiem. Nie życzyła mu źle, ale też nie mogła się zdobyć na serdeczne współczucie. Miała do siebie żal, że nie jest dobrą samarytanką, a przecież tego wymagała od niej wiara.

Po opuszczeniu sypialni księcia długo stała w swojej komnacie z czołem opartym o szybę, zapatrzona w ciemność nocy. Świece zdążyły się wypalić, a ona wciąż rozmyślała o minionych latach. Coraz bardziej żałowała, że nie ma przy niej Marty. Jej jednej mogła powierzyć swoje myśli. Ochmistrzyni nie posiadała wykształcenia, ale potrafiła widzieć sprawy takimi, jakimi one są, bez arystokratycznej egzaltacji i ideowości, więc niejednokrotnie służyła jej radą, miała również intuicję do ludzi.

W końcu, zmęczona podróżą i rozmową z małżonkiem, Sara zadzwoniła po służbę, by któraś z pokojówek pomogła jej się rozebrać i przygotowała gorącą kąpiel. A kiedy ubrana w białą, długą koszulę nocną usiadła przy biurku, okazało się, że napisanie choć kilku zdań przerasta jej możliwości. Długo siedziała nad pustą kartką, aż w końcu dała za wygraną, zdmuchnęła świece i po omacku doszła do łóżka. Zmęczenie i emocje dnia nie pozwoliły zasnąć. Przelatywały jej przed oczyma sceny z początków małżeństwa, brutalne zbliżenia, galeria kochanek Hipolita, a także te późniejsze wspomnienia, kiedy zakochała się w Brunonie Dzikowskim. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo potrzebowała jego czułości. Gdyby nie miłość do Brunona, chyba nie dałaby rady przetrwać w tym strasznym domu pełnym tajemnic, niedopowiedzeń i koszmarów. Ostatecznie Bruno ją porzucił, nie zainteresował się losem ich dziecka, nigdy też nie zapytał o nie, nie odwiedził małej mogiły na cmentarzu Powązkowskim, ale teraz potrafiła godniej znieść odrzucenie. Straciła ufność do mężczyzn i do ludzi w ogóle. Jediną osobą, której ufała bezgranicznie, była Marta. Księżna uśmiechnęła się gorzko, bo nawet Marta, ze swoją świetną intuicją do ludzi, nie poznała się przecież na Hipolicie i nawet ona namawiała ją do tego małżeństwa.



Nad uśpioną Warszawą przetaczała się wiosenna poranna mgła. Gdzieniedzie zaszczekał pies zbudzony przedwcześnie czyjaś krzątanią lub nagłą potrzebą skorzystania z wychodka. Każdy nawet najmniejszy hałas na pustej o tej porze ulicy rozbrzmiewał kakofonią dźwięków niesioną przez odbijające się od budynków echo. Marta Skowronek czuwała przy oknie w salonie. Nie mogła spać tej nocy. Poprzedniego wieczoru przygotowała prowiant na drogę dla Waldemara. Wiedziała, że tego dnia udaje się do Saksonii, a w drodze powrotnej spełni obietnicę i zajędzie do Sępa po Ludwikę. Była mu za to bezgranicznie wdzięczna. Obawiała się, że wyczyn Ludwiki dotrze do uszu księżnej Sary i ta będzie miała żal, że Marta zataiła nieobyčajną sprawę swojej siostry i że sprowadziła pod warszawski dach kłopoty, dając towarzystwu i prasie pożywkę do nowych plotek. Ochmistrzyni bała się tego wszystkiego, ale jeszcze bardziej obawiała się, że rodzice stracą dom i przyjdzie im umrzeć w nędzy. Czekala więc teraz na pocztyliona, by wręczyć mu paczuszkę z prowiantem i życzyć mu udanej drogi.

Świtało już niemal, gdy usłyszała na bruku stukot końskich kopyt, a po chwili z unoszącej się mgły wyłoniła się żółta pocztowa bryka. Pobiegła na palcach do spiżarni po węzełek z prowiantem, a potem narzuciła na ramiona wełnianą chustę i wymknęła się z apartamentu. W mroku korytarza wymacała poręcz i zbiegła schodami do drzwi wejściowych. Pogrążeni w twardym śnie stajenni, którzy zajmowali stróżówkę, nie zwrócili uwagi na Martę. Wybiegła z budynku niezauważona akurat w momencie, gdy dyliżans podjeżdżał pod gmach poczty. Konie parsknęły, a z ich nozdrzy uszła para, zastukały kopytami w miejscu, gotowe do drogi. Z budynku poczty wyszli nieco zaspani dwaj pomagierzy, Waldemar zamienił z nimi kilka słów, a po chwili młodzieńcy zaczęli pakować paczki i kufry na dach dyliżansu.

Marta nie zdradziła jeszcze swojej obecności, bo lubiła ukradkiem przyglądać się ukochanemu. Wydawał polecenia pewnym głosem, pokazywał chłopakom, gdzie i co mają w pierwszej kolejności pakować i jak zabezpieczać, a przechodząc obok koni, zawsze głaskał je po pyskach. Rozczulał ją ten widok, bo wierzyła, że ten, kto jest dobry dla zwierząt, ma również serce dla ludzi. Oparła się o chłodną ścianę wnęki w drzwiach i niemal rozplakała się ze szczęścia. Wszystko wskazuje na to, że ten wysoki, postawny, energiczny mężczyzna naprawdę mnie kocha – rozmyślała błogo.

Waldemar Promyk intuicyjnie wyczuł, że jest obserwowany, podniósł głowę i spojrzał bezpośrednio na wnękę drzwiową, w której stała Marta. Uśmiechnął się do niej promiennie, dokończył przypinanie zabezpieczeń, a potem w dwóch susach znalazł się przy ukochanej.

– Jesteś tu... – powiedział cicho, szukając jej dłoni.

– Jestem. Mam dla ciebie trochę smakołyków na drogę – szepnęła na wdechu, bo jego bliskość dziwnie ją krępowała. Nigdy nie przeżywała tak silnych emocji. Coś irracjonalnego działo się z jej ciałem. Pragnęła dotyku jego dłoni, płomiennych pocałunków i czułych spojrzeń w oczy.

– Ja tym razem nic dla ciebie nie mam – wyznał zmartwiony. – Nie przypuszczałem, że będzie ci się chciało wstać tak rano, by mnie pożegnać. Moja kochana. – Podniósł dłoń i serdecznym gestem dotknął wewnętrzną stroną jej twarzy.

Ta intymna pieśczoła sprawiła, że coś w Marcie pękło. Przestała zważać na pomagierów pocztowych czy na to, że ktoś może ją zobaczyć i zgorszyć się jej zachowaniem. Wspięła się na place, uniosła twarz ku niemu i popatrzyła w oczy z jawną zachętą, by wziął ją w ramiona, przytulił i pocałował. Waldemar odczytał ten sygnał bezbłędnie. Otoczył ją silnymi ramionami i mocno przytulił. Stali tak objęci dobrą chwilę, oddając sobie pocałunki. Marta modliła się, by to trwało jak najdłużej.

– Za kilka dni wrócę, czekaj na mnie, kochana. Życ bez ciebie trudno, namieszałaś w mojej głowie i w moim sercu, oj, namieszałaś. – Zaśmiał się łagodnie. – Na mnie czas. – Odsunął ją delikatnie, bo nie miała siły, by sama opuścić jego silne ramiona.

– Przekaż to, proszę, mojej matuchnie. – Wyciągnęła z przepastnej kieszeni szarej sukienki sakiewkę z uzbieranymi z trudem rublami. Nie zważała na to, że pozbawia się tym samym ostatnich oszczędności. Mam wikt i opierunek, a sukienek pięknych mi nie trzeba – rozmyślała przygaszona. Nie wyobrażała sobie, że nie usłyszy trąbki pocztyliona, że nie zobaczy żółtego wielkiego powozu, jakim tylko Waldemar powoził. Mimo że stał jeszcze obok niej, chociaż wciąż czuła zapach jego wody po goleniu, oczyma wyobraźni już widziała zbliżającą się samotność.

Długo patrzyła, jak żółta buda dylizansu oddała się Krakowskim Przedmieściem. Wiedziała, że na placu Wareckim zabierze pasażerów i pomknie daleko, do miejsc, których ona nawet nie potrafiła sobie wyobrazić. Mgły się całkiem uniosły, a ulica powoli zaczęła ożywać. Sklepiarze otwierali okiennice, zamiatali ulicę przed witrynami, gosposie ruszyły na targ, taszcząc ze sobą wielkie wiklinowe kosze. Z niektórych okien dobiegał płacz dzieci i wrzask wyprowadzonych z równowagi matek. Warszawa budziła się do życia. Marta przypomniała sobie, że księżna nie zabrała jej ze sobą do Karczewa, i ogarnął ją niewypowiedziany smutek. Poczuli się sama na świecie. Nie chciała wracać do domu, bo podejrzewała, że wśród troskliwych spojrzeń Anieli i pokojówki, a także piętujących się pytań zwyczajnie się rozklei i wybuchnie płaczem. Nie rozumiała swojego zachowania. Kochała i była kochana. Jej pani miała do niej zaufanie, kazała jej odpocząć i zająć się sprowadzeniem siostry do Warszawy. Każda inna na moim miejscu uważałaby się za wybrankę losu, dlaczego więc jestem smutna? – zadawała sobie pytanie. Miała ochotę biec, aby tylko uciec przed myślami. Miłość jest okropna, bolesna, bezlitosna, a zarazem taka czuła i piękna – rozmyślała. Uśmiechnęła się i przebiegła przed dorożką na drugą stronę ulicy. Zerwała źdźbło trawy i wsadziła sobie do ust. Poczuli na języku smak kurzu pomieszanego z sokiem pierwszych roślin. Roześmiała się nagle do siebie, najpierw cicho, potem głośnie. Rozejrzała się, ale wokół nie było żywej duszy. Pozwoliła więc sobie na jeszcze głośniejszy śmiech.

– Oj, to się narobiło – powiedziała do siebie. – Zakochałam się. Ot, po prostu zakochałam się. – Poprawiła czepek i fartuch, wyprostowała ramiona, bo poczuła przyływ radości. – Tak, zakochałam się – powtórzyła już ciszej.

– Mamusiu, zobacz – zawołała dziewczynka, której obecności Marta nie zauważyła. – Zobacz, mamusiu, zakochana służąca.

– Nie marudź – burknęła kobieta i mocniej szarpnęła rękę dziewczynki.

– Zakochana służąca, przecież słyszałam, jak mówiła – upierała się dziewczynka, a potem odwróciła się do Marty i pomachała jej rozkoszną dziecięcą rączką.

Marta uśmiechnęła się do małej i również jej pomachała. Nagle jakiś potworny żal ścisnął jej klatkę piersiową. Zabrakło jej tchu i aż musiała się zatrzymać. Skończyłam trzydzieści dwa lata, stara panna ze mnie. Nie urodzę mu dziecka, ani jednego – rozmyślała żałośnie. Czy mam prawo zasłaniać mu sobą świat? Czy jeśli się ze mną zwiąże, to z czasem nie będzie żałował tej pochopnej decyzji, gdy na stare lata nie będzie mu miał kto podać wody? Zakręciło jej się w głowie, a do oczu napłynęły łzy. Kochała Waldemara tak mocno, że gotowa była poświęcić własne szczęście, byleby mu polepszyć byt. W końcu zrozumiała szaloną miłość swojej pani do Brunona Dzikowskiego. Nie był jej wart, a ona, niebożątko, cierpiała katusze. Dziś wprawdzie jej pani wydawała się wyleczona z tamtego uczucia, ale ono w jakiś sposób ją zła-mało. Odebrało jej spontaniczny śmiech, codzienną beztroskę i dziecięcy zachwyt nad światem. Potem przyszło jej na myśl, że jednak miłość do Brunona dużo też dała księżnej. Przede wszystkim dała jej odwagę. Księżna, która kiedyś słuchała ojca i matki, która potulnie poszła do ołtarza wbrew swojej woli, która spaliła w kominku swoją powieść, bo ktoś ją skrytykował, teraz tryskała niezłomną siłą do walki o swoje marzenia. Tylko że ja nie chcę, by mnie los doświadczył – strwożyła się. Boję się, zwyczajnie boję się razów od życia. Czy zawsze musi być tak, że miłość łączy się z cierpieniem? – zastanawiała się.

Poczuła na ramionach krople i ze zdziwieniem odkryła, że ulica na powrót opustoszała, a kocie łby, jakimi było wyłożone Krakowskie Przedmieście, błyszczą od deszczu. Musiało już padać jakiś czas, bo jej sukienka zdążyła przemoknąć. Powoli podniosła się z ławki i ruszyła w stronę domu.

– O, Matuchno Przenajświętsza, ochmistrzyni przemokła do suchej nitki. – Mela narobiła lamentu, jakby się paliło. – Tylko patrzeć, jak Marta się rozchoruje! Natychmiast niech ściąga tę przemoczoną kieckę, a i halka się pewnie w błocie utyłała – biadolila.

– Gdzieś ty była tak rano? Sprawunki wszystkie zrobione, niczego nie potrzebujemy, bo i nie ma komu szykować, póki księżna nie wróci z Karczewa. To gdzieś ty chodziła? – Zainteresowała się kucharka, taksując Martę wzrokiem.

– Och, Anielo, trochę więcej delikatności – ofuknęła kucharkę pokojówka. – Nie widzisz, że nasza Marta się zakochała? Na pewno dziś pocztylion do Saksonii wyjechał. A jak ktoś prawdziwie kocha, to rozłąka jest nie do zniesienia. Widziałam, jak dyliżans ruszał spod poczty. Końskie kopyta wybudziły mnie ze snu. Potem wyjrzałam przez okno i zobaczyłam pannę Martę i pana Promyka. Piękna z was para. I tak ślicznie się... – Mela chrząknęła i zamilkła, uświadomiwszy sobie, że nie powinna podglądać ani o tym rozpowiadać, ale ponieważ nikt nie zwrócił jej uwagi na niestosowność wywodów, ośmieliła się i dokończyła: – Piękna będzie z was para, Marto. Pewnie wkrótce poprosi cię o rękę. – Pokojówka uśmiechnęła się rozmarzona.

Jakież było zaskoczenie obu dziewczyn, gdy ochmistrzyni niespodziewanie zasłoniła rękoma twarz i zalała się łzami, a potem bez słowa uciekła do swojego pokoju.

– Jak nic zakochana – skwitowała to niecodzienne zachowanie Marty Aniela. – Prawdę powiadają ludzie, że zakochanym Pan Bóg rozum odbiera. Dobrze, że księżna tego nie widzi, bo

by załamała rękę. Kto będzie teraz nadzór nad księżnej gospodarstwem prowadził, skoro rozum ochmistrzyni poszedł się wczasować? Bo i czemuż ona popłakuje, skoro wiadomo, że pocztylion wciąż wyjeżdżać będzie w dalekie trasy? Taki urok pocztyliona.

– Oj, poradzimy sobie, Anielciu kochana, poradzimy ze wszystkim. Niech no tylko panna Marta będzie szczęśliwa. Płacze pewnie dlatego, że ukochany wyjechał, a ona strasznie zakochana w nim.

– Żeby tylko jej nie skrzywdził, bo od tego całego zakochania to wiele galimatiasu można zaznać. – Aniela kręciła głową z dezaprobatą, nie pochwalając gwałtownej kochliwości jak dotąd mądrej i wyważonej służącej.

– Nie mów tak, bo jak w złą godzinę się słowa wymówi, to to się sprawdza. A ja chcę, by panna Marta była szczęśliwa – ofuknęła ją Mela.

– Też mi mecyje. Zakochana służąca, tylko pracować nie będzie komu. Kto to widział, żeby samemu się zakochiwać, na wolę ojców się nie oglądać? Z tej całej kochaniny ino same kłopoty się rodzą – stwierdziła Aniela, nim poszła do swoich zajęć.



Maria Skowronek weszła do niewielkiej obórki, wsunęła pod ciasno zawiązaną na głowie chustkę niesforny kosmyk siwych włosów. Otarła rękawem pot z czoła i ustawiła zydelek przy boku niemłodej już krowy. Podkasła spódnicę i usiadła z wiadrem między kolanami, pogłaskała bok zwierzęcia i przemówiła czule. Krowa spojrzała na nią i wydała z siebie mruknięcie, jakby odpowiadała na pozdrowienie.

– Dobra krówka, bardzo dobra – pochwaliła ją Skowronkowa, a potem obmyła mokrą szmatką wymiona i delikatnie z wprawą jęła je pociągać. Ciepła strużka mleka uderzyła o bok wiadra. Maria lubiła przebywanie sam na sam ze zwierzęciem. Nachodziło ją czasami myślenie, że krowy są lepsze od ludzi. Tyle krzywd ją ostatnio spotkało. Tyle upokorzeń. Nie tylko ze dworu. Złe słowa od Sępińskich byłaby w stanie zrozumieć. W końcu życie ich syna się zawaliło. Ostał sam bez korzystnego mariażu, a wybranka, nie chcąc mu przebaczyć, wstąpiła do klasztoru. Och, gdyby tylko o te nieprzyjemności od jaśniepaństwa chodziło, Maria z mężem przyjmowałiby je w pokorze. Tyle tylko, że bardziej jazgotliwi i bezduszni okazali się sąsiedzi. Podchodzili pod okna i śmieli się, że już niedługo skończy się panowanie Skowronków w Sępach. Maria wcześniej przekonana była, że ludzie ich szanują. Od dziecka była oddana na służbę, jej mąż również. Swoje dzieci także prędko do służby przyuczyła i choć serce się krajało do pracy u obcych oddała. Ludziom pomagała, a ci z wdzięczności od czasu do czasu przynosili jajka do dworu czy kurę na rosół. Dopiero kiedy Sępińscy kilkanaście lat temu pozwolili postawić dom drewniany i dali kawałek ziemi oraz deski z tartaku, ludzie, którzy wcześniej uchodzili za przyjaciół i okazywali szacunek, nagle jakby zdziczeli. Już wtedy Maria i Józef odczuli ludzką zawiść. Wprawdzie sąsiedzi jeszcze się do Skowronków uśmiechali, bo a nuż coś u państwa Sępińskich wskórać za pośrednictwem Skowronków przyjdzie temu czy innemu, ale już szczerzej serdeczności w kontaktach brakło. Prawdziwa fala nienawiści przyszła, gdy Ludwika jawnie z paniczem zaczęła flirtować. Najpierw podpuszczali dziewczynę, potem się podśmiewywali, a jak skandal wybuchł, szydzili. Pod okna się zakradali i otwarcie się cieszyli, że wkrótce Skowronki na bruku skończą.

Maria westchnęła głośno. Krowa również mruknęła.

– Dobra krówka, kochana – pochwaliła. Ostrożnie odstawiła wiadro i zydelek. Uchyliła drzwi i postukując chodakami o pięty, ruszyła w stronę domu. Józef siedział na ławce pod płotem. Jego nieobecne, zgaszone spojrzenie bardziej zabołało Marię, niż fakt, że nie przyszedł jak dawniej pomóc jej dotaszczyć ciężkie wiadro z mlekiem.

– Co tak siedzisz? – rzuciła, ale jej nie odpowiedział. Postawiła więc wiadro, poprawiła chustkę na głowie, bo ta mimo ciasnego zawiązania pod brodą wciąż się przekrzywiała i nasuwała na oczy. Przysiadła na ławce obok męża. Chciała go pocieszyć, że wszystko się jeszcze ułoży, ale nie znajdowała odpowiednich słów. Sama też pragnęła zapewnienia, że skończy się ich udreka. Józef podupadł na zdrowiu, a kiedy wyrzucono ich z pałacu, musiał jak inni chłopci chodzić na odrobek. Marii serce się krajało, gdy zzuł kamerdynerski frak i w lichych łachmanach szedł robić w polu. Początkowo była pewna, że Sępińscy po pierwszym ataku gniewu opamiętają się, a przede wszystkim, że zabraknie im wyuczonej kucharki i oddanego kamerdynera. Szybko jednak na ich miejsce sprowadzili kogoś z miasta, a ich los zawisł na włosku.

– To Ludwika powinna... – Chciał powiedzieć, że córka powinna iść zamiast Marii do obory krowę wydoić, skoro i tak pracy nigdzie znaleźć nie może, ale umilkł, bo od strony dworu wyloniła się z tumanu kurzu wielka żółta pocztowa bryka, zaprzęzona w cztery kasztanowe konie. – Daj Bóg, żeby to od Marty...

Maria się przeżegnała nabożnie, bardzo chciała zobaczyć, kto do nich jedzie, ale z obawy o dopiero co udojone mleko, chwyciła wiadro i zaniósła je do kuchni. Wytarła ręce o fartuch, ale zanim wybiegła na zewnątrz, krzyknęła w głąb pokoju:

– Wstawaj, Ludwika, pocztylion od Marty jedzie!

Usłyszała jeszcze, jak zatrzeszczał stary siennik pod młodym ciałem dziewczyny, gdy ta się przeciągała, w progu jednym szarpnięciem ręki zerwała poszarzały fartuch, w którym doiła krowę, odrzuciła go na stojący w sieni za zasłonką worek z paszą i wybiegła do niespodziewanego gościa.

– Pochwalony – zawołał dziarsko rudzielec i pochylił się przed kobietą.

– A pochwalony, pochwalony. – Uśmiechnęła się szeroko. – Pan musi pewnie od naszej Martuni przybywać?

– Tak, przybywam od Marty – potwierdził.

– Kochana, nie zapomniła o nas. – Maria czuła, jak wielki kamień spada jej z serca. – To i pewnie po Ludwikę pan do nas przyjechał?

– Tak, szanowna pani, przyjechałem po Ludwikę. Marta chciała list pisać, ale ponieważ dotarłby zapewne razem ze mną, uznała, że nie pogniewacie się państwo, jak zabiorę Ludwikę bez umówienia się. Drugi raz okazja może się nie tak prędko trafić. – Poklepywał chrapy koni, które musiały mieć trochę czasu, by wyciszyć się z drogi. – Za pozwoleniem, wody ze studni dla koni zaczerpnę, bo kurz na drodze gęsty, niech odsapną przed dalszą drogą.

– Ależ tak, nabieraj pan wody. – Józef wyraźnie się ożywił na widok gościa. – Ludwika wstała? – zwrócił się do żony.

– Budziłam ją, ale pójde sprawdzic.

– Proszę zaczekać, mam dla państwa coś od Marty. – Wyciągnął z kieszeni lniany woreczek z pieniędzmi i podał stojącemu obok niego Józefowi Skowronkowi. – Prosiła, bym wam to przekazał.

– Kochane dziecko – skwitowała wzruszona matka. – Nie dość, że nam zdejmuję wielki kłopot z pleców, to jeszcze na przetrwanie dokłada. Niech pan jej od nas podziękuje. – Otarła łzę, chciała jeszcze coś powiedzieć, ale z trudem przetykała ślinę przez ściśnięte gardło.

– Toż to dużo pieniędzy. – Józef zajrzał do woreczka. – Skąd córka ma taki majątek? – przeraził się.

– Oszczędzała, panie Józefie. Bóg mi świadkiem, że panna Marta to uczciwa dziewczyna. Pewnie pomyślała, że wam bardziej są potrzebne te pieniądze niż jej. W domu księżnej Reszko niczego jej nie brakuje.

– A za Ludwikę trzeba będzie coś zapłacić? Za drogę chociażby...

– Proszę się o to nie martwić. Miejsce Ludwiki też jest opłacone – zapewnił z uśmiechem, który rozwiął strachy Skowronka.

– Może pan się posili, zanim Ludwika się wyrychtuje. Wprawdzie mamy tylko chleb ze smalcem, ale i chleb, i smalec własnej roboty – zachwalał.

– Chętnie. Napoję tylko konie.

Józef nie potrafił usiedzieć na ławce, ręce mu się trzęsły, a broda dziwnie drżała. Córka dotrzymała słowa. Miał wielką nadzieję, że jak Ludwika zniknie ludziskom z oczu, to w końcu także i im dadzą spokój. W mieście ona życie sobie ułoży, bo w Sępach nic już dobrego jej nie czeka.

– Pomóc panu? – zagaił pocztyliona.

– Nie, dziękuję, dam sobie radę.

– Widzę, żeś pan światowy człowiek, podróżujesz po świecie. Odważny pan jesteś. – Przyglądał się, jak Promyk zręcznymi ruchami nabiera wody ze studni.

– W takie dalekie trasy zazwyczaj nie jeżdżę sam. Mam zmiennika, no i cały dyliżans podróżnych. Na noc ich w gospodzie zostawiłem, a o świcie pomyślałem, że nim wstaną i wygrzebią się z pieleszy, zdążę obrócić do Sęp i z powrotem. – Opowiadał ze swadą. Widać było, że lubi to, co robi, i jest zadowolony z życia.

– Dziękować Bogu Marcie za takiego przyjaciela.

– Marta to dobra, mądra, piękna i bardzo pracowita kobieta. Mam w stosunku do niej jak najpoważniejsze zamiary. Chciałem spytać, jak będzie z nami pani Maria, ale skoro sam temat się pojawił, to spytam wprost. – Odstawił wiadro, stanął na baczność przed Józefem, chrząknął i niemal na bezdechu zapytał: – Panie Józefie, czy macie coś naprzeciwko mojej osobie jako mężowi dla waszej córki? Jeden jestem w rodzinie i tylko z moim czcigodnym ojcem mieszkamy. Miejsca mało, ale wystarczająco, by zbudować szczęście.

– Ależ skąd. Rad jestem, że nasza Marta takiego kawalera nam przywiozła. Błogosławię wam i szczęścia życzę.

Waldemar przyklęknął przed Józefem i pocałował jego starą dłoń. Skowronek rzadko kiedy się wzruszał, ale teraz beształ się za to, że lzy jak babie zaczęły mu płynąć po policzkach. Bez słowa położył rękę na rudych, kręconych włosach.

– Bóg zapłać, panie Józefie, nie zawiedzie się pan na mnie – obiecał młodzieniec.

– Bądź dobry dla niej – poprosił ojciec.

– Będę.

Nie było czasu na dłuższe rozmowy, choć Waldemar obiecał, że któregoś razu przyjadą z Martą, żeby dłużej porozmawiać i pobyć wspólnie, bo i ona zapewne spragniona rozmów z ojcami. Niemal w biegu zjadł pajdę chleba ze smalcem, popił kubkiem świeżo udojonego mleka i już pakował skromny toboł panny Ludwiki.

– Jedź, córko, do wielkiego miasta, a wstydu nam starym nie przynieś i Marcie większego niż trzeba kłopotu nie zrób – przestrzegł ją ojciec.

Maria Skowronek nakreśliła krzyż w powietrzu. Wprawdzie młodsza córka narobiła im nieszczęścia, ale matka kochała ją bardzo, jak każda matka kocha swoje nawet najbardziej niesforne dziecko. Żal gniótł ją w piersi. Nagle uzmysłowiła sobie, że bez dzieci, tylko dla samych siebie, życie jakoś straciło sens. Teraz myślała, że nawet i niechby te kłopoty były, ale żeby przynajmniej Ludwika z nimi mieszkała. Gdy dorożka zniknęła w tumanie kurzu, odprowa-

dzana przez dzieciaki, które ledwo się obudziły, Maria i Józef usiedli w milczeniu na ławce przed domem. Oto ostatnie ich dziecko jechało w świat. Zapewne nie będzie im dane oglądać wnuków ani wywiedzieć się, jak córki sobie radzą. Zнали tylko los trzech synów, którym polne kwiaty na mogiły od dwunastu lat nosili. Jeszcze wcześniej, gdy Maria i Józef pracowali we dworze, wiedzieli co nieco od Sępińskich, co słycać u Marty, bo ci przyjaźnili się z rodzicami księżnej Reszko. Teraz nawet gdyby im któryś z sąsiadów coś doniósł, to i tak nie byliby do końca pewni, czy zasłyszane wieści prawdą są, czy fałszem.

– Córki to już chyba tylko na pogrzeb nasz przyjadą – zadumała się Maria.

– Niech im się dobrze żyje, taka kolej rzeczy, że my, starzy, zostajemy sami. Niech im się dobrze wiedzie – powtórzył Józef z melancholią w głosie lub żalem za czymś minionym, a bezpowrotnie utraconym.



Świat pachniał wybujałą nagle wiosną. W lesie rozkwitły zawilce gajowe, szczawik zajęczy, fiołki, przylaszczki, miódunki. Ptaki wyśpiewywały najpiękniejsze poranne trele, a słońce rozpychało się przez niewielkie poranne mgły. Ludwika, podobnie jak wcześniej Marta, odmówiła jazdy w dylizansie. Kazała się wsadzić na kozła, bo jak twierdziła, po długiej i nudnej ziemi pragnęła chłonąć życie. Zmiennik poczytłona bardzo się ucieszył, że może zająć miejsce w środku i zdrzemnąć się w ciepłym acz dusznym powozie.

– Nareszcie coś zaczyna się dziać. Już nie mogłam usiedzieć w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu. Zazdrościłam Marcie, że się uwolniła od tej zaściankowości, od tych plotek, intryg i podziału na sfery. – Przy ostatnim słowie wydeła usta z pogardą.

– Po prawdzie, to w Warszawie podział na sfery także jest zachowany – bąknął poczytłion.

– Ależ co pan opowiada! – oburzyła się. – Wiem, że można chodzić do lokalów, gdzie bywają i z arystokracji, i zwykli ludzie. Może nie? – spytała zaczepnie.

– Owszem, są takie lokale. – Uśmiechnął się, bo przypomniał sobie ostatni wieczór z Martą i cukiernię Lourse'a. – Jednak proszę mi wierzyć, panienko, że dla arystokracji i lepszych panów to i stoliki są lepsze, a dla reszty znajdzie się stolik gdzieś w głębi zadymionej sali albo pod schodami.

– Tak czy siak, można usiąść w jednym pomieszczeniu z hrabią albo innym szlachcicem i przy odrobienie szczęścia... – Zawahała się, czy dokończyć, ale on roześmiał się jak z dobrego żartu.

– Przy odrobinie szczęścia zawojować dla siebie dobre życie, to panienka chciała powiedzieć?

– Niekoniecznie to, a choćby i nawet to, to co, zabroni mi pan? – Naburmuszyła się.

– Nie, nie zabronię, ale niech lepiej panna Ludwika wie, że poflirtować to każdy chętny, ale co do żeniaczki, to tu już podział na sfery murowany.

– To mówisz, Waldi – zdrobniła jego imię pieszczotliwie – że poflirtować to każdy chętny? – Zerknęła na jego reakcję, a zobaczywszy uśmiech na ustach, ciągnęła flirt: – Nie mówię, że od razu chcę iść za mąż za hrabiego, ale jakby się znalazł jakiś ustawiony życiowo mężczyzna... przystojny... z dobrym zawodem... to dlaczego nie? – Odrzuciła na plecy gruby warokoc i przymknęła oczy. Świadoma swojej urody, doskonale wiedziała, że mężczyzna na nią spogląda. Nie myliła się, Waldemar zerknął na nią raz i drugi, jak patrzy się na ładną i miłą dziewczynę. – Sam przyznaj, za ładna jestem do ciężkiej pracy. – Zaśmiała się, nie otwierając oczu.

Waldemar również się roześmiał. Nie odpowiedział, pomyślał natomiast, że młodość ma swoje prawa, nie zna życia, nie wie, jakie potrafi być brutalne. Zastanawiał się, patrząc na dziewczynę, czy kochała panicza Sępińskiego. Jeśli nie kochała, a wiedziała, że jest zaręczony, to jej dusza niewiele jest warta – pomyślał, poważniejąc.

– Na noc zajedziemy do gospody. Konie nocą boją się jechać, a i pasażerowie muszą rozprostować kości – rzucił, by przerwać tę pełną napięcia ciszę.

– Często nocujesz po gospodach? – Otworzyła oczy i spojrzała na niego z ciekawością.

– Zdarza się w każdej trasie i to po parę razy.

– Korzystasz z okazji? – Rysowała palcem kółka na szarym szalu, chroniącym ją przed zimnem i kurzem, ale zastygła w oczekiwaniu na odpowiedź.

– To znaczy? Co masz na myśli? – Udawał, że nie rozumie damsko-męskiej aluzji zawartej w pytaniu.

– Dobrze wiesz... Nie udawaj. Pytam, czy często korzystasz z okazji do bycia sam na sam z kobietą? – Podniosła na niego pełne blasku oczy.

Nie odpowiedział na jej pytanie, ale po stłumionym oddechu i zaciśniętych nagle na lejach dłoniach Ludwika rozpoznała męskie budzące się podniecenie. Działała na mężczyzn i była tego świadoma. Po zawiedzionej miłości do Piotra Sępińskiego wypróbowała na chłopach swoje kobiece sztuczki, by po haniebnym odrzuceniu panicza utwierdzić się, że jest warta grzechu. Ani razu nie zawiodła się na swojej urodzie, ponętnych kształtach i sztuce flirtowania, którą już jako młodziutka panienczka podpatrywała, ukrywając się za filarem na przyjęciach panicza Sępińskiego. Od roześmianych dziewcząt z dobrych domów nauczyła się zalotnie trzepotać rzęsami, ściągać usteczka w ciup, uprzednio je przygryzając lub szczypiąc, by stały się czerwieniejsze. Posiadła sztukę flirtu i uwodzenia, a że była pojętną uczennicą, panicz stracił dla niej głowę, nie na tyle jednak, by się z nią ożenić. Ona go mocno miłowała, a odrzuconą miłość odcierpiała, chodząc po łące i tam w ciszy wypłakując swoje łzy. Potem zhardziała, prowokowała nawet do plotek i zaczepek. Igrała z opinią sąsiadów. Teraz postanowiła wypróbować swoje wdzięki na pocztylionie, który wydawał się bardzo łatwą zdobyczą. Wprawdzie celowała dużo wyżej w hierarchii społecznej, ale szybko przeanalizowała, że i pocztylion byłby niezłym kandydatem na męża. Wykonywał prestiżowy zawód, był w wielkim świecie, miał kontakt z różnymi ludźmi, a więc i znajomości mógł sobie wyrobić – kalkulowała na chłodno. Spod długich wywiniętych rzęs spoglądała na jego barczyste ramiona i silne dłonie. Nagle panicz Sępiński o wątlej budowie ciała i chwiejnym, zbyt posłusznym rodzinie charakterze w porównaniu z tym silnym mężczyzną wydał jej się przebrzmiałym cieniem.

Zmierzchało już, gdy dojechali do stacji przepręgowej i zarazem gospody, stojącej na krzyżówce dróg. Waldemar i zmiennik pomogli podróżnym rozlokować się w wyznaczonych dla nich izbach. Stajenni chłopcy wyprzęgali konie, a znużeni podróżą goście zajęli miejsca przy długim, grubo ciosanym drewnianym stole. Ludwika siadła przy Waldemarze. Coraz bardziej podobał jej się ten przedsiębiorczy, silny mężczyzna. Stoczyła ze sobą krótką walkę, czy warto mierzyć zbyt wysoko i marzyć o tytule szlacheckim, czy brać to, co życie samo przyniosło jej w darze, czyli mężczyznę zaradnego, postawnego i o całkiem miłej powierzchowności. Coś jej podpowiadało, że Waldemar zainteresowany jest Martą, ale odrzuciła tę myśl. Nie czuła się związana z siostrą szczególną więzią. Nigdy wcześniej nie widziała jej na oczy. Nie przejawiała nawet szczególnej wdzięczności za wyrwanie z życiowego zakrętu, w jakim się znalazła. Nie prosiłam jej o to, ona pomaga matce i ojcu. Im chce ulżyć, nie mnie – zagłuszała wyrzuty sumienia.

Dziewczyna zachwyciła się swoim pierwszym w życiu wieczorem w gospodzie. Karczmarz z żoną dwoili się i troili, by zadowolić gości stawą i rozmową. Ich syn przygrywał na skrzypkach, mężczyźni zaczęli śpiewać i wznosić toasty za zdrowie gospodarzy. Kobiety pierwsze

wstały od stołu i udały się na spoczynek. Co bogatsze w pojedynczych pokojach, te mniej za-
możne we wspólnej izbie. Ludwika zauważyła, że Waldemar dostał pokój razem z drugim
pocztylionem. Tyle tylko, że tamten wcześniej udał się na spoczynek. Umyśliła sobie, że uwie-
dzie przyjaciela swej siostry. Widziała, jak podczas drogi na nią patrzył, jak podziwiał jej do-
rodne kształty, jędrne piersi i zaokrąglone biodra. Uwiedzenie go będzie sprawą prostą –
stwierdziła.

Gospoda pustoszała, jeszcze gdzieś przy stole chwiał się ten czy ów po zbyt chętnie
pitych toastach. Ludwika zdążyła ściągnąć sukienkę, rozebrała się też z bielizny i w samej
halce zakradła się na palcach do izby Waldemara. Wsunęła się do pomieszczenia ostrożnie, by
jej nie zgasła trzymana w ręku świeca. Towarzysz pocztyliona chrapał w najlepsze, a on leżał
na plecach z rękoma pod głową. Na widok niespodziewanego gościa podniósł się na łokciach
i spojrzał na dziewczynę zaskoczony.

– Stało się coś? – wyszeptał, by nie zbudzić towarzysza podróży.

– Boję się spać – skłamała. Postawiła świecę na stole i wsunęła się pod kołdrę mężczyzny.

– Utul mnie, Waldi – poprosiła słodkim okraszonym flirtem głosikiem. Czują, jak cały ze-
sptywniał. Obróciła się do niego bokiem i położyła mu rękę na klatce piersiowej.

– Nie możesz tu spać. – Delikatnie odsunął jej dłoń. – Nie masz się czego bać. Gospodarz
czuwa nad gośćmi całą noc, a w pokoju między kobietami nic ci nie grozi.

– A jak ktoś do mnie przyjdzie? Tak jak ja do ciebie? Nie ma skobli w drzwiach ani zasuw.
Nie jest tu bezpiecznie. – Znów próbowała się do niego przytulić. Początkowo chciał ją odsu-
nąć, ale nie miał w zwyczaju stosować siły wobec niewiast. Wstał więc pospiesznie z łóżka.

– Ludwiko, nie możesz tu zostać – powiedział stanowczo. Chrapanie na sąsiednim łóżku
umilkło. – Powtarzam, nic ci nie grozi w damskim pokoju. Chodź, zaprowadzę cię tam.

– Chcę zostać tutaj, u ciebie. Tylko przy tobie czuję się bezpieczna – spróbowała jeszcze
raz swoich kobiecych sił, lecz tym razem odtrącił jej dłoń, bo chciała pogłaskać go po umię-
śnionym brzuchu.

– Mowy nie ma – rzucił twardo. Wziął ze stołu pojedynczy lichtarz ze świecą, który przy-
niosła, i lekko popchnął dziewczynę w stronę drzwi.

– Och, jesteś wstrętny! – zawołała. – Nie jesteś prawdziwym mężczyzną!

Chciał dotknąć jej ramienia i ją uspokoić, bo krzyczała coraz głośniejsze, ale ona nagle wycią-
gnęła rękę i przejechała paznokciami po przedramieniu pocztyliona. Jej paznokcie rozryły mu
skórę, aż syknął z bólu. Świeca wypadła mu z dłoni i zgasła. Ludwika wymknęła się z pokoju
mężczyzn wściekła, ale też zła na siebie, że źle rozegrała tę scenę. Zarzucała sobie, że zbyt
agresywnie zadziałała, a on być może krępował się swojego towarzysza. Nie mogła zasnąć tej
nocy, obmyślała, jak zatrzeć złe wrażenie i jaką strategię przyjąć, by zanim dotrą do War-
szawy, jadł jej z ręki. Bo że go uwiedzie, tego była pewna.



Mahoniowy zegar ze złotym cyferblatem tykał jednostajnie, rozpraszając ciszę w bibliotece. Świece w złoconym lichtarzu zdążyły się wypalić, w powietrzu unosiły się jeszcze strużki dymu i wielkie pomieszczenie pogrążyło się w mroku. Księżna Sara Leokadia Reszko z opasłym woluminem na kolanach przysnęła w fotelu. Dni spędzone w posiadłości w Karczewie ją wyczerpały. Każdego ranka obiecywała sobie, że znajdzie dość siły, by sprzeciwić się oczekiwaniom rodziny, a także dworskim konwenansom i wróci do Warszawy, ale pod karcącym wzrokiem lekarzy, teściowej i samego Hipolita miękła i przesuwiała wyjazd. Atmosfera tego domu ją przygnębiała. Sara obwiniała się o brak empatii, ba, czuła się winna, że nie jest dobrą samarytanką. Ten stan potęgowała jeszcze obecność teściowej, która co rusz rzucała pod adresem synowej oskarżenia o brak lojalności i przyzwoitości względem małżonka.

Księżną wybudził z płytkiego snu gwar za oknem. Wyprostowała zdrętwiałe od siedzenia w jednej pozycji nogi, a wtedy opasłe tomisko spadło na podłogę. Podniosła je i odłożyła na otomanę. W niemal ciemnym pokoju podeszła do okna i spojrzała w dół. Na podjeździe stała elegancka bryczka zaprzęzona w cztery konie. Kamerdyner podawał rękę młodej damie w pięknym zielonym płaszczu. Sara pisnęła z radości, bo w eleganckiej kobiecie rozpoznała kuzynkę Mariannę. Odwróciła się od okna i szybkim krokiem przeszła przez bibliotekę. Zbiegła po schodach i znalazła się w objęciach kuzynki.

– Saro, jak dobrze cię widzieć. – Marianna Siwińska uściskała księżną i cmoknęła w oba policzki. – Kiedy tylko dowiedziałam się o stanie zdrowia Hipolita, natychmiast wyruszyłam w drogę. Nie wyglądasz najlepiej. – Poglądziła Sarę po twarzy.

– Ciebie też dobrze widzieć. Duszę się w tym domu, najchętniej wyjechałabym już dziś. Sama nie wiem, dlaczego jeszcze tego nie zrobiłam. – Westchnęła.

– Jak on się czuje? – Marianna podała służącej pelerynę, kapelusz i rękawiczki.

– Nadzwyczaj dobrze jak na ofiarę pojedynku. – Sara ujęła Mariannę pod ramię i poprowadziła do jej dawnej sypialni na piętrze. – Targają nim wyrzuty sumienia, a ja z kolei mam żal do siebie, że nie jestem w stanie mu wybaczyć tych wszystkich podłości. Choćbym nie wiem, jak się starała, nie potrafię. Owszem, mówię mu, że wybaczam, ale to tylko puste słowa.

– Może tyle mu wystarczy. W ogóle nie zasłużył na wybaczenie – skwitowała Marianna, zaciskając usta. Nie chciała pamiętać gwałtu Hipolita, gdy błagała go o interwencję w sprawie jej narzeczonego, a obecnie małżonka Nikodema Siwińskiego. – Przyjechałam tylko dla ciebie. Podejrzewam, że jesteś tu sama jak palec.

– Jestem sama. Nawet Marty ze mną nie ma – przyznała z westchnieniem.

– Kochanie, w takim razie dobrze zrobiłam, że gnałam tu co koń wyskoczy. Nie powinnaś być teraz sama. Szczególnie tutaj, w tym domu, w którym tyle nieszczęść się wydarzyło.

– Rozgość się, a ja każę przygotować kolację. Mam nadzieję, że nie zjawi się na niej matka Hipolita.

– Jest tutaj? Przecież to już starowinka.

– Niestety. W dodatku ta starowinka wyraźnie daje mi do zrozumienia, jak bardzo mnie nie znosi. Och, mówię ci, idzie oszaleć. Nie wiem w zasadzie, na co ja czekam, ani pisać, ani

spać, ani żyć – wymieniła rozdrażnionym głosem. – Obiecałam Gustawowi, że ukończę powieść w maju, ale pierwszy raz nie mogę skupić się na pisaniu. Nie idzie mi, nie napisałam od dawna ani słowa.

– Saro, jesteś artystką, a nie bezduszną maszyną. Daj sobie czas. Gustaw jest mądrym mężczyzną, na pewno nie będzie miał do ciebie o to żalu.

– On nie, sama mam do siebie o to żal – powiedziała już przy drzwiach.

– Nie oskarżaj się, kochana.

Sara uśmiechnęła się i wyszła wydać dyspozycję lokajom. Zapomniała już, jak to jest panować nad tak wielkim pałacem. W dodatku Frania gdzieś przepadła, wszędzie było jej pełno, ale gdy Sara jej potrzebowała, nigdy jej nie było pod ręką. Tak, Frania była tylko prostą pokojówką. Marta czuwałaby przy mnie i otaczała rozsądkiem i spokojem – pomyślała z czułością księżna Reszko.

W chłodnej ogromnej jadalni nie zastała nikogo. Zwabiona śmiechem, weszła do kuchni. Służba siedziała wokół zastawionego stołu i dyskutowała o czymś, wybuchając co rusz gromkim śmiechem. Nie zauważyli wejścia księżnej. Usłyszała swoje imię i zaraz potem chichoty. Zakłuta ją ta nielojalność, ale ze stoickim spokojem rzekła:

– Proszę przygotować kolację dla pani Marianny i dla mnie.

Na jej spokojne słowa wszyscy jak jeden mąż zerwali się od stołu.

– Jaśnie wielmożna pani, jadalnia za chwilę będzie gotowa. Na ile osób nakryć? – Kobieta na oko czterdziestoletnia, którą Hipolit najwyraźniej uczynił ochmistrzynią, wysunęła się nieco do przodu.

– Na dwie. Proszę nakryć nie w jadalni, a w bibliotece. Jadalnia jest zbyt wychłodzona. Nie rozumiem, dlaczego nie pali się w kominku.

– Bo księżna Anna nie kazała – odpowiedziała kobieta, nie spuszczać z niej hardego spojrzenia.

– Proszę napalić w kominkach. Ten dom i tak jest wystarczająco zimny i ponury. Dopóki ja tu jestem, ogień ma być podtrzymywany w każdym używanym pomieszczeniu – oświadczyła Sara.

Ochmistrzyni nie odezwała się więcej, tylko skinęła głową. Księżna wyszła, nie komentując zachowania służby. Znowu pomyślała o Marcie. Bolesnie odczuwała jej brak, zastanawiała się nawet, czy po nią posłać, ale odrzuciła tę myśl. W końcu za długo w Karczewie nie zostaną, no i mam Mariannę. Kochana jest, że przyjechała – pomyślała z wdzięcznością.

Gdy po godzinie weszły z Marianną do biblioteki, w kandelabrach paliły się świece, ogień wesoło trząsał w kominku, a stół przykryty białym obrusem niemal uginał się od potraw. Sara uśmiechem podziękowała lokajowi i odprawiła go ruchem dłoni. Chciała być z kuzynką sama. Nie знаła tych ludzi. Hipolit podczas jej nieobecności wymienił całą służbę. Nie miała pojęcia, komu z nich mogła zaufać. Obawiała się, że każde jej słowo jest przekazywane teściowej, Hipolitowi i z pewnością wynoszone poza mury pałacu.

– Saro, zanim usiądziemy, chcę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Nie wiem, czy to odpowiednia chwila, bo jesteś przygnębiona całą sytuacją tutaj – Siwińska zrobiła zamaszty ruch

ręką – ale chcę, byś ty pierwsza się o tym dowiedziała. – Zaczerpnęła tchu, zrobiła krótką pauzę, oczy jej rozbłysły, gdy wyjawiała swoją tajemnicę: – Wkrótce zostanę mamą.

– Och, moje najszczerze gratulacje. Jestem szczęśliwa. Gratuluję i tobie, i Nikodemowi. Wiele przeszliście, zasłużyliście na szczęście. – Księżna serdecznie przytuliła Mariannę, myślami zaś powędrowała do małej białej mogiłki na cmentarzu Powązkowskim. Na króciutką chwilę ukłuło ją uczucie zazdrości. Kiedyś nie chciała mieć dzieci, ale po śmierci Anny Marii jakaś cząstka jej duszy umarła.

– To dzięki tobie, Saro, możemy z Nikodemem cieszyć się małżeństwem. Gdyby nie twoje pieniądze i starania Gustawa Gurga, mój mąż nigdy nie wróciłby z zesłania. Jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

– Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo. – Sara starała się umniejszyć swoje zasługi. Nigdy nie przyznała się, jak wielką fortunę oddała za uratowanie życia Nikodema i ściągnięcie go z głębokiej Syberii. – Siadajmy, kochana, proszę. Wszystko tak kusząco pachnie. Same musimy się obsłużyć, bo nie chcę tu szpicli. Nie ufam nikomu ze służby w tym ponurym domu.

– Masz rację. Chcę ci powiedzieć, że w ogóle nigdy, ale to nigdy nie wolno bratać się ze służbą. Nawet tą najbardziej zafaną. – Patrzyła na reakcję księżnej, a nie doczekawszy się komentarza, ciągnęła dalej: – Moja matka była w Bielawie akurat w momencie, jak powóz książęcy podjechał przed ganek. Jakież było jej zdziwienie, gdy w reprezentacyjnym powozie Reszków zobaczyła nie ciebie czy ostatecznie Hipolita, ale twoją służącą.

– Marianno, doprawdy... i ty przeciwko mnie? – Sara odłożyła sztucce, bo nagle straciła apetyt.

– Wręcz przeciwnie. Nie jestem przeciwko tobie, a z tobą. Dobrze, że to na moją matkę trafiło, a nie na przykład na Sępińskich. Oni tylko czekają na co smakowitsze plotki. Bratanie się ze służbą jest w najgorszym stylu...

– Błagam, oszczędź mi tego. – Księżna wstała od stołu i stanęła przodem do kominka.

– Saro, kochanie moje, byłam przy tobie niemal zawsze, nawet wtedy w Warszawie, gdy Bruno...

– Nie! – Sara jej przerwała dość gwałtownie, a potem z uwagi na jej błogosławiony stan dodała łagodniej: – Nie wracajmy do tego. A co do Marty, ona jest mi jak rodzona siostra.

– No właśnie. O to w tym wszystkim chodzi, że to nie jest twoja siostra, tylko służąca. Zgadzam się z tobą, że bardzo sumienna i zafana, ale jednak to tylko służąca.

– Marianno, kochanie, czy możemy zmienić temat? Już wystarczy, że mnie samo przebywanie tutaj męczy.

– W Bielawie odbyła się narada rodzinna...

– Niech zgodnę, naradzały się moja matuchna i ciotunia Adelajda. – Sara roześmiała się gorzko. – Tylko nie mów, proszę, że przysłały cię tu jako emisariuszkę, by mnie na dobrą drogę sprowadzić. – Nie odwróciła się, gdy poczuła rękę kuzynki na swoim ramieniu. Nadal wpatrzona w ogień, nagle posmutniała. Nie chciała wspominać zdrady, której kuzynka dopuściła się w stosunku do niej, a której bardzo potem żałowała. Sara jej wybaczyła, zapomniała,

darowała winy, ale teraz w obliczu pouczeń tamte zapomniane zdarzenia kotłowały się w jej głowie.

– Kochanie, chodź, usiądź ze mną do stołu. Ja naprawdę chcę tylko twojego dobra. – Siwińska pociągnęła księżną za rękę, a ta niechętnie pozwoliła się prowadzić. – Ludzie z naszej sfery mają ci za złe, że parasz się pisarstwem. Żadnej szanującej się kobiecie nawet do głowy nie przyjdzie, by pisać powieści. Ja też tego twojego pomysłu nie popierałam, ale mimo wszystko pojechałam z tobą szukać wydawcy. Naprawdę, nie chcę twojej krzywdy. Nie chcę też, byś pozbyła się Marty Skowronek. Wiem, jaka ona jest mądra życiowo i na swój sposób inteligentna. Jednak taka przyjaźń... afiszowanie się twoim powozem... Ludzie gotowi pomyśleć, że w naszym towarzystwie... z wyższych sfer... nie potrafisz się odnaleźć... – dokończyła niemal z zawstydzaniem.

– Bardzo cię proszę, Marianno, nie mówmy o Marcie. Powiedz lepiej, co słyhać w Biela-wie, skoro stamtąd wracasz. – Przywdziała wymuszony uśmiech i nałożyła sobie plasterek szynki na talerz.

– W Biela-wie wszystko dobrze. Za to w Sępach... nieszczęście.

– Co się stało? – Sara wlepiła w kuzynkę wielkie niebieskie oczy.

– Nie zdziwiłaś się, że nie otrzymałaś zaproszenia na ślub Piotra Sępińskiego? – spytała niewinnie.

– Właściwie... nie. Nie myślałam o tym. Coś się stało? – spytała zaintrygowana.

– Otóż mówią, że zakochana w nim po uszy młodziutka narzeczona nie potrafiła wyba-czyć mu zdrady i do zakonu wstąpiła – rzuciła z przekąsem. Upiła łyk ciepłej herbaty ze śmie-tanką, a Sarze przeszło przez myśl, że Marianna po wyjściu za Nikodema zaczęła myśleć i za-chowywać się jak te wszystkie zamężne matrony, z których potajemnie się śmiały jako mło-dziutkie panienki.

– Tak bywa – bąknęła księżna. Ledwo знаła wybrankę Piotra Sępińskiego, ale mogła wy-obrazić sobie jej uczucia. Sama doświadczyła zdrady i poniekąd do dziś się po niej nie podnio-sła. Nie potrafiła już nikomu do końca zaufać.

– Piotr zdradził narzeczoną z piękną, dorodną dziewczyną. Ponoć bardzo urodziwą i py-skatą. Twoja Marta nie mówiła ci o tym? – udała zdziwienie.

– A co Marta ma z tym wspólnego? – Zaskoczona księżna odstawiła dzbanek z pokrzywo-wym naparem, który zdążyła wlać do filiżanki.

– No jak to co? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Marianna. – W końcu zapewne wła-snie w tej sprawie do ojców jechała.

– Moja Marta? – upewniła się Sara, dalej niczego nie rozumiejąc.

– Tak, kochanie, nikt inny jak właśnie twoja Marta. Przecież to ona jechała ratować z opr-ejsji swoją siostrę Ludwikę Skowronek, bo ją Sępińscy ze służby wygnali, a razem z nią ojca i matkę.

Sara nie odpowiedziała. Zastanawiała się, dlaczego Marta nie podzieliła się z nią swoimi kłopotami. Doszła jednak do słusznego wniosku, że nie miała kiedy tego zrobić. Zaledwie przyjechała, a już z Karczewa nadeszła wiadomość o pojedynku Hipolita. Poprosiła o pomoc

dla siostry, a ona jej tę pomoc obiecała. Trzeba będzie szybko załatwić dziewczynie pracę i poszukać jakiegoś miejsca do życia. Westchnęła głośno i zapatrzyła się w ogień.

– Nie pomyślałaś, że ta dziewczyna mogła Piotra kochać? Ma takie samo serce jak i my.

– Kochać? Przecież doskonale wiedziała, co robi. Sama wiesz, że związki poza sferą są niemożliwe – oburzyła się Marianna. – Nawet w romansach źle się kończą.

– Tak, wiem. Nie rozumiem jednak, dlaczego obwiniasz tylko ją. On według ciebie nie zawinił? Zapewne złamał dwa kobiece serca. A nawet trzy, bo jak znam życie, to jeszcze swojej matce – kąciuki ust uniosły się Sarze w nikłym uśmiechu na myśl, ile zachodu jejmość Sępińską kosztowało przygotowanie mariażu z najznakomitszą i najzamożniejszą panną na wydaniu.

– Saro, na litość boską, sama nie wierzysz w to, co mówisz. Przecież wiesz doskonale, że mężczyznom wolno więcej niż nam, kobietom. Jeszcze dużo wody upłynie w Wiśle, nim będziemy miało prawo do własnego zdania. – Marianna zirytowała się postawą Sary. Miała jej za złe, że ta wszystko przeinacza i nie staje po słusznej stronie. – Zawsze broniłaś z góry przegranych spraw – podkreśliła dobitnie. – A teraz, kiedy jesteś niezależna finansowo od męża, stałaś się wręcz rewolucjonistką. Poniekąd zaczynam rozumieć, dlaczego my, kobiety, powinnyśmy być pod opieką mężów.

– Naprawdę? – zakpiła Sara. Miała dość tej rozmowy. Radość z przyjazdu kuzynki prysnęła jak bańka mydlana.

– Saro, nie bądź taka. Daj sobie przemówić do rozsądku. Popatrz na swoją sytuację. Mieszkasz w Warszawie bez opieki. Nie spotykasz się za bardzo z ludźmi. No, ale to akurat rozumiem, od zawsze byłaś samotnicą. Otoczyłaś się służbą, na przykład choćby i Martą, której powierzasz wszystkie swoje sekrety i oczekujesz rady jak od wyroczni. Może i jest ona mądra życiowo, ale jest zwyczajną, prostą dziewczuchą. Nie marszcz brwi, proszę, tylko wysłuchaj mnie do końca. Nadmiar pieniędzy wyraźnie cię zdeprawował.

– Nie, nie miał okazji mnie zdeprawować – wysłała kuzynce uśmiech Mony Lisy.

– To dobrze... – zaczęła Marianna, ale Sara jej przerwała.

– Nie zdeprawował mnie, bo lwiał część pieniędzy, prawdziwą fortunę, przekazałam na ratowanie twojego narzeczonego. – Upiła łyk naparu z pokrzywy.

– Saro... poczekaj... – Marianna wyciągnęła rękę i próbowała zatrzymać księżną, ale ta wstała od stołu, nie zauważając nagannego spojrzenia Marianny ani jej wyciągniętej dłoni. – Jestem ci wdzięczna za uratowanie Nikodema. Tylko...

– Dobranoc, kochana, śpij dobrze. Masz za sobą wyczerpującą podróż, a i ja poczułam się zmęczona.

– Nie chciałam, by tak wyszło, ale obiecałam ciotce Klementynie i własnej matce, że przemówię ci do rozsądku. – Siwińska się zmieszała.

– Przemówiłaś, a teraz wypocznij i daj wypocząć mnie – rzuciła księżna z półuśmiechem, który zgasł natychmiast po tym, jak opuściła bibliotekę.

Tego wieczoru nie miała już siły, by zejść do sypialni Hipolita i choćby spojrzeć, jak wygląda i jak się czuje. Porozmawiała jedynie z medykiem, który drzemał na sofie ustawionej tuż obok drzwi sypialni księcia. Wybudzony z płytkiego snu, zrelacjonował jej, że Hipolit zjadł przyniesiony mu kleik, nie gorączkował i nie majaczył, a teraz śpi.

Leżąc w swoim pokoju, wpatrywała się w migocące na suficie cienie, które padały od kominka. Lubiła przytulność ciemnych pomieszczeń po zmroku, nawet ten pokój, który kojarzył jej się z najgorszymi chwilami w życiu, nabrał intymności. Tu przeżyła swoje pierwsze miłosne porywy serca z Brunonem. Tu rodziła się namiętność między nimi. Tu przyszła na świat jej córeczka, której płaczu nie dane jej było usłyszeć, i także tutaj mierzyła się z żałobą, najpierw po dziecku, a potem po kochanym mężczyźnie. Tyle się tu wydarzyło... Powiodła wzrokiem po pokoju. W wielkim lustrze trzydrzwiowej toaletki odbijały się płomyki ognia. Kiedyś, gdy była małą dziewczynką, kazała Marcie zasłaniać lustro. Bała się duchów. Słyszała od starej kucharki, że gdy noc zapada, duchy wychodzą na żer. Jako dziecko w to wierzyła. Marta nigdy nikomu nie zdradziła tajemnicy o strachach Sary. To był ich dziewczyński sekret. Przyszło jej do głowy, że zawiodła ją własna matka, a także ojciec, który nie stanął po jej stronie, tylko kazał iść za męża starszego od niej o dwadzieścia dziewięć lat tyrana, zawiodła ją ciotka Adelajda, którą kiedyś uważała za swoją przyjaciółkę, zawiodła ją także Marianna, a Marta nigdy. Marta nigdy nikomu nie zdradziła ich wzajemnych sekretów, a przecież za plotki o niej sprzedane do gazet mogła nieźle się obłowić. Tymczasem ona była wierna, oddana i dobra niczym najczulsza opiekunka.



Marta Skowronek nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Wysprzątała wszystkie kąty, wypole-
rowała srebra i kryształy, a także szyby w oknach, wyprała dywany, kanapy i pufy, a gdy apar-
tament księżnej Reszko lśnił jak najczystszy diament, zacerowała nawet stertę bielizny, która
zawsze czekała na potem. Wynajdowała sobie zajęcia, byleby tylko zagospodarować czas do
przyjazdu Waldemara. Spodziewała się ujrzeć go lada moment. Podpytała chłopaka z poczty,
ile czasu zajmuje droga do Saksonii i z powrotem, i obliczyła sobie, że powinien przyjechać
właśnie dziś. Toteż niespokojnie kręciła się po pomieszczeniach, a wszystko jej leciało z rąk.

– Uspokójże się, kobieto! – zbeształa ją w końcu Aniela. – Toż przyjedzie ten twój przy-
stojniaczek. On też bez ciebie przecie żyć nie może, a ty oczy sobie wypatrujesz. Doczekasz
się, a teraz uważaj, bo wszystko potłuczesz. Już żeś dwie filiżanki księżnej w drobny mak pu-
ściła, lepiej zostaw lichtarze i porcelanę, one i tak wypucowane przez ciebie, że świecą jak lu-
stro.

– Och, co ta tęsknota z człowiekiem robi – rzuciła ze śmiechem Marta. – Rzeczywiście,
wszystko mi dzisiaj z rąk wylatuje.

– Oj, mówią że miłość gorsza niż... już nie powiem co. – Kucharka roześmiała się życzli-
wie. Pamiętała, co to miłość, sama też kiedyś kochała, ale jej ukochany podupadł na zdrowiu
i młodo na gruźlicę zmarł. Poprzysięgła sobie nigdy za mąż nie wychodzić ani przed nikim
więcej serca nie otwierać. Ale ciepło jej się robiło na duszy, gdy patrzyła na zakochaną Martę.
Kibicowała jej, tak samo jak i Mela. A Mela za punkt honoru obrała sobie wyswatać ochmi-
strzynię.

– Jak tak patrzę na naszą Martę, to sama chciałabym się zakochać – skwitowała ze śmie-
chem pokojówka. – Jakaś ładniejsza się zrobiła, szlachetniejsza, weselsza, serdeczniejsza. Aż
miło popatrzeć, a niech nawet i tę porcelanę tłucze.

– Gorzej, jak przyjdzie jej za nią zapłacić, toż widać, że te złocenia to z najcenniejszego
kruszcza zrobione. – Kucharka kręciła głową.

– E tam, księżna nie skrzywdzi żadnej z nas. Ona muchy by nie skrzywdziła. Bidulka, cie-
kawo, jak sobie w tym Karczewie radzi. Aż strach pomyśleć, że teraz przyszło jej się księciem
Hipolitem zajmować, co jej nigdy nie kochał, a nawet sama widziałam, jak otrzymane jego
ręką siniaki przed światem zakrywała – trąkotała dziewczyna.

– Tylko nie powtarzaj tego nikomu – przeraziła się Marta.

– Nie powtarzam, tylko wam przecie mówię. A ty, Marto, sama przyznaj, toć widziałaś nie
raz, nie dwa siniaki wymierzone przez księcia. – Spojrzała na ochmistrzynię, ale Marta nie
podjęła tematu.

– To mówisz, że dziś ten twój wraca, tak? – zagaiła Aniela.

– Powinien dziś przyjechać, ale pewnie dopiero na wieczór. Droga długa, konie na stacjach
przepręgowych zmieniać trzeba, to i się schodzi.

– Z Ludwiką przyjedzie? – zainteresowała się Mela.

– Tak, obiecał, że zajedzie po nią. Mam nadzieję, że zabrała się z nim, bo matuchna i oj-
ciec poradzić już sobie nie mogą – zwierzyła się Marta. – Listu im nie wysłałam, nie wiem, co
i jak ostatecznie postanowili.

– Ładna ta twoja siostra? – Mela nie spuszczała wzroku z ochmistrzyni, mocując się jednocześnie ze słoikiem marmolady śliwkowej.

– Bardzo ładna, a dlaczego pytasz? – Marta zmarszczyła brwi. Coś ją w głosie pokojówki zaniepokoiło.

– Tak tylko pytam... A właściwie to wyznam, bo i dlaczego mam nie powiedzieć. Tak sobie myślę, czy ty się nie boisz, że twoja siostra sprzątnie ci sprzed nosa ukochanego? Często się słyszy, że albo najlepsza przyjaciółka, albo siostra czy kuzynka stają się przyczyną nieszczęścia w kochaniu – powiedziała poważnie.

– Oj, Mela, Mela – zganiła ją kucharka. – Ty jeszcze młoda i głupiutka jesteś, nie wiesz, że zakochany poza swoją miłością świata nie widzi? Choćby nie wiem, jak się pannica starała, to mężczyzna, co mu ukochana świat przesłoniła, nie obejrzy się nawet za inną. To właśnie jest miłość.

Marta nie skomentowała ani twierdzeń Meli, ani kucharki, ale czuła, jak po słowach Anieli wielki gład spada z jej serca. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że jej niepokój spowodowany jest nie tylko tęsknotą, ale także tłącym się uczuciem zazdrości o śliczną siostrę.

– Nic już nie rób, nie porządkuj, nie układaj, nie przecieraj, nie prasuj, co najwyżej możesz zająć się sobą. Przygotuj się na przyjazd nie tylko ukochanego, ale i siostry. Przełóż swoje rzeczy, by jej w komodzie i w szafie miejsce zapewnić, nawlecz nową poszewkę na pierzynę, żeby dziewczyna też czuła, że jej się życie na lepsze odmienia. – Łagodny głos Anieli działał na Martę kojąco, byłaby jej posłuchała, gdyby nie fakt, że wszystkie te czynności już wykonała.

– Wczoraj zwolniłam część półek, a i pościel na świeżą wymieniłam dziś rano – stwierdziła, rozkładając ręce, sama zdziwiona swoją nadgorliwością.

– Ano skoro tak, to się rychtuj i w oknie wyglądam. – Aniela, śmiejąc się, machnęła ręką. – Albo chodź do kuchni i przyglądaj się, jak makaron wyrabiam i suszę, żeby na zaś był. Tylko się nie bierz za robotę, bo mi jeszcze coś w kuchni zmajstrujesz.

Marta jednak i w kuchni długo nie usiadła, wciąż tylko od okna do okna chodząc, wypatrywała żółtego pocztowego dylizansu. W końcu ją Mela złapała za ramię i siłą przy toalecie księżnej posadziła.

– Chodź, bo cię ukochany zastanie utytłaną w mące od makaronu, a ty masz dziś lśnić jak gwiazda na niebie.

– Makaronu nie dotykałam ani mąki, więc jak mogę być utytłana? – zaprzeczyła nieświadoma, że pokojówka sobie z niej żartuje.

– Dobrze już, dobrze. Siedź spokojnie, a ja cię przygotuję na spotkanie z przeznaczeniem. Może o rękę poprosi cię jeszcze dziś. Musisz wyglądać wyjątkowo pięknie. – Mela zdjęła biały czepek z głowy ochmistrzyni, wzięła do ręki grzebień i zaczęła rozczesywać piękne, długie aż do pasa, ciemne włosy. – Są śliczne, takie zdrowe i lśniące – pochwaliła. – Uczeszę cię dziś w warkocz – powiedziała, ale Marta zakazała jej natychmiast tego pomysłu.

– Nie, nie warkocz. Zepnij mi włosy nad karkiem. Nie jestem już taka młoda, by nosić warkocze.

– Ależ jesteś młoda. Masz przecież dopiero trzydzieści dwa lata. Jesteś niezamężna, więc masz prawo do warkoczy. Zaplotę tylko jeden. Będzie luźny i opadający trochę z boku.

A z drugiej strony nad uchem upnę ci czerwony kwiat. – Bawiła się jej włosami, próbując różnych splotów, i patrzyła w lustro na odbicie ochmistrzyni.

– Czy nie będą wyglądała śmiesznie? Jestem stara...

– Wcale nie. Będiesz wyglądała przepięknie – zawyrokowała pokojówka. I rzeczywiście, zwinnymi palcami zaplotła włosy Marty w przepiękny warkocz, który przerzucony przez lewe ramię sprawił, że kobieta wyglądała jak nastoletnia dziewczyna. Czerwony kwiat wypięty na tę okazję z letniego kapelusza księżnej dopełnił całości. Wprawdzie Mela namawiała Martę, by ta pod nieobecność Sary ubrała się w jedną z jej sukien, ale ochmistrzyni kategorycznie odmówiła. Założyła swoją granatową sukienkę i przepasała się pożyczonym od Meli czerwonym szerokim pasem.

W końcu napięcie dnia sprawiło, że nie tylko Marta, ale wszystkie trzy kobiety stały w oknie i zza misternie upiętych firanek obserwowały ulicę. Słońce chyliło się ku zachodowi, ale jeszcze ciepłe promienie oświetlały ciepłym blaskiem fasady budynków, gdy na końcu ulicy zobaczyły toczący się żółty dyliżans. Marcie serce zabiło gwałtownie. Musiała zaczerpnąć haust powietrza, by uspokoić oddech i wyciszyć ekscytację spotęgowaną tęsknotą. Pojazd był jeszcze daleko, ale Marta uśmiechnęła się do przyjaciółek, ścisnęła ich dłonie i bez słowa zbiegła na dół.

Mela i Aniela uśmiechnęły się pobłaźliwie, wymieniając między sobą ciche życzliwe żarty. Lubily Martę, kibicowały mocno jej szczęściu. Jeśli uśmiechnęło się do niej, to może przyjdzie czas, że i do nich się uśmiechnie. Poszeptały między sobą o tym, że ochmistrzyni wygląda zachwycająco i że nigdy jeszcze nie widziały jej tak ogromnie rozradowanej. Musiała kochać tego swojego pocztyliona wielką miłością. W końcu spojrzały ponownie na ulicę, pojazd był tuż-tuż, niemal pod ich kamienicą. Nagle zamarły i spojrzały po sobie spłoszone.

Marta zbiegła po schodach, uśmiechnęła się do stróża i wybiegła przed budynek. Dyliżans właśnie stanął przed drzwiami poczty, sąsiadującej z ich budynkiem. Marta Skowronek zrobiła kilka kroków, bo bok dyliżansu przesłaniał jej widok na koziół, na którym siedział Waldemar. Wychyliła się do przodu i zamarła. Waldemar stał już na ziemi, uśmiechał się do Ludwiki, która jeszcze siedziała na koźle i coś do niego szeptała. Mężczyzna roześmiał się i wyciągnął do niej obie ręce. Siostra Marty trochę się droczyła, ale w końcu również wyciągnęła ręce. Zawirowała w powietrzu jej czerwona spódnica i biała halka obszyta koronką. Wszystko stało się tak szybko, że Marta ze ściśniętym sercem obserwowała, jak pocztylion przytrzymuje jej siostrę za szczupłą kibić, a ona obejmuje ramionami jego szyję, a potem...

Marta cofnęła się gwałtownie i zasłoniła ręką usta, by nie krzyknąć. Chłodna stal zdrady ostro wbijała się jej w serce niczym sztylet. Przed oczami miała Ludwikę i Waldemara połączonych w namiętym pocałunku. Stała jak urzeczona, niezdolna zrobić kroku. Świat jakby zamarł albo kręcił się w zwolnionym tempie. Wtem głośno, jęklonie zaskrzypiały drzwi budynku pocztowego i wybiegli z niego dwaj pomagierzy, żywo rozmawiając między sobą. Marta wiedziała, że za chwilę podejda do dyliżansu i zaczną rozładunek. Nie chciała, by ktokolwiek ją zobaczył. Cofnęła się i schowała za dylizans, a potem przeskoczyła za róg budynku. Słyszała perlisty śmiech Ludwiki i głos ukochanego, który już wydawał polecenia chłopcom do pomocy. Bała się wychylić zza rogu, ale też nie miała siły stamtąd odejść. Wiele by dała, by nigdy nie

ogłądać tej sceny. Słyszała jeszcze, jak pocztylion wprowadza Ludwikę do budynku księżnej Reszko, domyśliła się, że zapewne wniósł jej bagaż, a potem podśpiewując, zbiegł po schodach i nadzorował rozładunek. Był wesoły, wręcz radosny. Co chwilę się śmiał i żartował.

Stała ukryta za rogiem dopóty, dopóki dyliżans nie odjechał. Na dworze już zupełnie poszarzało. Dopiero kiedy ucichły pokrzykiwania przechodniów i stukot końskich kopyt, wyszła zza rogu i poszła przed siebie. Wiedziała, że Warszawa nocą potrafi być niebezpieczna, ale było jej wszystko jedno. Wysunęła kwiat z włosów, bo wydał jej się nie na miejscu, najchętniej i warkocz upięłaby w ciasny kok, ale nie miała przy sobie spinek. Odwiązała czerwony pasek i zwinęła go razem z kwiatem księżnej Reszko w mały węzełek. Dopiero kiedy doszła nad Wisłę i zapatrzyła się w czarną toń wody, dotarło do niej, co tak naprawdę się stało. Poczuła, jak wszechogarniająca, pełzająca samotność zimnym jęzorem liże jej piersi i mrozi serce. Jaka jestem głupia, jak strasznie głupia, że dałam się omamić jak jakaś szalona panienka, co pierwszy raz doświadcza miłości – pomyślała, zapatrzona w nurt rzeki. – Skoro Dzikowski porzucił moją panią, taką dobrą, taką zdolną, taką śliczną, taką mądrą, to gdzieżbym ja mogła marzyć, by mnie pokochano. Ot, zadrwił ze mnie, ośmieszył, przeklęty bawidamek. Złamał mi serce i pozostawił w smutku...

Dopiero teraz pozwoliła sobie na łzy. Rękawem swojej najładniejszej sukienki ocierała nos i policzki. Nie mogła uwierzyć, że jeszcze rano była tak szczęśliwa, tak stęskniona, przepelniona miłością do mężczyzny, który okazał się niewart kochania. Przypomniała sobie, jak dawno temu jej pani porzucona przez Dzikowskiego mało nie zamarła w karczewskim parku, gdy zrozpaczona, nieszczęśliwa i samotna boso wybiegła w noc. Popadła wtedy bidulka w chorobę, a potem w tej chorobie wydała na świat martwą córeczkę. Przypomniała sobie też swoje słowa, którymi wówczas księżną pocieszała. Tłumaczyła jej w tamtą okrutną noc, że nie wolno tak rozpaczać, że żaden mężczyzna nie jest wart tak wielkiej rozpacz, nie godzi się, żeby po nim aż tak płakać. Wiedziała to wszystko. Rozumiała, tylko nie miała pojęcia, dlaczego ona sama teraz nie mogła złapać tchu, dlaczego trzęsły jej się dłonie, dlaczego na przemian było jej to gorąco, to znowu trzęsła się z zimna jak liść szargany porywistym wiatrem. Przypomniała sobie, że niedaleko, a właściwie tuż obok spacerowali z Waldemarem nadwiślańskimi bulwarami, snując plany o wspólnej przyszłości. To wspomnienie zadało jej niewyobrażalny ból. Mogło być tak pięknie, mogliśmy przeżyć razem życie, mogliśmy zbudować nasze małe szczęście, tylko dla nas, we dwoje. Jak on mógł to wszystko zepsuć? – zastanawiała się. Musi nie mieć serca ani litości nade mną.

Jakaś zakochana para usiadła tuż obok. Szeptali sobie czułe słowa, zapewniali o wielkim uczuciu. Marta siłą powstrzymała łzy, by nie zdradzić swojej obecności. Skuliła się i niemal zamarła bez ruchu. Słyszała ciężkie oddechy tamtych dwojga i mlask rozognionych pocałunków. Po jakimś czasie mężczyzna poprosił swoją ukochaną o dowód miłości, początkowo się wzbraniała, a potem mu uległa. Marcie policzki płonęły. Czuła się nie na miejscu. Tłumaczyła sobie, że nie chce przeszkadzać kochankom, ale odejść też nie potrafiła. Z ust kobiety wydobył się jęk. Nie było w nim przerażenia, wręcz przeciwnie. Cichy, ciepły głos sprawiał wrażenie zadowolenia. Sapnięcia mężczyzny stały się szybkie, rytmiczne, aż z jego ust wydobył się przeciągły jęk. Kobieta również dołączyła do tego jęku cichym rozkosznym posapywaniem.

Marcie zaschło w gardle. Bała się jednak przełknąć ślinę, a nawet swobodniej zaczerpnąć tchu. Łzy nadal płynęły jej po policzkach, ale zafascynowana nieznanymi odgłosami, nie zwracała uwagi na łzy. Jej serce, ale i podbrzusze, a także piersi pulsowały. W jej ciało wstąpiło jakieś nieznane szaleństwo. Siedziała chwilę jeszcze bez ruchu, ale w końcu nie wytrzymała, bo rozpacz wzięła górę. Już nie potrafiła się opanować i rozsłochała się rozpaczliwie jak dzikie zranione zwierzę. Słyszała, jak tamtych dwoje zamarło, jak w pośpiechu wciągają na siebie ubrania i jak odchodzą wypłoszeni. Było jej wszystko jedno. Nie obchodziły jej niczyje uczucia. Czuła się skrzywdzona, okradziona z miłości i odrzucona. W tej chwili nienawidziła Waldemara. Odebrał jej szczęście, odebrał jej przyszłość i nadzieję. Chciał się tylko zabawić, może nawet śmiał się z niej za plecami.

Podniosła się z trawy i wolno ruszyła przed siebie wzdłuż Wisły. Bezgwiazdne niebo pokryło miasto czarnym kirem. Gdzieś z oddali dochodził do niej co rusz rechot i głośne pokrzykiwania warszawskich rzezimieszków, ale ona nie zważała na nich, bo straciła ochotę na życie. Najbardziej bolało ją, że nigdy nie dozna tego fascynującego cielesnego zbliżenia. Nie zazna tej rozkoszy, jaka łączy zakochanych w sobie ludzi. On mi to odebrał – pomyślała, zacisnęła dłoń w pięści i znów się rozpłakała. Nie mam po co i dla kogo żyć! I nagle przyszło jej do głowy, że księżna też zapewne jest sama i że jej potrzebuje, i że przecież ma dla kogo żyć, właśnie dla niej. Zaraz jednak przypomniała sobie, że księżna wybrała Frankę i że jej nie chciała ze sobą zabrać w chwili smutku. Myśl, że jest całkowicie sama na świecie, spadła na Martę nagle i ogłuszyła ją. Otaczające ją ciemności spotęgowały uczucie pustki i osamotnienia. Naraz przyszedł paraliżujący strach. Nie bała się jednak ludzi czy ciemności. Bała się pustki, bała się życia ze złamanym sercem, bała się tej potwornej tęsknoty, która już nią ośwładnęła, i bała się, że już nigdy nikt jej nie pokocha i że nie znajdzie sensu życia.



Nad Warszawą przetoczyła się pierwsza wiosenna burza. Deszcz bębnił o dachy, o bruk, a potem spływał rynsztokami, unosząc brunatną breję. Oczyszczył miasto i przyniósł ziemi życiodajną siłę. Szarzało już, gdy Marta Skowronek doczłapała do sąsiadującej z pocztą kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu. Przemoknięta, zziębnięta, przygnębiona i zobojętniała na cały świat, weszła do budynku. Na jej widok stróż zerwał się z kanapy, na której drzemał, ale nie skomentował jej żalosego wyglądu. Wejście po schodach na pierwsze piętro zajęło jej dobrych kilka minut. Zastukała cicho kołatką do drzwi, a te natychmiast się otworzyły, jakby ktoś czekał po drugiej stronie.

– Matko Przenajświętsza, dziękuję ci za wysłuchanie błagalnych modlitw – zawołała cicho Aniela i zrobiła na piersiach znak krzyża. – Marto, bój się Boga, jak można tak się poniewierać po mieście calutką noc. Narażać życie i zdrowie – biadoliła.

– Cośmy z Anielą przeszły przez ciebie. Ani oka nie zmrużyłyśmy. Chodziłyśmy cię szukać, ale jak kamień w wodę, gdzieś ty się podziewała? – Mela z zaczerwienionymi oczami kręciła głową nad lekkomyślnością ochmistrzyni.

– Chodź do kuchni, rozgrzejesz się nalewką. Ściągaj tę przemoczoną kieckę. W chorobę jak nic popadniesz. Chodź do kuchni, no już. – Aniela pociągnęła Martę za łokieć, bo ta stała w korytarzu jak słup. – Mela, wytrzymaj te mokre ślady, bo jeszcze kto nogę złamie na śliskim.

Marta dała się prowadzić do kuchni, ale nie miała siły, by ściągnąć sukienkę. Gruby materiał nasiąkł wodą i przykleił jej się do ciała. Czerwone od zimna, zeszywniałe dłonie odmawiały posłuszeństwa. Dopiero wypity alkohol rozlał się ciepłem po jej zziębniętym ciele i przywrócił jej nieco życia. Pociągnęła nosem, krople deszczu spływały jej z czoła i zawisły na czubku nosa. Westchnęła głęboko. Nie płakała, bo tam nad Wisłą w ciemności nocy wypłakała wszystkie łzy. Dała sobie ściągnąć sukienkę i owinać się w miękkie prześcieradło, które Mela najpierw ogrzała, przytrzymując je przy kaflowej kuchni. Otulona w ciepły szary materiał i raz za razem popijając łyk nalewki, Marta odzyskiwała czucie w zziębniętych członkach. Czuliła wdzięczność dla opiekujących się nią kobiet. Teraz bardzo potrzebowała dowodów życzliwości.

– Gdzieś ty chodziła? Dlaczego nie wracałaś tak długo? – Aniela przetarła podpuchnięte oczy, zmęczenie wyrysowane na jej niemłodej już twarzy wzruszyło Martę.

– Przepraszam, zgubiłam się. – Wyciągnęła wciąż jeszcze lodowatą dłoń i położyła na dłoni kucharki.

– Zgubiłaś się? – spytała Mela z kpina w głosie. – Przecież to niemożliwe. Jak mogłaś się zgubić, przecież chodzisz codziennie na targ? – Machnęła zamaszycie ręką.

– Uspokój się, Mela. Idź się przespać, bo całą noc na klęczkach spędziłyśmy, do Najświętszej Paniarki modląc się za ciebie, Marto. – Kucharka zgromiła wzrokiem pokojówkę. A ta natychmiast spuściła głowę.

– Dziękuję wam za modlitwy. Nie chcę na razie mówić o tym, co mi się przytrafiło, bo... sama najpierw muszę z tym wszystkim sobie poradzić – wyznała Marta.

– Toż my wiemy, co się stało. Przecie też w oknie stałyśmy i widzieć wszystko widziałyśmy. Żal miałaś do niego, że tak hołubił tę twoją siostrę. – Cichy głos i słowa Meli sprawiły, że

Marcie znów popłynęły łzy.

– Nie potrzeba tak rozpaczać, może na te ich żarty jakieś wytłumaczenie jest – stwierdziła kucharka, sama nie dowierzając w to, co mówi. Widziały przecież z Melą, jak Ludwika głowę na jego ramię położyła, jak szczebiotała do niego niczym ptaszek, jak zawisała na nim i całować go zaczęła, a on się temu poddał...

Marta zwiesiła głowę, nie chciała, by widziały jej łzy. Wdzięczna była kobietom za pomoc i serce, ale wstydziła się i przed sobą, i przed nimi, że Waldemar tak perfidnie ją upokorzył.

– Pytał o ciebie, gdy torbę Ludwiki przyniósł, ale myśmy powiedziały, że cię tu nie ma. Myślałyśmy, że czekasz na niego ukryta i chcesz mu niespodziankę zrobić. Dopiero kiedy zobaczyłyśmy, że odjeżdża, a ciebie z nim nie ma, wpadłyśmy w popłoch – opowiadała Aniela. Oparła łokcie na stole, bo głowa jej ciążyła od nieprzespanej nocy. Bardzo współczuła Marcie. Jeszcze wczoraj tak radosna i piękna, dziś przedstawiała się jak nieszczęście.

– Gdzie ona jest? – spytała wolno Marta.

– Kto? – spytała kucharka, bo nie od razu zorientowała się, kogo ochmistrzyni ma na myśli.

– Panna Ludwika? – sprecyzowała pytająco Mela, i nie czekając na odpowiedź, wyjaśniła: – Jak tylko pan Promyk ją tu do nas przyprowadził, jeszcze chciała mu się na szyję rzucać, ale on, zważywszy na naszą obecność w holu, złapał ją za dłonie i objąć się nie pozwolił. O ciebie zaczął rozpytywać, a że myśmy nie wiedziały, gdzie jesteś, to poszedł. A ona ledwo się z nami przywitała i swoje rzeczy do twojego pokoju zaniósł, zjadła, bo głodna po podróży i zmęczona była, obmyła się i poszła spać. No i śpi do teraz.

– Nie spytała nawet o mnie? – zdziwiła się Marta.

– No, skoro pocztylion pytał, a ona to słyszała, to i pytać się już dodatkowo nie musiała. Wiedziała, że ciebie nie ma. – Aniela wzruszyła ramionami.

Mela wstała, wzięła balię, w której obciekały bielizna i sukienka Marty, i poszła na strych, by je rozwiesić na sznurze. Ochmistrzyni do niedawna miała tę dziewczynę za leniuszka, ot, zakręcić się, pośmiać, po łebkach robotę wykonać, dopiero dziś pierwszy raz uważniej jej się przyjrzała i ze smutkiem odkryła, że nie doceniała Meli. Bywała dla niej surowa i niesprawiedliwa. To odkrycie pogłębiło jej smutek. Stara już jestem i nie nadaję się na ochmistrzynię – stwierdziła w duchu. Przymknęła oczy i wyzbyła się wszelkich myśli. Najchętniej poszłaby do swojego pokoju i zapadła w sen, ale tam spała Ludwika. Nie miała ochoty na konfrontację z siostrą.

– Marto, otrząśnij się z tego. Nie rozgrzebuj, nie rozpamiętuj, nie pokazuj po sobie swojego smutku. Nie raz, nie dwa nam służącym przyszło cierpieć z powodu rozdzielania od rodziców dzieci, z powodu choroby czy śmierci bliskich. – Aniela spoważniała. Dotknęła ramienia Marty i łagodnie nim potrząsnęła. – Złamane serce przytrafia się niemal każdej z nas, nie omija też mężczyzn. Nikt nic na to nie poradzi. Nie umrzesz od tego, nie ty pierwsza i nie ostatnia tak cierpisz. Jednak jeśli stracisz posadę, to twoje życie rzeczywiście się zawali, a nie długo będziesz musiała pomagać również rodzicom. No i siostrze też musisz pomóc usamodzielić się przynajmniej na tyle, by oddała ci twój pokój.

– Masz rację. – Marta westchnęła i otarła resztki łez. Poprawiła koc, bo zsunął jej się z gołych ramion. Na policzkach wykwitły jej rumieńce od nagłej zmiany temperatury, a także wypitej nalewki. – Mam do ciebie i do Meli prośbę... Nie mówcie Ludwice, że... kochałam Waldemara. Nie chcę, by o tym wiedziała.

– Racja. Lepiej niech nie wie, bo i po co dawać jej satysfakcję. Tylko czy ona się tego nie domyślała? Przecież to gołym okiem było widać.

– Nie wiem. Nawet jeśli się domyślała, to pewności mieć nie mogła, bo i skąd, ja z nią o tym nie rozmawiałam. On... on też pewnie nie...

– Ode mnie też się nie dowie ani od Meli. Mela jest okropnie rozczarowana, kibicowała waszej miłości... – Kucharka nagle umilkła. Wstała od stołu, zebrała kubki, kieliszek i saganek z nalewką. – Idź się zdrzemnij, długi dzień przed nami, ja też się jeszcze prześpię z dwie godzinki. Tylko patrzeć, jak księżna z Warszawy ściągnie do domu, długo ona tam z tym okrutnikiem nie wytrzyma.

Marta wciąż się ościagała, dopiero kiedy usłyszała skrzypienie drzwi i do kuchni weszła Mela z pustą balią, podniosła się z krzesła i skierowała się do swojego pokoju. Na dworze już zrobiło się całkiem jasno i pierwsze przebłyski słońca wdzierały się przez niezastłonięte koutary. Ochmistrzyni stanęła w osłupieniu. Jeszcze nigdy w tym małym pokoiku nie widziała takiego bałaganu. Na środku leżał rozbebeszony toból, na podłodze walały się trzewiki, kolorowe chustki, halki, dwie czerwone spódnice, kaftany i kilka par bielizny. Wciąż owinięta w szare prześcieradło Marta oparła się o drzwi i przyglądała śpiącej nagiej siostrze. Prześlizgiwała wzrokiem po rozspanych na poduszce ciemnych, długich włosach, zaróżowionych od snu policzkach, jędrnych piersiach i długich nogach. Z łóżka zwisała bezładnie odrzucona kołdra. Marta nacisnęła klamkę, lekko uchyliła drzwi i umyślnie nimi trzasnęła. Ludwika otworzyła oczy, lecz natychmiast je zmrużyła i się przeciągnęła.

– Baby i dziada tylko brakuje, potworny bałagan zrobiłaś. Wstawaj i sprzątaj – burknęła gniewnie Marta.

– Co ciebie ugryzło? Nawet nie raczyłaś przyjść, jak przyjechałam, a teraz się ciskasz, zamiast się przywitać – mruknęła. Energicznym ruchem naciągnęła kołdrę i przesunęła się pod ścianę. – Kłapnij, miejsca nie za wiele, ale chude jesteśmy, to się pomieścimy.

Marta, wciąż otulona prześcieradłem, położyła się z brzegu łóżka. Leżąc na wznak, zastanawiała się, jak to teraz będzie. Nie miała zamiaru matkować Ludwice, w końcu dziewczyna osiągnęła pełnoletność. Była też przyuczona do służenia we dworze. Powinna sobie poradzić. Wprawdzie nie spytała siostry o książeczkę służby, ale miała tę nadzieję, że w razie jej braku protekcja księżnej Sary wystarczy, by znalazła jakąś posadę. Zamknęła powieki, ale sen nie nadchodził. Wypity alkohol, przeżycia ostatniej nocy, ogromny żal i niechęć do siostry mąciły jej umysł. Kołowrotek myśli potęgował niepokój.

– Nie było cię, a ja chciałam ci co nieco opowiedzieć, a jest o czym. Poczyliion nie odrywał ode mnie wzroku. Przyznam, całkiem przystojny mężczyzna. Nawet te jego rude włosy dodają mu urody. – Ludwika się rozbudziła i jęła relacjonować siostrze przeżycia z podróży. – A jak całuje, mówię ci...

– Nie dość ci było kłopotów z paniczem Sępińskim? – Starsza siostra starała się ostudzić jej kochliwe opowieści, ale Ludwika tylko się zaśmiała.

– Sępiński przy Waldim to jak uczeń przy arcymistrzu.

– Myślisz, że oddając się przypadkowemu mężczyźnie, którego widzisz pierwszy raz w życiu, zdobywasz jego szacunek? – Marta nie miała ochoty na tę rozmowę, głos siostry i jej przechwałki dobijały ją i potwornie bolały.

– Szacunek? – prychnęła. – A co mi po szacunku? Mam w nosie szacunek. Planuję usidlić kogoś w miarę zamożnego i szybko wyjść za mąż. Nie mam zamiaru być posługaczką jak matka czy ty. A nawet ojciec. Na pańskim garnuszku siedzieć. I to cicho, by za byle co nie wywalili ze dworu i z domu. Ojce teraz na łasce i niełasce Sępińskich, choć wiernie im służyli. I za co? Za to, że ich synalek okazał się tchórzem?

– Tchórzem? A liczyłaś na ożenek? – Marta przekręciła głowę i wbiła w siostrę zdziwione spojrzenie.

– Tak, liczyłam, a co ja gorsza niżli te panienki z wyższych sfer? Mam wszystko, co potrzeba...

– Oprócz odpowiedniego urodzenia – przerwała jej Marta.

– I bez tego karierę zrobię. Przekalkulowałam wszystko, w gospodzie się o to i owo wypytalam, a karczmarzowa po wypitku skora do gadki się okazała. Powiedziała mi, że pocztylion bardzo dobrze zarabia. Żony pocztylionów żyją jak pączki w maśle. Jak się nad tym zastanowiłam, to doszłam do wniosku, że tytuł mi niepotrzebny. Waldi będzie zarabiał, a ja... no cóż, do pracy mnie nie ciągnie, więc dobrze wyjść za mąż potrzebuje.

– Jesteś pewna, że będzie cię chciał? – Starsza siostra zamarła w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Pocztylion? – Ludwika nadęła ponętne usta. – On oczu ode mnie nie mógł oderwać. Ślinił się do mnie jak kawaler, co nigdy panienki nie obracał. Prosił, bym obok niego na koźle jechała. Z początku nie bardzo chciałam się zgodzić, bo to kurz i wiatr, ale mnie czule derką otulił. Poprawiał ją przez całą drogę, jak tylko mi się z ramion zsunęła, a przy tym muskał moją skórę na buzi. No ale co jak co, ale buźkę to mam ładniejszą niż niejedna panienka ze dworu. Pytał, czy nie zimno, czy nie zmarzłam, ręce mi w swoich ogrzewał, a w gospodzie do swojego pokoju zaprosił. Nie chciał, bym z nieznanymi babami jedną izbę dzieliła – kłamała bez mrugnięcia okiem.

– I zgodziłaś się? – Marcie głos się załamał.

– A co? Niby miałam w jednym pokoju z jakimiś wariatkami spać? Jedna chrapie, druga narzeka, że ją wszystko boli, trzeciej bachor płacze. Nie do wytrzymania.

– Skąd wiesz, skoro z nimi nie spałaś? – spytała spokojnie Marta, choć wszystko w niej ścierpło.

– Och, nie łap mnie za słówka. Chyba potrafię sobie wyobrazić, jak mogło wyglądać spanie z babami i z ich dziećmi. A Waldi... Mądry, miły, opiekuńczy, delikatny jak panienka, a jednocześnie władczy – fantazjowała, sama zaczynając wierzyć w swoje słowa.

– Oddałaś mu się? – Marta była nie tylko załamana, ale i przerażona głupotą młodziutkiej siostry. – Przecież ty dopiero osiemnaście lat skończyłaś. A jeśli okaże się, że jesteś brze-

mienna, a on cię nie zechce? Czy ty wiesz, ile młodziutkich brzemiennych dziewcząt na ulicy kończy albo życie sobie odbiera?

– Nie frasuj się tak, bo cię głowa rozboli. Ja nie z tych, co się mnie zostawia na ulicy. Spróbowałby ze mną tak postąpić, to już ja bym mu pokazała, co potrafię. Tyle że nie będzie potrzeby, mówię ci, wpatrzony we mnie jak w święty obrazek. Przez całą drogę buzia mu się nie zamykała, żartował, śmiał się, opowiadał o swoim ojcu pocztylionie i komplementy prawil, że aż ja się czerwieniałam. A w nocy, no wiesz... – Zawiesiła głos, a potem dodała w afekcie: – W nocy, jak to robiliśmy, to taki był męski i potrafił mi przyjemność zadać, że aż mu pazurami po ramieniu przejechałam. Od łokcia do dłoni pamiętkę mu zostawiłam. – Zaśmiała się figlarnie.

Marta milczała. Opowieść siostry początkowo ją oburzyła, potem rozżłościła, rozgniewała, a na koniec czuła tak wielką rezygnację, jakby ją ktoś z całego jej skromnego majątku okradł. Lat jej przybyło od tej siostrzanej paplaniny i jak własna matka się poczuła. Na koniec pomyślała, że właściwie bardzo dobrze się stało, że Waldemar spotkał na swojej drodze śliczną i młodziutką dziewczynę. Założą rodzinę i będą szczęśliwi. Los i tak jest dla mnie łaskawy, mam swoją pracę, dobrą panią, jestem zdrowa i użyteczna. Dziękuję Tobie, Panie Boże, i Tobie, Mateczko Przenajświętsza, za zdrowie, dajcie mi, proszę, spokój duszy i serca, bym nie cierpiała tak, jak teraz cierpię – pomodliła się, z trudem polykając łzy, starała się nie zdradzić, że płacze. Miała wrażenie, że ból rozerwie jej klatkę piersiową. Udało jej się zdrzemnąć, ale zapadła w płytki koszmarny sen, który bardziej ją zmęczył, niż przyniósł ukojenie.

Następnego dnia trzy kobiety snuły się po domu przybite i osowiałe. A kiedy koło południa zastukała kołatka do drzwi, Marta zamarła. Instynkt jakiś podpowiadał jej, że przyszedł pocztylion. Zapewne do Ludwika – pomyślała gorzko. Za drzwiami rzeczywiście stał Waldemar Promyk, a kiedy zapytał o Martę Skowronek, ta ukryta w kuchni, patrząc na Mełę, pokręciła tylko przecząco głową, dając znak, że nie chce z nim rozmawiać.

– Ochmistrzyni nie ma. Proszę nas tak rano nie nachodzić. To nieelegancko i wręcz prostacko. Ma pan jakieś przesyłki? Jeśli nie, to żegnam – oświadczyła twardo rozgniewana pokojówka. Kibicowała pocztylionowi i Marcie. Jego zdrada zabolala ją osobiście. Często sobie powtarzała, że jeśli Marcie uda się znaleźć miłość, to i ją spotka szczęście.

– Przepraszam, najmocniej przepraszam – wyjąkał zaskoczony. – Czy byłaby panienka uprzejma przekazać pannie Marcie...

– Nie – przerwała mu Meła bezceremonialnie. – Marta nie chce pana nigdy więcej widzieć. Proszę jej nie nachodzić. I dla naszego, i pańskiego spokoju życzymy sobie, by kto inny dostarczał księżnej pocztę albo same będziemy ją z urzędu odbierały. Żegnam pana. – To powiedziawszy, zatrzasnęła zszokowanemu mężczyźnie drzwi przed nosem.

– Dziękuję, Melu, za twoją stanowczość. Dla niego nie ma mnie już nigdy.

Marta z trudem przełknęła ślinę i siłą powstrzymała łzy. Nie ma mnie już nigdy dla żadnego mężczyzny. Kto to widział, zakochana służąca, stara panna, której stuknęła trzydziesta druga wiosna – kpiła w duchu sama z siebie. Zmuszona przez Anielę, zjadła miseczkę kapuśniaku, a potem zabrała się do sprzątanania swojego pokoju, bo siostra nie zamierzała tego ro-

bić. Wystroiła się, oświadczyła w drzwiach, że idzie zapoznać się z miastem, i zniknęła na cały długi dzień.



Maj przyszedł niespodziewanie. W karczewskim parku zapachniało konwaliami. Białe i różowe kwiatostany kasztanowców przyozdobiły wypielęgnowane alejki, zapach bzu niósł się przy każdym podmuchu ciepłego wiatru. Jednak zapachy i bujna roślinność, a także wesole ptasie trele nie zachwyciły księżnej Sary. Zmęczona przedłużającym się pobytem w Karczewie, nie zwracała na nie uwagi. Spacerowała po parku zamyślona i jakby nieobecna. Od czasu do czasu towarzyszyła jej Marianna, ale księżna godziła się na towarzystwo kuzynki z grzeczności. Marianna za każdym razem próbowała umoralniać Sarę w kwestii służby, a szczególnie Marty, ale też w aspekcie konieczności większego skupienia się na towarzyskim bywaniu w odpowiednich kręgach.

– Nigdy nie przypuszczałam, że kiedyś to powiem, ale czasami odnoszę wrażenie, że stajesz się podobna do mojej matki – dogryzła jej Sara któregoś razu podczas przechadzki.

Marianna się zaśmiała, ale widać było, że ta uwaga ją dotknęła. Sara natychmiast pożałowała wypowiedzianych słów. Zganiła siebie w myślach i doszła do wniosku, że być może rzeczywiście brakuje jej ogłady. Przez ostatnie miesiące większość czasu spędziła na pisaniu powieści, właściwie całkowicie odcięta od świata. Dopiero niedawno wznowiła spotkania literackie w swoim apartamencie w Warszawie, ale już nie co tydzień, a raz na jakiś czas. Od kiedy podpisała umowę z wydawcą Gustawem Gurgiem częściej wychodziła w jego towarzystwie, ale przeważnie na własne spotkania autorskie.

– Jesteś niesprawiedliwa, ale i tak cię kocham. W końcu jesteś moją najbliższą kuzynką. Jedyną – dodała znacząco Siwińska, głaszcząc się po ledwo zaokrąglonym brzuchu. Sara w lot zrozumiała, co Marianna ma na myśli. Ona miała braci, a Sara oprócz niej i rodziców nie miała nikogo. Tyle że Sara bardzo ceniła sobie swoją samotność, każde oderwanie od pisania napępniało ją smutkiem i rozdrażnieniem. – Znów się zamyśliłaś – upomniała ją Marianna. – Zdradź lepiej, jak czuje się dziś książkę Hipolit.

– Lekarz twierdzi, że to kwestia krótkiego czasu. Może miesiąca, może dwóch. Trudno powiedzieć. Nienawidzę jego sypialni, panuje tam taki straszny zaduch, że nie ma czym oddychać. Po wyjściu muszę się wykąpać i zmienić ubranie. Mam wrażenie, że jestem cała oblepiona tym upiornym odorem. W dodatku początkowo starał się być miły, jak na niego oczywiście, teraz powoli dochodzi do siebie i znów pluje sarkazmem. Nie wiem, co ja tu jeszcze robię. Na dziś zapowiedzieli się rodzice, może mnie trochę odciążą w tym dziwnym czuwaniu.

– Moja matka też się wybiera do Karczewa. – Siwińska schyliła się i zerwała kilka białych łodyżek konwalii, przysunęła pod nos i zaciągnęła się ślicznym delikatnym zapachem.

– To dobrze, dawno nie byliśmy wszyscy razem. Już nawet nie pamiętam kiedy.

– Ostatnio na moim ślubie. W Wiejskiej Kawie. Jak ten czas leci, wydaje się to tak niedawno, a ja już wkrótce zostanę mamą.

Sara nie chciała ciągnąć tematu dziecka. Podejrzewała, że jej już nie będzie dane zająć w ciąży. Jej małżeństwo było fikcją, zresztą od zdrady Brunona nie ufała już mężczyznom. Pomyślała o Gustawie i kąci ki ust uniosły jej się w melancholijnym uśmiechu. Nie potrafiła zde-

finiować uczucia do niego. Był dla niej ważny, bardzo ważny, ale ona chciała być sama, pod każdym względem niezależna.

Sara i Marianna skręciły w alejkę, na końcu której stała kapliczka, ale nie zdołały do niej dotrzeć, bo z pałacu wybiegł kamerdyner, rozejrzał się i pobiegł wprost do kobiet.

– Księżno, doktor prosi, by pani bez chwili zwłoki odwiedziła księcia. Boję się, że wybiła jego ostatnia godzina. – Skłoniwszy się, czekał na dyspozycje, ale Sara jedynie podziękowała i nie oglądając się na niego ani na kuzynkę, pospieszyła wypełnić być może ostatnią wolę małżonka. Wbiegając na piętro, napotkała na schodach matkę Hipolita. Księżna Anna Reszko omiotła ją wzrokiem, Sara, mijając starą damę, usłyszała za sobą jej zgryźliwe gderanie.

– Że też mój syn wybrał sobie taką niewdzięcznicę. Nie masz szacunku do Hipolita, a ślubowałaś posłuszeństwo. Teraz biedny umiera przez ciebie w samotności, bo tobie nawet nie chce się siedzieć przy łóżku męża – chlupnęła.

W Sarze zagotowała się złość, nigdy nie dawała się prowokować teściowej, raczej omijała ją z daleka, tym razem jednak, czy to za sprawą beznadziejnego położenia, czy ogólnego przemęczenia, zatrzymała się, a potem zeszła trzy stopnie i zrównała się z teściową.

– Nie, nie umiera samotnie przeze mnie, tylko przez ciebie, bo wychowałaś go na podłego, nikczemnego człowieka, który krzywdził wszystkich wokół, aż został sam. Nikogo nie kochał, oprócz siebie – wycedziła, patrząc teściowej prosto w oczy.

– Och, och, coś takiego... – Anna złapała się jedną ręką za serce, a drugą przytrzymała poręczy. Przechodząca przez hol ochmistrzyni podbiegła do matki Hipolita i pomogła jej zejść, a potem poprowadziła do jadalni.

Co się ze mną dzieje? Stałam się arogancka i okrutna. Trzeba było zmilczeć tę zniewagę – karciała się w myślach Sara. Jeszcze tego mi tylko brakuje, żeby matka Hipolita dokończyła tu żywota. Księżna zagryzła wargi i wbiegła na górę. Już od schodów usłyszała jęki małżonka. Powtarzała sobie w duchu, by była spokojna i nie dała się sprowokować do żadnej awantury. Przez długość korytarza zaciskała i rozluźniała palce dłoni, by te przestały drżeć, strużka zimnego potu spływała jej po plecach. Gdy w końcu lokaj otworzył przed nią drzwi, zaduch uwalniający się z sypialni otumaniał ją.

– W końcu przyszałaś! – wycharczał Hipolit bladymi ustami. – Zawsze byłaś nieposłuszna, brzydziłaś się mnie, nie dałaś mi dziecka... – Zaniósł się suchym kaszlem.

– Hipolicie, proszę... dajmy temu spokój – poprosiła łagodnie, ale jej głos działał na niego jak płachta na byka. Uniósł się na posłaniu i wymierzył w nią palec wskazujący. – To przez ciebie i przez twojego bękarta, którego przekląłem, spotkało mnie całe zło. Przekląłaś mnie za to! – ryknął. – Przekląłaś mnie – wymamrotał już ciszej i opadł na poduszki. Kaszel na powrót wstrząsnął całym jego organizmem. Gdy atak minął, Reszko długą chwilę leżał bez ruchu. Bez krzyków, wyzwisk, oskarżeń wydawał jej się kruchy. Schudł przez ten miesiąc i zmizerniał. Twarz całkowicie mu się zapadła, a mięsisty niegdyś nos zwisał dziwacznie. W Sarze budziła się litość dla tego starca, ale nagle podniósł powieki i wbił w nią ostre, diaboliczne spojrzenie. Chciał znów o coś oskarżyć, ale tylko otworzył i zamknął usta. Sara nie wytrzymała, zerwała się z fotela, na którym przycupnęła, i wybiegła z pomieszczenia.

– Księżno, księżna powinna odpocząć. Jeszcze się choroby księżna nabawi. – Lekarz przytrzymał jej ramię, bo byłaby upadła z braku powietrza. Siedząc tam w sypialni, starała się wstrzymać oddech, a teraz zakręciło jej się w głowie.

– Kiedy to się skończy? – jęknęła do siebie.

– Nie wiem. Ratunku dla niego już nie ma, ale z niewiadomych powodów dusza księcia nie chce opuścić zmizerowanego ciała – wyjaśnił przybity. Sam również potrzebował odpoczynku. Wprawdzie dwóch medyków miało się wymieniać, ale książe życzył sobie, by obaj przy nim czuwali. Ślaniali się więc na nogach, przysypiając na kanapach ustawionych pod drzwiami sypialni Hipolita. – Trudno mi orzec, co go jeszcze na tym świecie trzyma.

Sara uniosła głowę, jakby nagle doznała olśnienia. Wyprostowała się i zbiegła schodami na parter, akurat w momencie gdy na podjazd wjechał powóz jej rodziców, a za nim wtaczał się powóz ciotki Adelajdy. Nie zatrzymała się jednak, tylko machnęła ręką na powitanie i unosząc brzeg zielonej sukienki, by się o nią nie potknąć, pobiegła do stajni. Słyszała za sobą wołanie ojca, ale nie zwróciła na nie uwagi.

– Tadeusz! – krzyknęła od wejścia, a gdy woźnica się zjawił, powiedziała, starając się uspokoić oddech: – Weźcie z Henrykiem najlepsze konie, najszybszą bryczkę i czym prędzej udajcie się do Warszawy. Zajedźcie do sióstr szarytek i odszukacie Helgę Słupnik.

– Tę Helgę? – Tadeusz miał wrażenie, że się przesłyszał.

– Tak, tę Helgę. Jeśli ją tu przywieziecie możliwie szybko, każdemu z was płacę sakiewkę rubli. Sprawa jest bardzo pilna. Od niej wiele zależy. Jedźcie jak najprędzej.

– Tak jest, księżno. – Tadeusz odwrócił się na pięcie i zaczął czynić pośpieszne przygotowania do drogi.

Sara wyszła ze stajni i poszła w stronę kapliczki, pod którą pierwotnie spoczywało ciało jej córki Anny Marii, dopóki nie przeniosła trumienki na cmentarz Powązkowski. Odmówiła modlitwę za duszyczkę córki, a także za szczęśliwą eskapadę do Warszawy. Usiadła na ławce przy kapliczce i zapatrzyła się na ogród. O ile pałac w Karczewie ją przytłaczał, to park, szczególnie teraz, wiosną, zachwycał. Połacie konwalii i pachnących bzów, bujne kasztanowce i cały ten barwny gąszcz tworzyły bajeczny obrazek. Sara nade wszystko pragnęła jednak wrócić do swojego świata. Usiąść przy otwartym oknie swojego gabinetu i pochylić się nad kolejnym rozdziałem powieści. Posłuchać tętniącego życiem miasta. Tęskniła też za Gustawem, za ich rozmowami w kawiarni U Brzezińskiej i za codziennym życiem. Podniosła się z ławki i poszła przywitać rodziców i ciotkę Adelajdę. Klementyna i jej siostra ubrane w czarne ciężkie suknie i w czarnych kapeluszach na głowach wyglądały, jakby właśnie wracały z pogrzebu, Ambroży również miał na sobie czarny surdut, ale przynajmniej koszula pozostała biała. Witani się w jadalni z matką Hipolita, a ta od razu zaczęła oskarżać synową o najpodlejsze rzeczy. Klementyna z Adelajdą, a także Marianna starały się ją obłaskawić, ale nadaremnie. Zniesmaczony Ambroży wycofał się z jadalni i od razu natknął się na córkę.

– Widzisz, tatku, jak mnie oczernia. Już mi się nie chce tu być. Jestem zdruzgotana tym stanem rzeczy. Pragnę wrócić do Warszawy i zaszyć się w moim gabinecie. – Załkała w ramionach ojca, ale nim ten zdążył ją pocieszyć, usłyszała za sobą głos Klementyny:

– Saro, nie przesadzaj, twój małżonek wymaga twojej obecności i trzeba się poświęcić. Nie zawsze mamy to, co chcemy, ale kiedy powaga sytuacji tego wymaga, należy wyjść życiu na przeciw. – Nachyliła się i zamarkowała pocałunek tuż nad uchem córki. – Ja doprawdy nie wiem, skąd u ciebie ta skłonność do egzaltacji. Zawsze byłaś inna od wszystkich. A ta twoja służąca...

– Klementyno, nie teraz, to nie czas ani miejsce – zwrócił jej uwagę małżonek, czym dołął oliwy do ognia.

– Ja też cię proszę, Ambroży, pozwól mi nakreślić naszej córce, jak wielkie nieprzyjemności mogą ją za chwilę spotkać, jeśli się nie ustakuje.

– Ja też cię przestrzegam, Saro, przed brataniem się ze służbą – wtrąciła ciotka Adelajda, która weszła do holu.

Sara nie dała jej skończyć. Ostentacyjnie zatkała uszy dłońmi i wbiegła po schodach do swojej dawnej sypialni. Zatrzasnęła za sobą drzwi i skuliła się na łóżku. Ani matka, ani ojciec, ani tym bardziej ciotka Adelajda czy to za sprawą Ambrożego, czy z powodu własnych przemyśleń nie odważyli się wejść do pokoju księżnej. Nawet Marianna nie odwiedziła kuzynki. Sara dobrych kilka godzin leżała skulona na łóżku, dopóki nie usłyszała tętentu koni. Zerwała się z łóżka i podeszła do okna. Zza pięknie udrapowanej firany rozpoznała zbliżający się własny powóz, a na koźle Tadeusza i Henryka. Wybiegła z pokoju i popędziła na ganek, zanim ktokolwiek ją uprzedził. Stała na podjeździe akurat w momencie, gdy Tadeusz otworzył drzwi i podał rękę szczupłej kobiecie odzianej w jasnoszary habit i z szarym welonem na głowie.

– Bój się Boga, dziecko! – krzyknęła Klementyna. – Ty znowu po swojemu postępujesz. Tę kobietę zaprosiłaś? – Ostry ton głosu Klementyny zwiabł Adelajdę i Mariannę.

– Kochankę własnego męża kazałaś sprowadzić? – Marianna zapałała oburzeniem. – Naprawdę, Saro, dziwne metody stosujesz.

– Tadeuszu, za chwilę wracamy do Warszawy – zapowiedziała woźnicy Sara, wzięła Helgę pod rękę i cicho podziękowała jej za przyjazd. Obie kobiety, odprowadzane przez niezyczliwe spojrzenia, weszły na pierwsze piętro do sypialni Hipolita. Nim Helga podeszła do łóżka chorego, Sara przytuliła ją i szepnęła: – Dziękuję, że nie odrzuciłaś mej prośby.

Tamta tylko skinęła głową, uśmiechnęła się łagodnie i powolnym krokiem ruszyła do łóżka Hipolita, który błydy jak alabaster leżał z zamkniętymi oczami. Helga przysiadła na brzeжку fotela, wyciągnęła dłoń i położyła ją na policzku wymizerowanego mężczyzny, pochyliła się jeszcze bardziej i pocałowała blade czoło umierającego człowieka. Otworzył oczy i chwilę się przyglądał, a potem coś na kształt ulgi odmalowało się na jego twarzy.

– Helga... – Z trudem podniósł rękę i wziął dłoń kobiety w swoją. – Wybacz mi... – poprosił cicho. Ona otarła łzę i zrobiła nad nim znak krzyża.

Sara patrzyła na tę scenę ze ściśniętym gardłem i z uczuciem bezbrzeżnego spokoju. Odwróciła się od tamtych dwojga, żeby ich nie okradać z najintymniejszej chwili w życiu każdego z nich. Wyczerpana, nie wchodząc w dyskusję z matką, ciotką czy nawet z Marianną, kazała Frani spakować rzeczy i zanieść do powozu. Sama usiadła na tarasie i poprosiła o kawę. Wystawiła twarz do popołudniowego słońca i wreszcie odczuła spokój. Była pewna, że zrobiła to,

co należało zrobić. Nie kochali się, a nawet nie szanowali z mężem. Ona się go bała, on nią pogardzał. Byli małżeństwem zaaranżowanym. Sara nie miała wpływu na decyzję matki. Nie potrafiła się też zmusić do miłości, tak jak teraz nie potrafiła wykrzesać z siebie prawdziwego współczucia. Hipolit powiedział jej w przypiływie szczerości, że kochał tylko Helgę, choć nawet i ją bił, zdradzał i wygonił na poniewierkę. Nigdy też nie zainteresował się losem kochanki, nie wiedział, czy przeżyła. Hulał, zabawiał się z młodymi kobietami, zagłuszając sumienie.

Kiedy po godzinie Helga stanęła na ganku, a potem razem z Sarą i Franią wsiadły do powozu, Klementyna odprowadziła je złym spojrzeniem.

– Saro, dziecko, dokąd ty jedziesz? Zostań z mężem. To twój obowiązek! – krzyknęła. – Nasza sfera nie wybaczy ci, jeśli w godzinie śmierci opuścisz małżonka.

– Mamo, zrozum, on mnie nie chce, brzydzi się moją obecnością. Wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia, już powiedzieliśmy. Nie mogę tu siedzieć i czekać jak sęp na śmierć Hipolita. On może jeszcze żyć całe miesiące. Ma opiekę, służbę na zawołanie, lekarzy i matkę. A także was – zakpiła. – Ja naprawdę jestem tu niepotrzebna.

– Saro, będziesz żałowała. – Klementyna mówiła coś jeszcze, ale Sara już tego nie słyszała, bo Tadeusz zamknął drzwiczki karety, strzelił lejcamy i konie ruszyły. Księżna odczuła niewyobrażalną ulgę. W powozie kobiety milczały. Nawet na ogół gadatliwa Frania siedziała markotna. Gdy dojechały pod zakon szarytek, księżna uścisnęła rękę Helgi i podziękowała za wielkie miłosierdzie okazane księciu. Żadna z nich nie pamiętała o dawnych wzajemnych animozjach, żalach i straconych nadziejach.

Słońce już całkiem schowało się za horyzontem, gdy wreszcie powóz Reszków zatrzymał się na Krakowskim Przedmieściu. Sara odetchnęła swobodniej. Tu, w Warszawie, czuła się najlepiej. W Karczewie brakowało jej gwaru ulicy, stukotu przetaczających się po bruku dorożek, a nawet trąbki pocztyliona, której dźwięk budził ją przedwcześnie, gdy któryś z pocztylionów zapomniał się i zatrafił. Sara tęskniła również za Martą, za jej bezcennymi radami i dobrym słowem. Wierzyła, że teraz także zaserwuje jej życiową radę, która spłyci troski i osłabi wyrzuty sumienia. Tymczasem gdy weszła do apartamentu, przeraziła się wyglądem i zachowaniem służącej. Marta przywitała ją w holu bladym uśmiechem. Stała ze zwieszonymi ramionami i wypisaną na twarzy rezygnacją. Smutne, zaczerwienione od płaczu oczy zdradzały wiele nieprzespanych nocy, wychudła sylwetka i skłębła postawa przeraziły księżną. Ochmistrzyni wykonywała wprawdzie polecenia, a dom lśnił jak nigdy wcześniej, ale Marta myślami błędziła gdzie indziej. Księżna nie miała jej nic do zarzucenia, oprócz tego, że... No właśnie, to nie była tamta Marta, która tryskała energią humorem i była lekiem na całe zło.

Wieczorem, gdy cały dom spał, księżna usłyszała płacz swojej ukochanej służącej. Usiadła na łóżku i naprawdę zaczęła się martwić. Bardziej wyczuła, niż zrozumiała, że w jej życiu coś się bezpowrotnie kończy. Samotność i poczucie niespełnienia zaciążyły jej na sercu. Narzuciła na siebie peniuar i boso, na palcach, by nie budzić służby, przeszła do swojego gabinetu. Po omacku zapaliła świece w kandelabrze i pochyliła się nad kartką, ale nie potrafiła napisać bodaj słówka. Przesiedziała tak dobrą godzinę, aż w końcu znużona podeszła do okna i zapatrzyła się w czerń nocy. Na czarnym nieboskłonie dostrzegła spadającą gwiazdę. Dawno temu babcia jej opowiadała, że gdy spada gwiazda, to znaczy, że czyjaś dusza idzie do nieba. Otuliła

się szczerzej miękkim materiałem i oparła czoło o chłodną szybę. Dokąd to życie zmierza i po co? Westchnęła. Najpierw pomyślała o małym grobku Anny Marii, a potem o kojących dobrych dłoniach Gustawa i pierwszy raz od rozstania z Dzikowskim zapragnęła kochać i być kochaną.



Martę drażniło wieczorne trajkotanie Ludwika o podbojach miłosnych. W dzień młodsza siostra zaraz po śniadaniu ulatniała się, znikając niemal na całe dni, a wieczorem snuła barwne opowieści, w które wplatała plany związane z Waldim, jak nazywała pocztynioną. Dokąd chodziła i co dokładnie robili, owiane było przez nią tajemnicą. Z jej słów można było się jedynie domyślić, że należy spodziewać się rychłego ślubu. Na pytania siostry, czy szukała pracy, wzruszała ramionami i twierdziła, że musi się zapoznać z miastem, żeby się nie zgubić, a praca nie jest jej potrzebna, bo za chwilę i tak wyjdzie za mąż. W domu również skupiała się wyłącznie na sobie. Na życzliwe zagadywanie Frani odpowiadała grzecznie, lecz zdawkowo. Mela, świadoma tego, co się wydarzyło między Ludwiką a Waldemarem i jak bardzo skrzywdziło to jej ukochaną ochmistrzynię, trzymała wobec dziewczyny dystans. Na sugestię Anieli, by Ludwika pomogła jej w kuchni, dziewczyna wydymała usta i wzruszała ramionami. Atmosfera stała się nie do zniesienia, ponieważ księżna Sara po powrocie z Karczewa również była nieobecna duchem i nie do końca świadoma koszarnej atmosfery wokół. Przeżywała własny ból samotnie, zamknięta w swoim gabinecie. Od przyjazdu nie chciała z nikim rozmawiać ani nikogo widzieć. Znikł dawny gwar i wesoły śmiech kobiet, który nie tak dawno rozbrzmiewał w apartamencie na rogu Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia.

Marta cierpiała podwójnie. Jej pani najwyraźniej straciła do niej zaufanie, nie zwierzała się jej jak dawniej, nie podpytywała swojej ochmistrzyni o zdanie ani nie szukała w niej pocieszenia. Gdy poprzedniego wieczora wróciła do Warszawy, nikogo nie chciała widzieć. Ochmistrzyni czuła się odrzucona i niepotrzebna. Na dodatek kłopoty z siostrą wyczerpywały ją i fizycznie i psychicznie.

Kobieta usiadła na brzegu łóżka i rozglądała się po skromnym pokoju. Wzrok jej padł na bezładnie przerzuconą przez poręcz krzesła czerwoną spódnicę. Podeszła bliżej i przejechała szorstką dłoń po dość grubym materiale. Pomyślała, że Ludwika stara się wiele ugrać na swojej kobiecości. A ja? Wiecznie w szarych, burych lub granatowych sukienkach, zapracowana, bez cienia kokieterii, ze spracowanymi dłońmi. – Uniosła ręce i przysunęła niemal przed oczy, ale w ciemnym pokoju nie dostrzegła na nich plam i zadrapań, które z pewnością tam były.

Dochodziła dziewiętnasta, gdy usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi. Domyśliła się, że to zapewne Ludwika wróciła po całodziennym włóczędze. Zaraz zaczęła się przechwalać, gdzie byli z Waldemarem, co robili, jak na nią patrzył, jakie jej prawil komplementy. Eh, nie, nie chcę tego słuchać – stwierdziła w myślach ochmistrzyni, narzuciła na szarą prostą sukienkę granatową chustę i wyszła z pokoju. W korytarzu istotnie minęła się z siostrą. Policzki Ludwika płonęły, a z ust nie schodził uśmiech. Zatrzymała się, by o czymś opowiedzieć Marcie, ale ta zatkała uszy dłońmi i w milczeniu wybiegła z apartamentu. Miała przesyt emocji. Chciała zaczerpnąć tchu, a poza tym nie zniosłaby dziś barwnych historyjek siostry, jej przechwałek i chełpliwości.

Ciemność spowijała miasto. Latarnik długą zapalniczką zapalał lampy olejowe, ale te nie zdołały rozproszyć mroku. Marta otuliła szczelniej chustą ramiona i skrzyżowała ręce na pierśsiach. Wprawdzie wybiegła z kamienicy, ale zaraz za progiem zwolniła. Nie chciała odchodzić

daleko, by być pod ręką, na wypadek gdyby księżna potrzebowała jej pomocy, rady czy wsparcia. Minęły ją dwie dorożki z roześmianymi panienkami i kawalerami w oficerskich carskich mundurach. Tuż przy kościele Świętego Krzyża zaczepił ją żebrak memłający w bezzębnych ustach modlitwę o jałmużnę. Nie miała przy sobie ani kopiejki, minęła więc staruszka, nie patrząc w jego stronę, bo serce krajało się ze współczucia. Nie chciała być egzaltowaną panią ze złamanym sercem, nade wszystko pragnęła się pozbierać i wrócić do dawnej siebie. Groziła się w myślach za wylane łzy, za niedającą się niczym zaspokoić tęsknotę, za myślenie o Waldemarze w każdej minucie. Minęła pałac Radziwiłłów, nazywany przez warszawiaków Pałacem Namiestnikowskim, ale zawróciła i poszła pod figurę Matki Boskiej Pasawskiej, by u niej wybłagać łaski o siłę dla siebie, by pomogła jej zrzucić jarzmo bólu i tęsknoty.

Nagle od strony Nowego Świata usłyszała tętent zaprzęgu. Odwróciła głowę, akurat gdy żółty dylizans oświetlony dwiema lampami po obu stronach tuż nad kozłem wjechał na Krakowskie Przedmieście. Serce jej się ścisnęło na widok mężczyzny siedzącego na kozle. Ich spojrzenia się spotkały, ale ona natychmiast odwróciła głowę, zrobiła znak krzyża, po czym podniosła się z kolan i szybkim krokiem ruszyła przed siebie.

– Marto! Marto, proszę, porozmawiaj ze mną! Marto! – zawołał Waldemar. – Proszę, Marto! – Próbował zatrzymać konie, ale te nie od razu stanęły. Szamotał się z lejcami, zanim udało mu się okiełznać czwórkę gniadych kasztanów. Zeskoczył z kozła i popędził za służącą księżnej Reszko. – Marto, dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? Ukrywasz się przede mną. Codziennie o ciebie rozpytuje, czyham pod kamienicą jak jakiś rzezimieszek, ukrywam się w bramie, żeby tylko ciebie napotkać. Kochanie, co ci jest, że nie chcesz mnie znać? – Trzymał ją na długość wyciągniętych ramion, ale ona, milcząc, patrzyła gdzieś poza niego. – Martuś, Martuchno, błagam cię, spójrz na mnie... – Przyciągnął ją do siebie, ale się wyrwała.

– Zostaw mnie, nie chcę cię więcej widzieć! Precz mi z oczu! – rzuciła z pogardą, szarpiąc się z całych sił.

– Kochanie, błagam, spójrz na mnie, błagam, powiedz chociaż, czym cię uraziłem? Cóżem zrobił niegodnego? W czym zawiniłem? – Zobaczyła rozpacz w jego oczach, ale jej to nie wzruszyło.

– Proszę mnie zostawić w spokoju. – Wyrwała się w końcu i natychmiast ruszyła szybkim krokiem w stronę ulicy Trębackiej.

Stał chwilę niezdecydowany, czy porzucić dylizans i biec za ukochaną, czy odprowadzić pojazd pod pocztę. Był bardzo odpowiedzialnym pracownikiem, ale teraz bał się, że Marta w tym czasie dojdzie do kamienicy i zniknie za drzwiami. W jednej chwili rzucił się za nią biegiem, złapał za ramię, a kiedy znów zaczęła się szamotać, chwycił na ręce i zaniósł do dylizansu. Dyszał ciężko ze zdenerwowania, gdy pomagając sobie nogą, otwierał drzwi pojazdu.

– Nie, nie zostawię cię w spokoju. Całą drogę z Sęp cieszyłem się jak głupi na spotkanie z tobą, a spotkał mnie z twojej strony wielki afront. I to bez podania przyczyny. – Usadził ją na skórzanej kanapie, a sam przykleknął przed nią, wciśnięty między siedzeniami. – Zdradź mi, Marto, o co tobie idzie? Ja szaleję, tęsknię, świata poza tobą nie widzę – szeptał błagalnie, obspując jej dłonie pocałunkami.

Chciała mu wyjawiać, jak źle jej na duszy bez niego, jak bardzo cierpi od momentu ujrzenia tamtego pocałunku jego i Ludwika, ale honor i duma nie pozwalały jej na takie zwierzenia. Gdy tak klęczał z głową tuż przy jej kolanach, miała nieodpartą ochotę położyć dłoń na pięknych kędzierzawych kosmykach, uśmiechnąć się do błękitnych oczu, musnąć ustami jego gorące wargi, ale tylko westchnęła przeciągle i jedna łza spłynęła jej po policzku. Waldemar zauważył ją, wciąż klęcząc podniósł tułów i przytknął swą twarz do jej twarzy, najpierw pocałował mokry ślad na policzku, potem czoło, aż w końcu jego wargi zatrzymały się na jej ustach. Przystała się bronić. Pocałował ją delikatnie, a potem coraz namiętniej. Zrobiło jej się gorąco, jakieś dziwne szaleństwo ogarnęło jej członki. Naraz pomyślała, że już nigdy nie zazna cielesnej miłości. Nie poczuje, jak to jest, nie będzie jej to dane, bo ma już swoje lata, jest starą panną i wie aż za dobrze, że nigdy już nie otworzy serca na miłość. Podała się pocałunkom, pieścizom jego dłoni i zatraceniu. Nawet nie spostrzegła, kiedy zaczęła oddawać mu pocałunki, znieruchomiał, gdy cicho jęknęła. A gdy spojrział w jej wielkie oczy, dostrzegł w nich przyzwolenie na więcej. Początkowo nie dowierzał, a potem wstąpiło w niego szaleństwo. Przez materiał sukienki gładził jej piersi, nerwowo rozsznurował wiązadło, uwalniając jej dekolt, pieścił, całował, dotykał, rozkoszował się jej ciałem, aż w końcu podniósł materiał sukienki, szarpnął pasek spodni od pocztowego munduru i wszedł w jej kobiecość z dziką żądzą. Najpierw zadrżała zaskoczona, ale już po chwili chciało jej się krzyczeć z rozkoszy i z olbrzymiego szczęścia, jakie przeżywała w duszy. Przytrzymując się skórzanego oparcia, wychodziła biodrami naprzeciw jego napierającemu ciału. Dysząc oboje, przeżywali chwile spełnienia, a kiedy w końcu opadli na kanapę, zaspokoiwszy głód cielesnej miłości, Waldemar zagarnął Martę ramieniem i mocno przytulił do siebie, nie pozostawiając niemal miejsca na oddech. Czowała się wolna, bezwstydna, przeogromnie szczęśliwa, że doznała tej cielesnej rozkoszy, o której kucharki czy służące z Bielawy i Karczewa szeptały sobie zawsze z piekącymi policzkami. Tak, po takim czymś kobieta nie może już spojrzeć w lustro bez wstydu, ale to nic. Warto było – stłumiła ciche westchnienie.

– Jesteś moja. Tylko moja, chcę byś została moją żoną. Kocham cię jak wariat. – Starał się uspokoić oddech. – Wyjdź za mnie. Będzie ci ze mną dobrze, przysięgam.

Marta nie potrafiła znaleźć słów, tak wielkie wypełniło ją szczęście. W ciemności wygładziła spódnice i drżącą z emocji dłońią poprawiła sznurówkę przy dekolcie. Policzki jej pulsowały, między nogami czuła lepkość i gorąc spełnienia, aż zacisnęła uda, by to szczęście zachować na dłużej. Piersi ją bolały od jego zachłannych warg, ale o dziwo nie czuła wstydu. Właśnie odkryła swoją kobiecą moc.

– Widziałam cię wtedy... – wydyszała cicho.

– Widziałas mnie? Kiedy? – Pochylił się nad nią, by lepiej słyszeć jej ciche słowa.

– Kiedy przyjechałeś i... wtedy z Ludwiką... gdy...

– Ach... Martuś... to nie tak. Co innego widziały twoje oczy, a co innego się wydarzyło. Ludwika... ona mnie zaskoczyła... Naprawdę mnie zaskoczyła. Nigdy bym cię nie skrzywdził, nie zdradził i nie wyrzekł się miłości do ciebie. Jesteś całym moim światem – szeptał jej czule do ucha.

Marta zaśmiała się szczęśliwa. Ulga, ogromna, wielka, bezbrzeżna ulga wstąpiła w jej duszę. Czuła, jak odzyskuje władzę w umyśle, jak odchodzi ponurość, jak raduje się jej serce. Wierzyła mu, wierzyła w każde jego słowo, ufała, bardzo chciała ufać.

– Gdy zobaczyłam was w czułym objęciu, mój świat się skończył... Myślałam, że zatraciłam duszę, tak bardzo cierpiałam – poskarżyła się niemal wbrew sobie, ale chciała, by wiedział, że jej miłość jest wielka, że jest dla niej najważniejszym mężczyzną na świecie. Jedy-
nym, ukochanym, na zawsze.

– Skarbie mój, słoneczko moje, to było fałszywe świadectwo. Nie wiedziałem, że w ogóle to widziałas. Ludwika jest dziwną...

– Ciii... – przerwała mu. – Nie mówmy o niej. Jeśli za często między nami padnie jej imię, to tak jakby tu była. Nie oddawajmy jej naszej przestrzeni. Niech nie oddycha naszym powietrzem...

– Masz rację, Martuniu. Powietrze między nami wypełnione jest miłością. Jesteś taka słodka, taka krucha, delikatna, bardzo namiętna. – Uśmiechnął się. Ona również się uśmiech-
nęła, niewyobrażalnie szczęśliwa. – Cokolwiek ci siostra mówiła o mnie i o niej, to nieprawda. Nie wierz w ani jedno jej słowo. To wszystko kłamstwa i konfabulacje. – Wyjął jej spinki z wło-
sów i luźne pasma spadły ciemną kaskadą na jego rozgrzaną twarz. – Cudnie pachną twoje
włosy. Są miękkie i delikatne, mógłbym zasnąć otulony ich zapachem – rozmarzył się.

Marta drgnęła. Naraz przypomniały jej się słowa siostry o namiętnej nocy w gospodzie. Jeszcze wtulona w jego gorące ramiona, wahała się, czy zburzyć ten mir, czy roztrząsać podejrzenia, czy zostawić wszystko za sobą i cieszyć się tym, co oferuje jej los. Jednak jakieś małe li-
cho drażyło jej duszę i podszeptywało, by zapytać, a przede wszystkim obejrzeć przedramię
ukochanego. Ludwika chwaliła się, że po tamtej upojonej nocy zostawiła Waldiemu pamiątkę
w postaci poranionej skóry. Wzdrygnęła się na myśl, że słowa siostry mogą okazać się praw-
dziwe. A potem ukojona melodyjnymi zapewnieniami kochanka sapnęła z poczucia ulgi. Prze-
cież to niemożliwe, by ktoś mógł tak kłamać. Musiałby być potwornym komediantem, by tak
gorliwie się zapierać, tak wiarygodnie. Nie, to niemożliwe – pomyślała uspokocona.

– Kocham cię. Bardzo. Jesteś moją pierwszą i jedyną miłością. – Uniosła twarz i napotkała
jego dobre mądre oczy. Pocałował ją czule i długo, a potem wtuleni w siebie siedzieli bez
słowa.

– Wyjdiesz za mnie, kochanie? Proszę, powiedz „tak”. – Usłyszała jego szept i uśmiech-
nęła się szczęśliwa. Sama się zdziwiła, gdy zamiast słowa „tak”, powiedziała:

– Kochany, odsłoń przedramię, muszę coś zobaczyć...

– Teraz, w ciemności? – W jego głosie wybrzmiała niepewność. Marta czuła, jak otacza-
jące ją ramię twardnieje.

– Proszę cię, Waldemarze, odsłoń przedramię. Muszę mieć pewność, że słowa mojej sio-
stry o waszej upojonej nocy w gospodzie są nikczemnym fałszerstwem. – Nalegała.

– Są fałszerstwem, naprawdę – zapewnił żarliwie. – Przysięgam ci to, Marto.

– Więc odsuń rękaw. – Uparła się stanowczo, a uśmiech zgasł na jej twarzy. Serce łomotało
jej jak szalone, a palce zlodowaciały. Do duszy wkradła się niepewność. Przymknęła oczy i po-
wtórzyła z naciskiem – Podnieś rękaw, bardzo cię o to proszę.

Waldemar Promyk nie wykonał żadnego ruchu, aż w końcu Marta otworzyła oczy i powolnym ruchem, patrząc w oczy mężczyzny, odsunęła zielony materiał uniformu. Nie dał się przesunąć do łokcia, ale i tak to, co zobaczyła, wstrząsnęło nią. W mdłym świetle księżyca spostrzegła gojącą się ranę. Przez całą długość odsłoniętej ręki przebiegały trzy pręgi. Nie miała wątpliwości, że strupy powstały niedawno. Nie miała też wątpliwości, że ten ból zadała kobieca dłoń.

– Marto, to nie tak... Błagam cię, nie ufaj nikomu oprócz mnie...

– Zamilcz – rzuciła beznamiętnym głosem, całkowicie przygaszona, odarta ze złudzeń i z marzeń. Najchętniej uderzyłaby go w twarz, ale nie miała na to siły. Powolnymi ruchami zawiązała dokładnie sznurówkę przy dekolcie, poprawiła szary materiał sukienki i otuliła ramiona chustką. Nie próbowała nawet szukać spinek, by spiąć rozpuszczone włosy. Wymacała kławkę i z niemałym trudem zeskoczyła z pojazdu.

– Marto, ona cię okłamała, przysięgam. – Wyskoczył z bryczki, zagroził jej drogę i ukląkł na ziemi, by ją błagać o wysłuchanie.

– Dałam ci moje ciało, ale już nigdy nie dam ci dotknąć mej duszy – szepnęła bardziej do siebie niż do niego. Wyminęła go i odeszła. Początkowo szła ze schyloną głową, a potem wyprostowała ramiona i poprzysięgła sobie nie dać się omamić żadnemu, ale to żadnemu mężczyźnie. Już nigdy.



Ostre walenie kołatką do drzwi postawiło na nogi służbę. Marta w pośpiechu wciągała szarą spódnicę, byle jak wiązała kaftan i przeskakując rozrzucone pantofle Ludwiki, pobięła otworzyć niespodziewanemu gościowi. Szarość poranka wdzierającego się przez niezastłonięte wielkie okna pozwalała domniemać, że nastał już świt, ale był jeszcze blady i niedoskonały. W holu spojrzała na mahoniowy zegar, dochodziła piąta. Przyglądała potargane snem włosy i przetarła dłonią zaczerwienione od niewyspania oczy, po czym nacisnęła klamkę i otworzyła. Przed nią stał nieznany jej mężczyzna i kategorycznie żądał rozmówienia się z księżną Reszko. Marta chwilę się wahała, ale stanowczość i surowość w głosie mężczyzny, a także informacja, że przybywa z Karczewa, napełniły ją grozą i czym prędzej poszła zbudzić jaśniepanią.

Sara siedziała na łóżku. Ją również hałas w holu wyrwał ze snu. Wpatrywała się z niepokojem w drzwi swojej sypialni, a gdy usłyszała zbliżające się kroki ochmistrzyni, struchlała. Jakiś niepokój przeszył jej serce. Obawiała się, że jej małżonek dokończył żywota. I nie myliła się. Posłaniec przybywał z Karczewa, by przekazać smutne wieści. Hipolit zmarł wieczorem we śnie następnego dnia po jej powrocie do Warszawy. A więc po rozmowie z Helgą Słupnik jego dusza doznała ukojenia – pomyślała wzruszona Sara. Mimo niezadowolenia Klementyny, Adelajdy, a nawet Marianny żona Hipolita czuła, że postąpiła słusznie, sprowadzając jego dawną kochankę. Zastanawiam się, czy gdyby Helga nie wstąpiła do klasztoru, a została zwykłą uliczną dziewczką, również stać byłoby mnie na tak wielkie miłosierdzie – zadrwiła z siebie, zaciskając powieki. Zmówiła krótką modlitwę za duszę zmarłego małżonka. Niespodziewanie naszły ją myśli, że będzie na wieki potępiona, bo nie towarzyszyła mężowi w chwili śmierci. Upadła na kolana i zaczęła się gorliwiej modlić za zbawienie jego duszy. Z twarzą ukrytą w dłoniach błagała Boga Wszechmogącego o wybaczenie dla swojego egoizmu i swojej słabości. Oskarżała siebie o to, że nie jest litościwą chrześcijanką. Nie znalazła w sobie miłosierdzia i cieplejszych uczuć dla umierającego człowieka, którego nazwisko nosiła. Tak gorąco się modliła, że wstrząsnął ją spazm. Wciąż na klęczkach oparła się łokciami o brzeg łóżka i by zagłuszyć głośny szloch nakryła głowę poduszką. Dopiero po jakimś czasie usłyszała ciche pukanie. Nie miała ochoty nikogo widzieć, ale zdawała sobie sprawę, że trzeba wydać dyspozycję natychmiastowej podróży do Karczewa.

– Księżno...

Zaskoczona Sara uniosła głowę i zobaczyła Martę stojącą w drzwiach jej pokoju.

– Księżno, przygotowałam wszystko do drogi. Tadeusz z Henrykiem już szykują powóz. Bardzo pani współczuję – dodała po chwili.

– Dziękuję, Marto. – Sara podniosła się z kolan i usiadła na łóżku. – Zawołaj Franję, niech pomoże mi się ubrać.

– Pani Saro, proszę mnie nie odtrącać. Ja wiem, co należy do moich obowiązków. A teraz moim obowiązkiem jest być przy pani. Nalegam.

– Dziękuję ci, kochana moja Marto, ale wiem, że masz własne zmartwienia...

– Nie, księżno. Nie mam zmartwień. Żadnych – podkreśliła stanowczo. – Miałam chwilowe problemy, ale one już są za mną. Jestem przede wszystkim ochmistrzynią i służenie pani,

księżno, jest moim nie tylko obowiązkiem, ale i wielkim honorem. – Nie czekając, aż księżna odpowie, Marta odsunęła krzesło od toaletki, dając tym samym zaproszenie do codziennych czynności.

Sara odczuła ulgę. Jakby jakiś zagubiony element wrócił na swoje miejsce. Usiadła przed lustrem, a ochmistrzyni starannie rozczesła jej włosy i zaplotła w odpowiedni do kapelusza kok. Potem pomogła księżnej się obmyć i ubrać w czarną suknię.

– Dobrze, że jesteś. – Sara uśmiechnęła się ledwo unosząc kąciki ust. – Tak mi ciężko na duszy, że nie byłam przy Hipolicie w chwili śmierci. W ostatni dzień mojego pobytu w Karczewie kazałam sprowadzić Helgę Słupnik, żeby mógł się z nią pożegnać. Wiem, że tego potrzebował. Moja rodzina jest zszokowana tym postępkami.

– Dobrze pani zrobiła, księżno. Sam Pan Bóg kazał to pani zrobić. Jeśli umierający doznał ulgi na końcu żywota, to był to ze strony księżnej bardzo wielkoduszny gest. Dobrze, że ona była przy księciu Hipolicie. I ona, i on skrzywdzili wielu ludzi, ale widać i jedno, i drugie już swoje grzechy odkupili. Nie nam, żywym, ich oceniać. – Marta zebrała drobiazgi swojej pani do małego podróżnego kuferka i zatrasnęła wieko.

– Będzie mi Ciebie bardzo brakowało w Karczewie. – Sara popatrzyła na Martę z wdzięcznością. – Zawsze uważałam Cię za niezwykle mądrą, życiową kobietę. Potrafisz mnie pocieszyć jak nikt inny.

– Nie będzie księżnej mnie brakowało, bo jadę z księżną do Karczewa – oświadczyła ochmistrzyni tak stanowczo, że Sara mimo żałoby się roześmiała.

– Marto, nie znasz wszystkich okoliczności, nie możesz ze mną jechać. Nie dlatego, że Cię nie chcę ze sobą wziąć czy straciłam do Ciebie zaufanie, ale...

– Ale rodzina księżnej ma do mnie ogromny żal o ten powóz i w ogóle. – Machnęła ręką, przerywając chlebobawczy. – Pani Saro, a bo to pierwszy raz rodzina księżnej jest na panią zła? A bo to się trzeba przejmować gadaniem i pomówieniami, i to w chwili żałoby? Pogadają i przestaną. Kategorycznie jadę z panią, księżno. Jestem pani potrzebna. Znam pałac, ludzi, a pani Klementynie i pani Adelajdzie będę schodziła z oczu, by ich nie denerwować.

– Masz rację. Jak zawsze zresztą. Będę się lepiej czuła z tobą przy boku. – Do Sary dotarła mądrość płynąca ze słów ochmistrzyni. Znów pomyślała, że Marta potrafi realnie spojrzeć na świat. – Spakuj swoje rzeczy do podróży.

– Już spakowałam – stwierdziła krótko. Ucieszyła się, że księżna dała się przekonać. Nade wszystko pragnęła jej służyć, ale też wyjechać z tego miejsca, nie wypatrywać żółtego dyliżansu, nie spać z Ludwiką w jednym łóżku, nie wysłuchiwać codziennych relacji o jej miłych schadzках. Jest dorosła, niech sama rozgląda się za jakimś zajęciem, a nie buja w obłokach – pomyślała z obojętnością w stosunku do siostry.

Tadeusz i Henryk znieśli bagaże, Sara szła do karety, przytrzymując dłonią kapelusz, bo czarną cieniuchną woalkę podwiewał wiatr. Marta szła tuż za panią, niosąc ostrożnie kosz z prowiantem na drogę, gdy nagle spod bramy zerwał się siedzący na ziemi mężczyzna i zagroził jej drogę.

– Proszę mnie przepuścić – rzuciła groźnie ochmistrzyni.

Sara odwróciła się zaskoczona. Ledwo rozpoznała w tym zmarzniętym, przemęczonym człowieku wesołego pocztylioną, który zawsze już z daleka słał jej niski ukłon. Teraz nawet jej nie zauważył. Nie widział zresztą niczego dookoła oprócz Marty Skowronek.

– Marto, wszystko w porządku? – spytała księżna, zatrzymując się przed kareta.

– Tak, jaśnie pani. Proszę wsiadać, ten człowiek się pomylił. – Ochmistrzyni przystanąła, bo pocztylion zagroził jej sobą drogę.

– Marto, błagam cię o chwilę rozmowy. Koczowałem pod tą kamienicą całą noc, będę tu wyczekiwał, dopóki nie zrozumiesz, że się mylisz.

– Proszę odejść, pomylił mnie pan z kimś, nie znam pana. – Szorstkość jej tonu smagnęła go niczym bat.

– Marto, błagam cię. Nie nawykłem oczerniać kobiety, ale ona kłamie. Kłamie. Przysięgam. – Ukląkł przed nią. – Jesteś dla mnie najważniejsza. Jedyna na świecie. Kocham cię. Tylko ciebie. Błagam, odezwij się. – Uczepił się rąbka jej czarnej sukienki, ale szarpnęła materiałem tak mocno, że w końcu wysliznął się z zziębniętych dłoni mężczyzny.

– Tadeuszu, pomóż mi – poprosiła woźnicę.

– Panie Waldemarze, niechże się pan nie wygłupia, trunku żeś się pan opił? – Woźnica kręcił głową. – Wstawaj pan na równe nogi, bo zaraz z roboty pana wywałą.

– Niech wywałą, wszystko mi jedno. Panna Marta życie mi zmarnowała. A ja jej tylko pomóc chciałem, bo ją kocham. I za tę pomoc spotkała mnie taka wdzięczność. – Zaszlochał tak żałośnie, że Henryk i Tadeusz pokręcili głowami, a Marcie ścisnęło się serce.

– Oj, panie Waldemarze, niech pan więcej nie pije, kto to widział tak klęczeć na ulicy i się kobiecie narzucać – głądził Tadeusz, ale pomógł mu się podnieść i utrzymać na nogach. Potem zatrzasnął drzwi powozu za kobietami, wskoczył na kozioł, na którym już siedział Henryk, i strzelił z bata. Konie natychmiast ruszyły. Kilkoro ludzi obejrzało się za chwiejącym się z rozpaczy pocztylionem, ale zajęci swoimi sprawami poszli dalej. On oparł się o mur i zapłakał jak dziecko. Oddałby wszystko, byleby Marta uwierzyła, że nie tylko jej nie zdradził, ale ani przez chwilę o zdradzie nie pomyślał.

– Marto, co to było? Wiesz, o co chodziło pocztylionowi? – Księżna wciąż nie potrafiła wyjść z szoku. – Jeszcze go takim nie widziałam. On się chyba w tobie kocha. Tak, na pewno. Swojego czasu rozpytywał mnie o twój przyjazd, gdy byłaś w Sępach. Nie za surowo go potraktowałaś? Wyglądał na bardzo przybitego i załamane. Nie wiem, co między wami zaszło, ale wydaje mi się, że powinnaś dać mu szansę.

– On mnie z kimś pomylił, księżno – odpowiedziała smutno Marta i zapatrzyła się w szybę, powstrzymując się od płaczu. Musiała być silna, chciała tę siłę przekazać swojej pani, która teraz jej potrzebowała. Miała żal do Promyka, że urządził tę scenę w obecności jej chlebowodawczyni. I tak przez siostrę, a na domiar złego przez ten przeklęty książęcy powóz miała dość nieprzyjemności. Pomyślała o tym, że przez Ludwikę straciła coś bezcennego, pierwszą i zapewne jedyną szansę na miłość, a potem jej myśli powędrowały do rodzinnego domu w Sępach. Rodzice musieli wiele przejść przez swoją najmłodszą niesforną latorośl. Wierni służbie i swoim obowiązkom, na starość zostali zniesławieni, odtrąceni i potraktowani niehonorowo.

Księżna więcej nie pytała o Waldemara, ale pomyślała, że przynajmniej wie, dlaczego Marta chodzi jak struta. Coś niedobrego musiało zajść między tym dwojgiem, a ona przez swój ponad miesięczny pobyt w Karczewie nie zauważyła rodzącego się między nimi uczucia – odkryła z pewną nutką żalu. Życzyła Marcie szczęścia, życzyła jej też miłości. Nawet się śmiały obie za dobrych czasów, że następna powieść będzie nosiła tytuł *Zakochana służąca*, ale jak się okazuje, miłość jest do niczego – stwierdziła w duchu Sara, a potem również i ona po-grążyła się w zadumie.



W karczewskim kościele i poza nim zebrały się stare arystokratyczne rodziny, szlachta, przedstawiciele mediów, artyści, literaci, rodzina zmarłego, służba i tłumy gapiów. Po mszy niewiarygodnie bogato zdobiona trumna z ciałem księcia Hipolita Teofila Reszki spoczęła w rodzinnym mauzoleum. Biskup odprawił uroczystość pogrzebową, a po przemówieniu duchownego głos zabrał niekończący się orszak mówców, wychwalając przymioty księcia i jego dobre serce. Zdawać by się mogło, że chowają nadzwyczaj porządnego i wielkodusznego człowieka o krystalicznym charakterze. Nawet pogoda dostosowała się do podniosłości chwili. Ludzie potem opowiadali, że księżę wybrał sobie iście księżęcą aurę na pogrzeb. Słońce ciepłymi promieniami ogrzewało ziemię, a lekki wiatr sypał na żałobników białe płatki z rozłożystych robinii akacjowych. Sara zarówno ceremonię, jak i długą konsolację na prawie dwieście osób zapamiętała jak przez mgłę. Uroczystość odbyła się w przepięknej sali balowej, w której niegdyś Hipolit ogłosił ich zaręczyny. Wtedy, mimo że było to małżeństwo zaaranżowane, a ona młodziutką i niedoświadczoną nieco zamkniętą w sobie panią, jeszcze wierzyła, że jakimś cudem przeżyją wspólne lata we względnym spokoju i wzajemnym szacunku. Jej dramat rozpoczął się w noc poślubną i trwał niemal przez całe ich małżeństwo. Gdy jej życie stało się pasmem tortur i nieszczęść nie do zniesienia, zagroziła rodzicom, że odbierze sobie życie. Ojciec, widząc jej desperację, przeczuwał, że gotowa jest groźbę przemienić w czyn. Przekonał żonę do kupienia apartamentu w Warszawie i zgody, by córka tam zamieszkała. Klementyna, początkowo przeciwna, w końcu poddała się woli męża, czego sporadycznie żałowała, nie była bowiem zwolenniczką niezależnych kobiet.

Po uroczystym obiedzie Sara, zmęczona przyjmowaniem słów współczucia i pocieszenia, potrzebowała chwili samotności. Wymknęła się do parku, by przejść aleją róż do kapliczki. Pragnęła usiąść i w spokoju choć przez chwilę nie myśleć o niczym. Każdy od niej czegoś oczekiwał, o coś pytał, czegoś żądał, a ona starała się wszystkiemu sprostać. Przed kapliczką klęczała Helga Słupnik, Sara nie zauważyła jej na pogrzebie, siedziała w pierwszym rzędzie razem z teściową i teściem, nie miała możliwości wyłowienia twarzy z tłumu przybyłych.

– Dziękuję ci, Helgo, że ulżyłaś mojemu mężowi w cierpieniu i pomogłaś mu godnie przejść na tamten świat. – Przysiadła na ławce obok modlącej się kobiety.

– Zrobiłam tylko to, co do mnie należało...

– Tym niemniej dzięki tobie księżę pogodził się z odejściem i zakończył jego cierpienie.

– Może w ten sposób odkupię choć część swoich win. Byłam upadłą kobietą – wyznała szczerze. – Nawet tobie, pani, życzyłam śmierci.

– To już przeszłość. Dobrem, które dajesz podopiecznym, odpokutowałaś wszystkie złe uczynki. Podziwiam drogę, jaką przeszłaś.

– Pójdę już, bo czekają na mnie obowiązki. Zajmuję się dziećmi, których nikt nie kocha. Za pani małżeństwo też modłę się każdego dnia. Modliłam się również wtedy, gdy pani córeczka odeszła...

– Wiem, bardzo jestem ci za to wdzięczna. Pan Bóg ci wynagrodzi, ale nie tylko On. Księżę prosił mnie, bym przekazała ci pewien zapis majątkowy. I tak też uczynię, zrobię nawet więcej, otworzę fundację, z której co rok otrzymasz duży zapis.

– Mnie niczego nie potrzeba. Mam co jeść, mam wikt i opierunek, odkupuję winy, pomagając innym. Ale jeśli księżna będzie tak łaskawa i zechce ofiarować jakąś sumę, to szarytki przyjmą ją z błogosławieństwem. W zakonie zawsze czegoś brakuje, nawet żywności, no i oczywiście rąk do pracy, bo nie zawsze mamy z czego płacić.

– A czy przyjąłbyście młodą dziewczynę do przyuczenia? Jestem gotowa pokryć jej pensję. Mam u siebie kogoś, kto bardzo potrzebuje pracy. Będę wysoce zobowiązana za pomoc.

– Z wielką radością przyjmę tę panienkę pod swoje skrzydła. Proszę ją do mnie przysłać, kiedy tylko księżna zechce. Będzie miała u nas kąt, jedzenie i pensję, byleby tylko zechciała nieść dzieciom pomoc.

Helga się oddaliła, a Sara, zadowolona z faktu, że pomagając szarytkom, pomogła jednocześnie Marcie i jej siostrze, zmrużyła oczy i wystawiła twarz do słońca. Nie zauważyła idącego aleją w stronę kapliczki mężczyzny. Kiedy usiadł obok niej na ławce, dotknął jej dłoni, miała ochotę zerwać się i uciec. Kiedyś za te przepiękne orzechowe oczy dałaby sobie wyrwać duszę. Uśmiechnęła się do niego łagodnie jak do dawno przebrzmiałego wspomnienia i wysunęła dłoń z jego dłoni. Milczała, nie ułatwiając mu rozpoczęcia rozmowy.

– Pochowałam męża, Saro – zaczął z melancholią w głosie. – Boże, jak ja ciebie kochałem.

– Nie, Bruno, nic nie mów. To już teraz bez znaczenia. – Uniosła dłoń na znak ciszy.

– Muszę ci to powiedzieć. Pozwól mi mówić. W takim dniu jak dziś, gdzie każde z nas czuje powagę chwili, chcę ci wyjawić to, co leżało mi na sercu. – A ponieważ księżna nadal milczała, ciągnął: – Ubóstwiałem cię, Saro, i ubóstwiam. Wierz mi, nie ma dnia, nie ma chwili, bym o tobie nie myślał. Byłem w tobie tak bardzo zakochany, że nie mogłem oddychać swobodnie, nie jadłem, nie spałem, nic nie robiłem, tylko wciąż i wciąż rozmyślałem o tobie. Wiedziałem jednak, że nasza miłość może zaprowadzić mnie na zesłanie. Bałem się. Strasznie, codziennie, bez ustanku się bałem. Przeżywałem katusze, bo wiedziałem, jaki twój mąż potrafi być okrutny. Błagałem Boga, żebym przestał cię wielbić...

– Pamiętasz, jak miała na imię nasza córeczka? – przerwała mu spokojnie.

– Anna... – powiedział niepewnie, jakby przywoływał to imię z najgłębszej pamięci.

– Miała na imię Anna Maria – sprostowała. – Ani razu o nią nie zapytałeś, a czy choć raz pomodliłeś się za jej małą duszyczkę? – Zagryzła usta, bo gardło jej się ścisnęło, a za nic w świecie nie chciała się rozpłakać

– Modliłem się za nią, naprawdę – powiedział żarliwie. Sara wątpiła w jego słowa, choć bardzo chciała w nie wierzyć.

– Wkrótce będziesz miał własne dziecko, prawda? – spytała, pamiętając, że ostatnio, gdy przyszedł prosić ją o jałmużnę, wyjawiał błogosławiony stan żony. Zazdrościła im wtedy, że stworzą rodzinę.

– Tak, chyba tak – kluczył dziwacznie. Podrapał się w brodę i długo nad czymś myślał, w końcu wyznał: – Rozstałem się z Różą.

– Przykro mi – bąknęła Sara. Żal jej się zrobiło tamtej naiwnej zakochanej w nim po uszy młodziutkiej szlachciance.

– Nie kochałem jej. Nie rozumiała mnie, nie była na tym samym poziomie myślenia. Nie miała pasji. Ona oprócz mojej książki niczego nie przeczytała. Niczego... – wydyszał, z tru-

dem hamując frustrację.

– Twojej książki... Bruno?

– Naszej... tak, tak, naszej, nie, nie naszej, twojej. – Zmieszał się, wyczuwając sarkazm w jej głosie. – Nie kochałem Róży, Saro. Już w kościele, kiedy miałem składać słowa przysięgi małżeńskiej, jakaś zła moc plątała mi język. W końcu po reprimendach księdza przysięgłem jej miłość, ale tylko dlatego, że odnosiłem wrażenie, że to ty, nie ona, stoisz obok przed ołtarzem. Saro... ja ciebie... Kocham... nigdy nie przestałem. Księża się bałem potwornie, potwornie, strasznie. Saro, wybac, wybac i Kochaj mnie jakżeś dawniej mnie kochała. – Upadł przed nią na kolana i zaczął bić pokłony, uderzając głową o ziemię jak człowiek całkowicie obłąkany.

– Proszę, przestań. Zostawiłeś żonę w błogosławionym stanie, bo nie podzielała twojej pasji, złamałeś jej serce, zostawiłeś w najtrudniejszym dla kobiety czasie i przyszedłeś żebrać o miłość? Naprawdę niezbyt dobrze to o tobie świadczy. Gdyby tliły się we mnie resztki jakiegokolwiek uczucia, to w tej chwili by zgasły.

Wstała z zamiarem skierowania się do pałacu i dołączenia do uczujących żałobników, ale Bruno chwycił się rąbka jej czarnej sukni i jął żarliwie wypłakiwać o miejsce w jej sercu. Zobaczyła młodego chłopca stajennego, patrzył w ich kierunku oniemiały. Przywołała go ręką, a kiedy przyszedł, rozkazała:

– Proszę, zaopiekuj się panem literatem, niech po skończonej modlitwie trafi do swojego powozu, biedaczek nie potrafi pozbierać się po śmierci księcia.

– Tak jest, jaśnie pani. – Dygnał młodzieniec, nie bardzo wiedząc, jak ma teraz postąpić, stał więc tylko nad klęczącym na żwirowej alejce człowiekiem i czekał na jego ruch.

Nie ma nic gorszego niż zebranie o miłość – uznała zgnębiona. Przypomniały jej się własne męki i cierpienie, kiedy ją odtrącił. Nie okazała wówczas słabości, swoje katusze ukrywała pod maską obojętności. Dziękowała sobie, że wtedy nie poniżyła się przed nim, bo litość, którą teraz odczuwała dla Dzikowskiego, mieszała się z pogardą. Dzięki Bogu, nie dopuściłam do tego, by się wtedy nade mną pogardliwie litował. Nigdy bym sobie tego nie darowała – pomyślała.

W holu na szczycie schodów stała Klementyna. Trzymała rękę na drewnianej rzeźbionej poręczy i przypominała alabastrowy posąg odziany w czerń. Z ustami zaciśniętymi w ciup, nie spuszczała z córki surowego spojrzenia.

– Dlaczego tu stoisz, mamó, czyżby pieczone ci nie smakowało? – zadrwiła Sara, domyślając się, że matka ma do niej żal, że ta opuściła żałobników.

– Co ty wyprawiasz? – syknęła Wolska, kiedy córka stanęła na ostatnim stopniu. – Nie masz dość plotek? Pisanie, bratanie się ze służbą, samotne mieszkanie w wielkim mieście, czy tak postępuje przyzwoita kobieta? W dodatku księżna, wdowa. – Ostatnie słowo zabrzmiało w ustach Klementyny niemalże lubieżnie. – Musisz obnosić się z Kochankiem i to w dniu pogrzebu męża? Naprawdę nie masz umiaru? Ojciec za dużo ci pobłażał. Nie pasujesz do naszego świata...

– To mnie z niego wyklucz – rzuciła matce w twarz i minęła ją na pozór spokojnie, choć wszystko w niej się buntowało. Weszła do sali balowej, w której odbywała się uroczystość po-

grzebowa. Goście zdawali się doskonale bawić. Wiedziała, że rozmowy i konsumpcja przy cichej muzyce fortepianowej potrwać do białego rana. Wiedziała też, że goście zrozumieją jej nieobecność, a nawet nie wypadło, by pogrążona w nieukołysanym żalu wdowa wesoło biesiadowała. Sara, która zwłaszcza od czasu zamieszkania w Warszawie nie przejmowała się konwenansami, wycofała się niezauważona i poszła do swojej sypialni. Usiadła przy biurku, wzięła pióro i rozłożyła ulubiony papier listowy, na którym zwykła pisać, ale w głowie miała pustkę. Żadna myśl nie nadawała się do zapisania. Załamana zgmiotła w zaciśniętej dłoni śliczną bladoróżową kartkę i rzuciła za siebie, oparła ręce na biurku, a potem położyła na nich głowę i zalkała. Tak zastała ją Marta. Zdruzgotaną, wątpiącą w sens życia.

– Marto, to wszystko jest takie trudne. Takie straszne, takie niewiarygodnie przygnębiające.

– Księżno Saro, tyle pani w życiu przecierpiała, że aż trudno to wszystko udźwignąć. – Pomyślała o stracie córeczki, mężu tyranie, odrzuconej miłości i nagle zaświtał jej w głowie szalony pomysł. – Księżno, wiem, co mogłoby księżną ukoić.

– Nie, Marto, nic nie jest w stanie mnie ukoić. Nic. Nawet nalewka na miodzie, którą raczysz mnie w chwilach najgorszego smutku czy wyziębienia ciała. Przede mną czarne dni. Otwarcie testamentu, szarpanie się z rodziną Hipolita i z moją własną o spadek po mężu i wiele innych przykrych obowiązków – mówiła przygnębiona.

– Nie mam na myśli nalewki. Chociaż kieliszek trunku dobrze by pani zrobił. A i sama chętnie bym się napiła – przyznała. Odsunęła wprawdzie swoje smutki na bok, bo jej pani cierpiała, a ona zawsze gotowa była nieść jej pomoc i pocieszenie, ale ból na duszy i w sercu pozostał i ta tęsknota niedająca się niczym zagłuszyć.

– Dobrze, masz rację, nalej nam obu po kieliszku miodówki. Przynajmniej myśli nie będą tak bolały. – Sara westchnęła, wstała od biurka i usiadła w fotelu przy małym okrągłym marmurowym stoliku. – Siadaj, Marto. – wskazała jej miejsce na wprost, a gdy kobiety wzmocniły się nalewką, ochmistrzyni wypaliła:

– Księżno, tyle lat jestem u pani na służbie. Od malutkiego dziecka właściwie. Proszę się więc nie gniewać, jeśli mój pomysł wyda się pani zbyt śmiały lub nieodpowiedni na dziś...

– Mów śmiało, Marto. Twoje rady niejednokrotnie okazały się mądrzejsze niż całej mojej rodziny.

– Księżno, niech księżna każe zaprzęgać powóz, ale nie tak oficjalnie, tylko niech to zrobią za bramą pałacu. Niech się księżna wymknie i wróci do Warszawy, a ja zostanę i wszystkim będę mówiła, że nie wolno przeszkadzać wdowie w zbawiennym śnie.

– Myślisz, że w Warszawie będzie mnie to wszystko mniej bolało? – Uśmiechnęła się melancholijnie, acz z niedowierzaniem.

– Na pewno będzie mniej bolało, szczególnie gdy zaprosi księżna wydawcę, pana Gustawa. On jak nikt potrafi panią pocieszyć. Jest mądry czytany, rozumny. On rozproszy dzisiejszy ból i strach.

Marta mówiła cicho, powoli, ze spokojem, a jej kojący głos i wypity trunek sprawiły, że Sara nagle zapragnęła znaleźć się w swoim salonie, zapragnęła usłyszeć łagodny tembr głosu Gustawa, zapragnęła spojrzeć w jego rozumne oczy i wtulić się w jego ramiona.

– Poproś Tadeusza lub Henryka, żeby zaprzęgli nie do karety, tylko do zwykłej podróźnej bryczki, i niech czekają na mnie za murem. Za chwilę będę gotowa do drogi.

Idąc do stajni, by wydać polecenia, Marta westchnęła lekko. Cieszyła się, że jej pani ma kogoś, kto rozproszy mrok jej życia. Wspaniałego przyjaciela, który ją kochał i rozumiał. Jak dobrze mieć świadomość, że gdzieś jest ktoś, kto myśli, kto czeka, kto kocha. Świat wokół staje się wtedy dobry i piękny. I my stajemy się lepsi. Tylko z miłością życie ma sens... Znów westchnęła i przyspieszyła kroku. Cieszyła się, że chociaż jej pani zazna spokoju.



Świece w kandelabrze powoli się dopalały, ale zapatrzona w żar kominka Sara ledwo to zauważyła. Przebrana w wygodną granatową sukienkę siedziała na wielkiej otomanie w salonie i wpatrywała się w żarzące się polana. Mimo że dnie bywały już ciepłe, noce wciąż zaskakiwały przenikliwym chłodem. Grube mury kamienicy nie nagrzewały się tak szybko, a ona chciała dziś czuć ciepło. Pogrzeb, przemowy, błazenada Dzikowskiego, kłótnia z matką i potajemna podróż do Warszawy umęczyły ją. Tuż po przyjeździe wysłała liścik do Gustawa Gurga i oczekiwała albo posłańca z wiadomością zwrotną, albo samego Gustawa. Miała nadzieję, że jej liścik zastał go na miejscu. Była pewna, że jeśli tylko jest w mieście, zaszczyci ją swoją obecnością, niezależnie od pory dnia. Zastanawiała się nad własnymi emocjami. Nie potrafiła zdefiniować swoich uczuć do Gustawa. Różniły się znacznie od szaleńczej pierwszej miłości, którą zapalała do Brunona Dzikowskiego. Gdy myślała o Gustawie, towarzyszył jej uśmiech, pewnego rodzaju czułość i... no właśnie, tego ostatniego nie potrafiła określić. Przecież chyba go nie kocham, po prostu bardzo, ale to bardzo go lubię. Mogę na niego liczyć. Czy to wystarczy na całe życie? – rozmyślała.

Usłyszała stukot kopyt na kocich łbach, jakimi było wyłożone Krakowskie Przedmieście. Powóz zatrzymał się przed bramą kamienicy, a Sara wyteńczyła słuch. Rozległo się trzaśnięcie drzwiczek powozu i domyśliła się, że Gustaw przyjął jej zaproszenie. Ulżyło jej. Wisielczy nastrój sprzed kilku godzin ustąpił miejsca melancholii. Przywołała dzwonkiem pokojówkę, poprosiła o dołożenie świec, przyniesienie dzbanka herbaty, a także przyrządzenie lekkiej kolacji dla dwóch osób.

Ubrany w czarny frak i białą koszulę młody wydawca taszczył w dłoniach pakunek przewiązany wstążką, który odłożył na pobliski fotel, i natychmiast podszedł do Sary, by się przywitać.

– Dobry wieczór, Saro, przyjmij moje najszczerze wyrazy współczucia. – Skłonił się, a potem pocałował podaną sobie dłoń.

– Dziękuję, Gustawie. Cieszę się że przyjąłeś moje zaproszenie mimo dość późnej pory. Wybacz, proszę. Byłam spragniona towarzystwa, ale jedyną osobą, którą dziś chciałam widzieć, jesteś ty – wyznała, wskazując mu miejsce, by usiadł na otomanie obok niej.

– Wielki to zaszczyt dla mnie, Saro. Nie wyobrażasz sobie, jak te słowa radują moją duszę.

– Miejsca sobie nie mogłam znaleźć w Karczewie. Moja matka uznała nawet, że nie pasuję do tamtejszego towarzystwa. Wyrwałam się wprawdzie tylko na dzień, góra dwa...

– Dobrze zrobiłaś, śmierć, ceremonia pogrzebowa i okoliczności z tym związane same w sobie są przygnębiające, a cóż dopiero do tego niezrozumienie rodziny. Mam coś dla ciebie, Saro. – Zmienił temat i wyraźnie się ożywił. – Chciałem dać ci to w innych okolicznościach, ale po otrzymaniu twojego liściku domyśliłem się, że potrzebujesz dziś wyłącznie dobrych rzeczy. I ta właśnie taka jest.

– Cóż to takiego? – zainteresowała się, właściwie bardziej z grzeczności.

– Chodź, otworzymy to razem. – Zerwał się z otomany, a w oczach zaświeciły mu iskierki. Wyglądał jak chłopiec, który zamierza coś zbroić. Nim jednak pomógł Sarze otworzyć prezent, weszły Mela i Frania, jedna niosła na srebrnej tacy dzbanek z herbatą, filiżanki, cukier

i śmietankę, a druga porcelanowe kandelabry ze świecami. Podały do stołu, dygnęły grzecznie przed Sarą i gościem – robiły tak za każdym razem, gdy Sara była w towarzystwie – i wyszły do kuchni, by po chwili wrócić z pasztetem z zająca, jajami przepiórczymi w sosie tatarskim i innymi przysmaki. Rozstawiły półmiski na blacie, Frania dołożyła dwie szczapy do kominka, po czym bezszelestnie zamknęły za sobą drzwi.

– Zapraszam cię na kolację, ale tym prezentem rozbudziłeś moją ciekawość, więc najpierw go otworzymy. – Nieco udawała entuzjazm. Wstała z otomany i podeszła do fotela, na którym spoczywał pakunek.

– Proszę, Saro, wystarczy przerwać szary papier, śmiało – zachęcał ją podekscytowany.

Nie mogła się nie roześmiać, bo wyglądał jak duży radosny chłopiec. Energicznym ruchem pociągnęła za papier i jej oczom ukazała się ryza luźnych kartek z bajecznie zdobną stroną tytułową.

– Mówiłem ci, że *Tajemnica* ma szansę być drukowana w paryskiej gazecie? Zgodzili się drukować z twoim nazwiskiem. Oto rysunki do poszczególnych paryskich odcinków. Musisz jeszcze podpisać umowę, ale sumy są bająnskie.

– Och, cudenko! – zapiszczała wzruszona. Z wypiekami na twarzy przysuwała poszczególne rysunki do świecy i przeglądała kartka po kartce. Wracała do poprzednich i wertowała następne. – Niesamowite, moi bohaterowie ożyli. – Gustawie, jesteś niemożliwy. Utrzymałeś to przede mną w sekrecie...

– Bardzo chciałem ci podarować coś wyjątkowego, a wiem, że największą miłością darzysz swoją pasję. A i u nas nakład *Tajemnicy* właśnie się wyczerpał i wydam kolejny również z tymi rysunkami. Już wkrótce wrzucam to cudenko na maszyny drukarskie. Przeżyj teraz wszystkie emocje, niech się ulotnią, wypalą, wybrzmiają, i ze spokojnymi myślami usiądź do pisania, kiedy stwierdzisz, że masz do tego serce.

– Dziękuję, nawet nie wiesz, jak bardzo potrzebne były mi te słowa. Od kilku tygodni nie potrafiłam napisać bodaj słówka. Za dużo przeżyć targało mą duszą.

Zjedli lekką kolację, a potem usiedli w fotelach na wprost kominka. Sara sama nie wiedziała, jak to się stało, że opowiedziała Gustawowi o nieudanym małżeństwie, do którego była przymuszona, o szalonym uczuciu do Dzikowskiego, o pogrzebie córki, na którym nie mogła być z uwagi na ciężką chorobę po porodzie, a także o pustce wokół siebie, którą ostatnio odczuwała. Gurg potrafił słuchać.

– Jesteś wyjątkową kobietą, Saro. Bardzo wiele w życiu osiągnęłaś i pozostałaś życzliwą dla świata i ludzi. Widzisz więcej, czujesz bardziej, bo jesteś artystyczną duszą. A pierwsza miłość... chyba każdy ją przeżył. Taki przywilej młodości. Potem z czasem odkrywamy, że oprócz płomiennego uczucia, które ma to do siebie, że płonie jasno i mocno, ale szybko niestety się wypala, potrzeba dużo więcej. Sama płomiennność to jeszcze nie miłość.

– Zdradź, proszę, co twoim zdaniem jest potrzebne do miłości – poprosiła cicho, wpatrując się w migocące iskierki żarzące się w kominku.

– Uczucie to podstawa, ale dodałbym jeszcze dobroć, wyrozumiałość, przyjaźń...

– A gdybyś miał oprócz miłości wybrać tylko jedną z cech? – spytała przekornie.

– Wybrałbym wspólną pasję. – Poszukał jej dłoni i podniósł do ust. – Saro... wiem, że to nie jest odpowiedni dzień na wyznania, ale...

– Masz rację, Gustawie, to nie najlepszy dzień, a właściwie nie najlepszy późny wieczór, na wyznania. – Wysunęła rękę i dotknęła jego twarzy. – Przytul mnie – szepnęła.

Zerwał się natychmiast, ujął jej rękę i poprowadził na otomanę. Usiedli blisko siebie, tak blisko, że słyszeli bicie własnych serc. Gustaw objął księżną, a ona oparła głowę na jego ramieniu. Pochylił się i musnął ustami jej włosy, potem czoło, a kiedy podniosła twarz ku niemu, poszukał ustami jej ust.

– Saro, jesteś mi bliższa niż ktokolwiek na świecie. Kocham twój niezłomny charakter, twój piękny umysł, twój uśmiech, kocham nawet tę niepewność, która nie pozwala ci w pełni cieszyć się prezentem od życia w postaci miłości. Miłość to dar, rzadko kiedy los nas nią obdarza. Wiem, nie chcesz dziś mówić o miłości, bo za tobą bardzo trudne przeżycia...

– Nie dlatego nie chcę mówić o miłości, Gustawie – zaprzeczyła, przerywając mu. – Mój mąż na łożu śmierci wyznał mi, że kochał tylko jedną kobietę. Nie mnie. Nie, nie było mi z tego powodu przykro, ja też go nie kochałam ani trochę. Boję się smutku związanego z kochaniem. Czy zauważyłeś, że zawsze ktoś kocha mocniej? – Zamyśliła się. – Zawsze jedna strona angażuje się bardziej i bardziej chce, a wtedy dzieje się wszystko na opak.

– Miałaś złe doświadczenia, Saro. Najpierw wyszłaś za człowieka niegodziwego, potem zakochałaś się w mężczyźnie bojaźliwym. Ani z jednym, ani z drugim nie zaznałaś szczęścia, ale nie zamykaj się na miłość. Samotność jest bardzo niewdzięcznym uczuciem. Pusty dom, nie ma się do kogo odezwać, nie ma z kim dzielić radości ani z kim płakać w chwilach smutku. Wyznam ci, że dziwacznie, najlepiej rozmawia mi się z moim starym sługą. Mądry człowiek, choć zniedołężniały. Mieszka u mnie na dożywociu, mimo że już nie pracuje. Czasami łapię się na tym, że traktuję go jak powiernika. – Zaśmiał się gorzko.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. Jesteśmy bardzo podobni do siebie. Moja rodzina wypomina mi, że jedną z moich służących traktuję zbyt przyjacielsko, a to tylko dlatego, że użyczyłam jej własnego powozu, gdy tego potrzebowała. Właśnie ona będzie bohaterką mojej następnej książki pod tytułem *Zakochana służąca*. Tylko że akurat zakochanie jej nie wyszło, a i mnie pisanie obrzydło. Wyobraź sobie, że to ona doradziła mi, bym wróciła do Warszawy i... spotkała się z tobą. – Zaśmiała się, nieco zażenowana własnym wyznaniem.

– Mądra kobieta. Już ją lubię. Prawdziwej mądrości nie zyskujemy przez urodzenie. Ludzie o wielkim rozumie rodzą się bardzo często pod strzechami, tyle że nie mają szans się wyedukować. Nie doceniamy służby, za mało mamy jej do zaoferowania – rzekł z przekonaniem. – Być może szlachta boi się przyjaznych stosunków z poddanymi, bo zwyczajnie boi się ich buntu. W Prusach chłopcy wywalczyli zniesienie pańszczyzny, a tu u nas jest to nie do pomyślenia. Panowie boją się, że jak chłopcy nie przyjdą na odrobek i życie zmusi ich do opłacania parobków, to ich majątki uszczuplą. To samo w gruncie rzeczy dotyczy służby. Są już prekursory wśród arystokracji, którzy fundują służbie mieszkania czy domy na wsiach, ale to wciąż kropla w morzu potrzeb.

Sara zastanowiła się nad słowami przyjaciela. Miał niezaprzeczalnie rację. Był jedyną osobą, z którą kiedykolwiek rozmawiała na temat przyjacielskich relacji z Martą.

– Jak dobrze, że posłuchałam mojej dzielnej służącej, miała rację, wieczór z tobą przyniósł mi ukojenie, choć nie wierzyłam, że cokolwiek jest w stanie mi pomóc.

Przytuleni i coraz bardziej sobie bliscy, jeszcze długo rozmawiali ze sobą, wymieniali pocałunki. Zdarzały się i momenty ciszy, w pełnym porozumieniu dusz wpatrywali się wówczas w żarzące się iskierki w kominku. Było już dobrze po północy, gdy Gustaw pożegnał Sarę, a ona, podbudowana na duszy, z poczuciem, że nie jest sama na świecie, udała się na spoczynek. Zanim jednak położyła się do łóżka, jeszcze raz spojrzała na przyniesione przez Gustawa piękne szkice. Nagle przyszła jej na myśl niemłoda dziewczyna, która dostaje od swojej pani mieszkanie i może dzięki temu zacząć własne życie, zakochać się i założyć rodzinę. Uśmiechnęła się do tego pomysłu. Zapisała kilka zdań, by pomysł jej nie uleciał, a potem jej myśli powędrowały do Marty.

Trąbka pocztyliona wybudziła Sarę ze snu. Przetarła oczy, mało spała tej nocy, bo zamiast położyć się spać po wyjściu Gurga, pierwszy raz od dawna zatraciła się w pisaniu. Wstała i podeszła do okna. Popatrzyła zza pięknie upiętych firan i dostrzegła nieznanego jej mężczyznę, który właśnie zeskoczył z kozła dyliżansu pocztowego. Od razu domyśliła się, że to nowy pocztylion. Tak czuła, bo Franciszek nie trąbił, a i Waldemar uszanował to, że do późnej nocy pisze i potem dłużej śpi. Żal jej się zrobiło rudowłosego młodzieńca. Zapewne stracił pracę po ostatnim wyglupie – pomyślała księżna. Co się takiego między nimi wydarzyło? Może warto podpytać Melę lub Franię albo wziąć na spytki Anielę? – zastanawiała się.

Z pokoju w głębi apartamentu doszedł do księżnej nieprzyjemnie piskliwy śmiech. Wzdrygnęła się i byłaby wzięła to na karb przesłyszenia się, ale śmiech się powtórzył. Był głośniejszy i bardziej drapieżny. Sara nie miała pojęcia, do kogo należał. Nałożyła na siebie peniuar i wyszła do holu, by przysłuchać się, skąd mógł dochodzić. Ledwo nacisnęła klamkę, znów usłyszała wstrętny plujący drobnym rechotem alt. Ale do altu przyłączył się również baryton. Po chwili na końcu korytarza otworzyły się drzwi i z pokoju Marty, który ostatnio dzieliła z siostrą, wyszedł niski jegomość, a za nim panna Ludwika. Obydwoje co rusz parszkając śmiechem, na palcach skradali się do drzwi wejściowych.

Gdy mężczyzna ujrzał księżną, przestał się skradać, wyprostował dumnie ramiona i schylił głowę z unізieniem.

– Dzień dobry szanownej pani, jak się księżna miewa o poranku? Miłego dnia paniom. – Skłonił się przesadnie i z butami w ręku opuścił apartament.

– Ludwiko, pozwól na chwilę do mnie. – Księżna zaprosiła siostrę Marty do swojego gabinetu.

Dziewczyna westchnęła głośno, ale nie mając wyjścia, zasłoniła się chwyconą naprędcę chustą Marty i poszła za księżną.

– Wiem, przesadziłam, nie spytałam, czy mogę przyprowadzać gościa do swojego pokoju – kajała się bez większego entuzjazmu. – Ale chyba nie jest to zabronione?

– Nie możesz przyprowadzać gości bez mojej wiedzy. A tym bardziej na noc. To jest porządny dom i właściwie w tej chwili powinnam cię poprosić o jego opuszczenie. Naraziłaś siebie na obyczajowy skandal, a mnie i wszystkich domowników na niebezpieczeństwo. – Sara zmierzyła dziewczynę nagannym wzrokiem.

– Już przeprosiłam przecież.
– Co to był w ogóle za człowiek?
– Właściciel apteki, jaśnie wielmożna pani. Głowa mnie rozboleła i wstąpiłam do apteki po proszek. On mnie tylko odprowadził, a potem rozmawialiśmy i rzeczywiście nieco dłużej niż wypada się zasiedziało, bo tak żarliwie opowiadał o swojej profesji, że... no, że się właśnie zasiedziało... – perorowała bez cienia skruchy.
– Dobrze, skończmy z tą komedią. – Sara uniosła rękę. – Dam ci list polecający do sióstr szarytek, już rozmawiałam w twojej sprawie. – Usiadła do biurka i skreśliła na osobistej papeterii kilka słów, a potem wsunęła list w blad różową kopertę z monogramem i podała dziewczynie. – Zgłosisz się do siostry Helgi Słupnik, ona da ci zajęcie i dach nad głową.
– Do zakonu mam iść?! – krzyknęła przerażona Ludwika i zrobiła znak krzyża.
– Nie mówię, byś została siostrą zakonną, a zwyczajnie tam pracowała. Twoim zadaniem będzie opieka nad porzuconymi dziećmi – wyjaśniła, wstając od biurka i tym samym dając dziewczynie do zrozumienia, że rozmowa skończona.
Ludwika również wstała. Wzięła list, z jej oczu biła niechęć do pomysłu księżnej Reszko. Zacisnęła usta, ale dygnęła grzecznie i opuściła gabinet, cicho zamykając za sobą drzwi.
Sara siedziała bez ruchu, czuła niesmak. Otuliła się szczerzej peniuarem, jakby chciała się odgradzić od nieprzyjemnych zdarzeń poranka. Uzmysłowała sobie, że Marta ma nie tylko złamane serce, ale też poważne kłopoty ze swoją siostrą. Postępowanie Ludwiki było haniebne, krnąbrne i nie do zaakceptowania, nasunęło jednak księżnej inną myśl. Dziewczęta, które zostają służącymi, rzadko kiedy mają możliwość zawarcia znajomości, bo nie mają nadziei na wspólne godne życie, mieszkając w służbowym kącie. Jeśli już im się uda, gnieźdzą się po kilka lub nawet kilkanaście osób w niewielkim pomieszczeniu kogoś z rodziny. A przecież tak samo czują, tak samo marzą i liczą na szczęśliwe życie, jak ci lepiej urodzeni. Potem się uśmiechnęła, bo przyszło jej do głowy, że może zmienić ten stan rzeczy. Nie musi zbawiać całego świata, ale jeśli chce się zacząć zmieniać świat, powinna zacząć od własnego podwórka. Już się nie bała otwarcia testamentu, a wręcz czekała na tę chwilę. Postanowiła nie wracać do Karczewa wcześniej, niż będzie to konieczne i przyrzekła sobie nigdy już nie słuchać rodziny, a kierować się wyłącznie własnym rozumem.



Aromatyczny zapach świeżo parzonej kawy i maślanych rogalików łechtał nozdrza trzech kobiet siedzących na tarasie. Ubrane w czarne żałobne suknie Klementyna, Adelajda i Marianna rozkoszowały się przedpołudniową kawą i deserem. Wspominały wzruszającą uroczystość pogrzebową, a także wymieniały między sobą wytworne arystokratyczne towarzystwo i oficjeli, którzy zaszczylicili ich swoją obecnością i towarzyszyli księciu Hipolitowi Teofilowi Reszce w jego ostatniej drodze. Konsolacja przeciągnęła się do rana i ostatni goście wyjechali dopiero po śniadaniu.

– Księżna Terestecka miała przepiękną suknię sprowadzoną aż zza oceanu. Szkoda, że musiała być w czarnym kolorze. Tylko na smutne okoliczności może się w niej pokazać. – Marianna sięgnęła po maślany rogalik.

– Marianno, dziecko, to już drugi. Błogosławiony stan usprawiedliwia twój apetyt, ale ja z doświadczenia radzę ci być ostrożną w kulinarnych ekscesach. Niestety, kobieta po urodzeniu dziecka rzadko kiedy wraca do szczupłej talii i nienagannej figury. Nie chcesz się chyba roztyć? – Adelajda zaśmiała się zdawkowo.

– Mamo... – jęknęła Marianna. Podniosła ciastko do ust i już czuła jego rozplywający się maślany smak z konfiturą z róży, ale słowa matki zepsuły jej tę przyjemność.

– Adelajda ma rację, Marianno – poparła siostrę Klementyna. – A swoją drogą, zazdroszczę wam. Ja się chyba nie doczekam wnuków – stwierdziła na pozór spokojnie, ale trzymana w dłoni filiżanka zadrżała, więc kobieta odstawiła ją na talerzyk.

– Doczekasz się, ciotucho. Teraz dopiero jest na to szansa. – Ciężarna zaśmiała się cicho, na co i matka, i ciotka zgromiły ją spojrzeniami. – No co, mówię prawdę. – Ściszyła głos. – Chodzą plotki, i ja w nie wierzę, że Hipolit nie był w stanie zostać ojcem. Brakowało mu męskości. – Zakaszłała dla zamaskowania efektu swoich słów, które w porannym słońcu nieco raziły.

– Marianno, proszę cię. – Matka chciała być poważna, ale jej nie wyszło. Kąciki ust podniosły jej się w hamowanym uśmiechu. – Swoją drogą, Marianna ma rację, Klementyno, być może rzeczywiście dopiero teraz masz szansę zostać babką.

– Gdyby jeszcze ta dziewczyna była zainteresowana czymkolwiek innym niż ta jej pisanina – skwitowała Wolska.

– Bądź sprawiedliwa. Sara odniosła wielki sukces. Wybiła się na niezależność finansową, może stanowić sama o sobie. – Adelajda zamieszała gęstą śmietankę, którą włożyła do kawy, wrzuciła kostkę cukru, znów chwilę mieszała, aż w końcu podniosła filiżankę i spodeczek i upiła słodki łyk aromatycznego napoju.

– Właśnie, niezależność. Po co kobiecie niezależność? Nie rozumiem tych nowoczesnych kobiet. Same chcą sobie wybierać mężów, chcą się realizować, jakby zarządzanie domem było czymś nudnym i nieodpowiednim. Nie rozumiem Sary, nigdy jej nie rozumiałam. Zawsze powtarzam, że Ambroży zbyt mocno ją rozpieścił, na wszystko pozwalał. I teraz zbieramy tego żniwo.

– Być może tak właśnie jest, ale pamiętaj, że Sara od wczoraj jest wdową. Za chwilę odziedziczy fortunę. Domy, pałace, fabryki, nieprzemierzone bogactwo. – W głosie ciotki czuło się

podziw i zazdrość.

– To wszystko będzie miała dzięki mnie. – Klementyna ponownie sięgnęła po filiżankę, tym razem ręka jej nie zadrżała. Znów poczuła pewny grunt. – To ja jej podsunęłam ten mariaż. Owszem, miał swoje wady – zwróciła się bezpośrednio do Marianny, bo ta zaśmiała się pod nosem. – Miał wady, nie przeczę. Jednak, jak się okazuje, miał również korzyści. Choćby i ogromny majątek.

– Tylko niech jej ciocia następnego męża nie szuka – zakpiła Siwińska.

– Nie rozumiem twojego sarkazmu, moje dziecko. Usprawiedliwia cię tylko błogosławiony stan. – Klementyna poczuła się urażona. – Niby dlaczego mam nie pomóc jej w rozsądnym zamążpójściu? Kobieta powinna mieć opiekuna. Kogoś statecznego i mądrego, kto ją poprowadzi, oczywiście z naszej sfery.

– Też tak uważam – przyznała rację siostrze Adelajda. – Wprawdzie jestem przeciwniczką aranżowanych małżeństw, ale w przypadku takiej fortuny do Sary za chwilę zaczną się doklejać szubrawcy niegodni jej uczuć. Przydałoby się, żeby ktoś podpowiedział młodej wdowie, co ma z tymi pieniędzmi zrobić, bo ona może i na pisaniu się zna, ale o interesach zapewne pojęcia bladego nie posiada. – Dla Adelajdy również tematy spadków i mariaży należały do ulubionych. – Pewnie rodzina Reszków też nie odpuści, jeśli chodzi o testament.

– Też mnie ta sytuacja niepokoi. W Karczewie została księżna Anna, ale zamiast się z nami napić porannej kawy, pilnuje wszystkiego, co rusz przelicza srebra, jakby ją ktoś zamierzał okraść. – Klementyna wypowiedziała te słowa z niesmakiem. – A Sara zamknęła się w swoim pokoju i od wczoraj nie wychodzi.

– Po spotkaniu z tym literatem – wtrąciła Adelajda. – Klęczał przy niej w parku. Czyżby jeszcze łączyło ich jakieś uczucie?

– To niemożliwe. Sara by nigdy nie chciała być z kimś takim. Obie jej nie znacie. – W Mariannie w końcu odezwała się solidarność z kuzynką. – Ona nie chciałaby z nim nawet rozmawiać.

– A jednak rozmawiała. – Adelajda Podolska popatrzyła na córkę z wyższością, jakby chciała jej powiedzieć, że miłość kieruje się nieracjonalnym postępowaniem, ale zmilczała. Dotarły do niej plotki, że córka, chcąc ratować narzeczonego z zesłania, oddała swoje ciało Hipolitowi Reszce, a ten ją brutalnie wykorzystał i upokorzył. Starła się więc unikać rozmów, które by w jakikolwiek sposób córce to przypominały. Postanowiła więc zmienić temat. – Pytanie, dlaczego Sara nie wstaje? Ja rozumiem ból, ale ani nie pożegnała żałobników, ani nie zeszła na śniadanie, dochodzi południe, a ona nie daje znaku życia.

– Byłam pod jej sypialnią, ale ta jej służąca Marta mnie nie wpuściła. – Marianna ścisnęła brwi ku sobie. Nie podobało jej się, że Marta nawet i ją odesłała z kwitkiem.

– Klementyno, wpływ na córkę, póki czas. Spotka ją ostracyzm ze strony arystokracji. Wspomnisz moje słowa, gdy będzie za późno. Dotarły do ciebie zapewne wieści, że młody Sępiński został przyłapany *in flagranti* właśnie z siostrą tejże panienki. – Podolska ściszyła głos, ale i tak jej słowa dotarły do stojącej za rogiem tarasu ochmistrzyni księżnej Reszko, która niosła kanekę mleka dla chłopców stajennych. Słyszając swoje imię z ust Adelajdy, przystanęła. Krew odpłynęła jej z twarzy i musiała przytrzymać się muru budynku.

– Wiem, dotarły do mnie te plotki. – Klementyna w zmieszaniu miętosła w rękach serwetkę. – Piotr zachował się niegodziwie, ale to nie tłumaczy tej dziewczyny. Wstyd mi, że Sara nie zdobyła się na współczucie dla tej nikomu niewinnej Teosi. Biedna, do klasztoru wstąpiła. Rodzina ręce załamuje.

– A co ma Sara do tego? – Mariannę rozbawiło ciotczyne rozumowanie.

– Nie śmieć się, dziecko – zbeształa ją Adelajda. Kiedyś tak jak ty byłam wyrozumiała w tych sprawach. Bawiło mnie to, aż do czasu, gdy moją własną córkę nie spotkało nieszczęście. Na ponad rok zamknęłaś się we dworze u mojej matki i ludzi nie chciałaś na oczy widzieć, bo Nikodem zaręczyny zerwał. Masz tak słabą pamięć? – Zmarszczyła czoło. – Nikt ci wtedy z pomocą nie przyszedł, nawet Sara tylko listy słała zamiast przyjechać. Teraz też powinna stanąć po stronie Teosi i przynajmniej pozbyć się służącej, co jej siostra taką niewdzięczność okazała swoim chlebodawcom.

– Masz rację, mamo, ale Marta Skowronek dla Sary jest jak siostra. Niczym najlepsza przyjaciółka. Sara się jej nie pozbędzie. Prędzej chyba nas by się była wyrzekła – stwierdziła gorzko Marianna.

– Jeszcze gotowa tę zhańbioną dziewczuchę pod swój dach przyjąć. To by dopiero wstyd był. Sępińscy by nam tego nie wybaczyli. – Adelajda zaśmiała się nerwowo. – Nie patrz tak na mnie, Klementyno, oczywiście żartuję. Sara by nigdy tego nie zrobiła.

Kobiety umilkły. Stojącej wciąż za rogiem budynku Marcie kanka z mlekiem zaciążyła niechętnie, bała się ją jednak odstawić, by najcichszym bodaj brzękiem nie zdradzić swojej obecności. Z sercem podszytym strachem wycofała się do wejścia dla służby. Weszła do kuchni i postawiła kankę na stole.

– Pani ochmistrzyni ducha zobaczyła? – Przeraziła się jedna z pomocy kuchennych. – Wygląda ochmistrzyni, jakby jej kto umarł.

– Daj mi wody – poprosiła spierzchniętymi wargami, a gdy dziewczyna spełniła jej prośbę, ledwo była w stanie upić kilka łyków, tak trzęsły jej się dłonie, że połowę rozlała.

– Panno Marto, o mój Boże, co tobie? – zawołała dziewczyna, a na ten pełen grozy okrzyk wszystkie kobiety w kuchni rzuciły swoją robotę i podbiegły do ochmistrzyni.

– Nic, nic. Muszę wyjść na powietrze, ale jeszcze nie teraz. – Złapała się za serce i nagle wybuchła płaczem na tę niesprawiedliwość ludzką. Na te kłapiące ozory, na te pomówienia i oszczerstwa. Na tę ludzką nikczemność. Lubiała swoich państwa, Klementynę i Ambrożego, którym tyle lat wiernie służyła. Ufali jej, wiedzieli, jaka jest rzetelna, uczciwa, dokładna, oddana im bez reszty, a teraz mówili o niej jak o najgorszej suce, choć jej winy w przewinieniach siostry nie było wcale.

– Marto, nie płacz, co się stało? Nie płacz już. Ktoś bliski ci umarł? – rozpytywały jedna przez drugą, ale Marta nie była w stanie zwierzyć się ze swoich boleści. Raz, że nigdy nie lubiła o sobie opowiadać, dwa, że nauczona dyskrecji przez długie lata służby, nie nawykła do wywlekania rodzinnych spraw na światło dzienne. Wiedziała dobrze, że nikt nie pomoże, a tylko śmiech i obmowa mogą ją spotkać i większy jeszcze wstyd, bo do plotki każdy doda coś od siebie, aż obrośnie nikczemnością nie do zniesienia.

Otarła łzy, opróżniła szklanekę i bez słowa ociężale wyszła z kuchni. Przeszła wąskim korytarzem dla służby i wyszła przed budynek pałacu. Majowe słońce ją oślepiło, zasłoniła dłonią oczy, ale i tak zrobiło jej słabo, a zaraz potem przyszły mdłości. Nie powstrzymała torsji i zwróciła w młodziutką soczystą koniczynę całą treść żołądka. Zatruli mnie swoim jadem, zaszczuli – pomyślała przybita. Przeszła wolno ścieżką na tyły ogrodu. Na równo okopanych grządkach kiełkował szczypior i zieleniła się wczesna odmiana sałaty. Zawsze cieszyły ją te pierwsze nowalijki, przyglądała się temu, jak pną się do życia, teraz jednak nie zwróciła na nie uwagi. Wyszła za mury pałacu, przeszła przez suchy rów, w którym po deszczach zbierała się woda, i wyszła na drogę. Soczysto zielone liście grabów tańczyły poruszane wiosennym wiatrem. Na gruntowej drodze porośniętej kępami trawy odznaczały się gołe koleiny wyłobione przez konne powozy. Najchętniej poszłaby tą drogą w nieznane, byle dalej od tych wścibskich oczu, od tych złośliwych jęzorów i złych spojrzeń. Za chwilę, gdy wyjdzie na jaw, że księżnej Sary nie ma w Karczewie i że perfidnie kłamałam, i tak mnie stąd wyrzucą. Po co czekać i na co? – mówiła do siebie półgłosem. Księżnej kłopotu narobiłam, ściągając Ludwikę, naraziłam na obmowy i osamotnienie, a także na poróżnienie z bliskimi. Zaraz nie będzie chciała mnie widzieć. Pewnie już zastanawia się, jak się mnie pozbyć, tylko jak to ona, serca nie ma, by na bruk wyrzucić – rozmyślała gorączkowo.

Znów złapały ją torsje, przytrzymała się pnia starej lipy i oddychała ciężko. Stara jestem, wkrótce żadnego pożytku już ze mnie nie będzie – przeraziła się. A gdy jako taka równowaga jej wróciła, stanęła na środku wąskiej malowniczej drogi, której kresu nie widziała, i strach ją ogarnął przed nieznanym światem. Wspomniała dzień, gdy rodziła się mała kruszynka księżnej Sary. Tego nieszczęsnego dnia księżę wyrzucił z pałacu Helgę. Wieczór się wtedy zbliżał, a ona z tobołkiem poszła w nieznane. Nawet jej wtedy nikt nie żałował zbytnio, bo ludziom za skórę zaszła. Dopiero teraz Marta zrozumiała cierpienia i strach, które towarzyszyły przyszłej zakonnicy. Nagle podniosła głowę i wyprostowała ramiona. Ja też do zakonu pójdę. Może i mnie się poszczęści i przyjmą dobrzy ludzie na posługę Bożą. Nagle przed oczyma zobaczyła twarz pocztyliona. Waldemar patrzył na nią smutnym zgaszonym wzrokiem, zacisnęła powieki, by obraz utrzymał się jak najdłużej, ale ten znikł tak nagle, jak nagle się pojawił. Usiadła na trawie na skraju drogi i zapłakała nad swoim losem i nad tą pierwszą i jedyną miłością.



Ubrany w czarny surdut i białą koszulę z plisami z przodu, szare spodnie i w szarym kapeluszu na głowie Waldemar Promyk energicznym krokiem zmierzał na róg Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia. Nie znać było po nim rozpaczy, jaka w nim szalała od kilkunastu dni. Skończył z piciem, otrząsnął się z niemocy i postanowił zawalczyć o ukochaną kobietę. Wiedział, że Marty nie ma w Warszawie, bo opłacił chłopca pocztowego, by mu zdawał relację, o której panna Marta Skowronek wychodzi z domu. Sam nie mógł wystawać pod apartamentem księżnej, bo przełożony, widząc, co się święci, wysłał go w najdalszą trasę. Był przekonany, że wrodzona odpowiedzialność za pasażerów i powierzone mienie wymusi na pocztylionie przyzwoite zachowanie i ukróci chęć do wypitki. I tak w istocie się stało. Waldemar wytrzeźwiał, rozsądek mu wrócił, a przede wszystkim zrozumiał, że Marta jest najbliższą jego sercu osobą. Uznał, że skoro samo życie z niego zadrwiło, że zachowanie Ludwika naraziło go na kompromitację i zdradę w oczach Marty, to trzeba poprosić o pomoc kogoś mądrego, najlepiej kobietę. Wiedząc, że Sara Leokadia Reszko szanuje Martę i ją poważa, stwierdził, że poszuka ratunku właśnie u księżnej. Zakupił kwiaty, odział się elegancko i stanął na wprost drzwi apartamentu na pierwszym piętrze.

– O święci pańscy! – zawołała Franka na widok pocztyliona ubranego w cywilne ubranie. – Mało pana nie poznałam. – Poczte pan dla księżnej dostarczył? – Taksowała jego elegancki strój i bukiet kwiatów, jakby szukając, gdzie ma ukryte listy.

– Dzień dobry, panienko, przyszedłem prosić księżną o rozmowę – powiedział dziarsko, bez najmniejszego zawahania.

– Co takiego? – zachnęła się. Myślisz, że każdy z ulicy może sobie tak wejść i rozmowy z księżną zażądać – parsknęła ironicznie. – To, żeś się odstroił jak na własne wesele, nie znaczy, że księżna zniży się i na twoje żądanie rozmowy na salony cię zaprosi. A juści, niedoczekanie twoje! – zawołała.

– No proszę, odpicowany i z wiechciem pewnie przyszedł rozpocząć starania do ożenku. No ale niestety, miły panie, Ludwika na noc nie wróciła. To i oświadczać się nie masz już komu. – Mela, zwabiona podniesionym głosem pokojówki, natychmiast zjawiła się w korytarzu. – Czego tu chcesz? – Wzięła się pod boki jak przekupka na targowisku, która tanio klientowi towaru nie odda. – Paszoł won. Mało ci jeszcze? Skrzywdziłeś naszą ochmistrzynię i teraz masz czelność zjawiać się tutaj z kwiatami?! A wynoś się! – krzyknęła.

– Przyszedłem prosić o rozmowę z księżną. Proszę spytać, czy mnie przyjmie – rzekł stanowczo, nic sobie nie robiąc z kobiecych krzyków.

– Dziewczęta, co to za zachowanie? – Sara wyszła z gabinetu i stanęła na końcu korytarza.

– Księżno, ten tutaj uparł się o posłuchanie księżną prosić i nijak nie daje się przegonić. To ten pocztylion, co naszą Martę ukrzywdził. – Mela nadal mierzyła Waldemara złym spojrzeniem. Nie potrafiła mu darować złamanego serca ochmistrzyni i ponurej atmosfery, jaka przez to i przez pogrzeb księcia Hipolita wypełniała teraz przestrzeń ich życia.

– Wpuściecie człowieka i przestańcie hałasować – powiedziała cicho. – Zapraszam pana – rzuciła i nie czekając, aż pocztylion zdejmie kapelusz, weszła do swojego gabinetu, zostawiając otwarte drzwi.

– Jaśnie wielmożna pani, przyszedłem prosić o posłuchanie, bo mi życie stało się ciężarem. Tylko w pani nadzieja. – Skłonił się, nie mając śmiałości spojrzeć w oczy tak wysoko urodzonej rozmówczyni. Podał Sarze kwiaty i znów cofnął się o krok. Jej czarna suknia i bladość twarzy zasmuciły go, wszystkie gazety donosiły o śmierci księcia Hipolita Teofila Reszki, wiedział więc, że księżna jest w żałobie. Przez moment zawahał się, czy powinien w tak smutnym czasie zawracać jej głowę, ale odrzucił niepewność, bo wiedział, że walczy o wszystko.

– Dziękuję za kwiaty. – Lekko uniosła kąciki ust. – Miły gest z pana strony. Proszę usiąść i powiedzcie mi, z czym pan do mnie przychodzi. – Odłożyła bukiet na biurko, nie zawracając sobie głowy wstawieniem kwiatów do wazonu, ponieważ nie chciała wzywać rozsierdzonych wizytą niespodziewanego gościa pokojówek, zajęła fotel naprzeciwko Promyka i spojrzała na niego z życzliwością.

– Księżno, życie straciło dla mnie sens. Jaśnie pani zapewne domyśla się, że zakochałem się w pannie Marcie bez pamięci. Ona też mnie miłuje i... nie przestała. Wiem o tym, bo nie idzie przestać kochać w jeden dzień.

– To prawda, nie można nikogo przestać kochać w jeden dzień. – Uśmiechnęła się melancholijnie, bo stanęły jej we wspomnieniach własne niegdysiejsze cierpienia. – Ale też nie można nikogo zmusić do kochania, jeśli między dwojgiem zakochanych doszło do jakiegoś nieodwracalnie złego zachowania, pan jest tego świadom, prawda?

– Tak, jaśnie pani, jestem świadom. Tylko że w przypadku moim i panny Marty doszło do fatalnego nieporozumienia. Mojej winy w tym nie było wcale. Ot, może tylko taka, że powinienem strącić na bruk kobietę, która zawisła mi na ramionach – wyznał ciszej.

– Ach, to taka sprawa. – Sara pokręciła głową.

– Taka, jaśnie pani. – Z jego ust wydobyło się głębokie westchnienie. – Panna Marta widziała całą rzecz i od tej pory... – Zawahał się. Nie chciał zdradzać rozmowy z Martą, bo musiałby wyznać również i o tym, co wydarzyło się w gospodzie, obawiał się, że w dwa fatalne zbiegi okoliczności nikt nie uwierzy, nawet księżna.

– Nie wiem, cóż miałabym zrobić w tej sprawie. Przecież nawet i po mojej przemowie zaufania do pana na powrót nie nabierze. Nawet gdybym bardzo chciała panu pomóc, nie widzę możliwości. – Zamyśliła się. On również milczał. Ostatnia jego nadzieja, jaką pokładał w księżnej Reszko, właśnie upadła. Ogarnął go straszny żal. Chciał wstać i się pożegnać, ale ciało zaciążyło mu ołowiem. W końcu podniósł się niezdarnie z fotela.

– Dziękuję za posłuchanie, jaśnie pani – wyjąkał przez zaciśnięte gardło.

– Chwileczkę, proszę jeszcze usiąść. – Księżna jakby wybudziła się z letargu. – Proszę mi wyjawić, czy to pan jechał do Sęp po siostrę Marty?

– Tak, jaśnie pani, chciałem wybawić pannę Martę z kłopotu i sam to zaproponowałem. Zamiast wdzięczności pogardę otrzymałem w podziękowaniu. Ot, taki los. – Jeszcze raz się uklonił.

– Proszę jeszcze na chwilę spocząć – poprosiła, a gdy usiadł na brzeżku fotela, bardziej stwierdziła, niż zapytała: – To o pannę Ludwikę chodzi, prawda? To ona stała się zgryzotą i osiłą całego nieszczęścia.

– Tak, jaśnie pani. Panna Marta w prawdę nie uwierzy, bo już ją o tej prawdzie zapewniałem, ale wydarzyło się coś jeszcze, co na moją niekorzyść świadczy – wyjawiał w końcu. – I tej drugiej okoliczności, zgoła fałszywej, panna Marta nigdy nie wybaczy. Chyba że jaśnie pani przemówiłaby do rozumu pannie Ludwice i ona by prawdziwe świadectwo podróży wystawiła, to może zdarzyłby się cud – powiedział, ale już bez wiary w powodzenie.

– To bardzo delikatna sprawa. – Sara wzdrygnęła się na pomysł osobistej interwencji w najintymniejsze uczucia i sprawy służby. – Powodzenia tej misji obiecać panu nie mogę, ale ponieważ sama wiem, co to złamane serce, spróbuję.

– Dziękuję, jaśnie wielmożna pani. – Pocztylion zsunął się na kolona i nie patrząc na to, czy wypada, czy nie, pocałował dłoń księżnej, a ona poczuła na ręce jego łzę. Otarł ją szybko dłonią. – Przywróciła mi pani nadzieję. Będę się codziennie modlił za powodzenie tej delikatnej misji. Oby Bóg miał mnie w swojej opiece i panią, księżno.

Uśmiechnęła się do niego, gdy w pokłonach wycofał się i opuścił jej gabinet. Usłyszała szcęk zamykanych drzwi. Wzięła do ręki bukiet pięknie zawiązanych żonkili i pomyślała, że pocztylion wygląda na poczciwego i dobrego człowieka. Bardzo pragnęła dla Marty szczęścia w miłości. Wiele by dała, by udało się odwrócić złą kartę i wyjaśnić nieporozumienie. Pod warunkiem, że pocztylion mówił prawdę – pomyślała, westchnąwszy.

Podeszła do okna i popatrzyła za odchodzącym mężczyzną. Miał w sobie coś, co kazało myśleć, że ma się do czynienia z człowiekiem prawym i przyzwoitym. Pamiętała, jak zatrzymał konie przy kawiarni U Brzezińskiej i rozpatrywał ją o powrót Marty. Od razu domyśliła się, że jest zakochany w jej służącej po uszy. Głęboką miłość widzi się po drobnych gestach, uśmiechu, czułości i po tym czymś nieokreślonym, ale widocznym na pierwszy rzut oka. Dotarło do niej również, że takie same gesty, uśmiech, czułość i to coś nieokreślonego towarzyszą zawsze Gustawowi. Kocha mnie, na pewno. Kocha mnie głęboką czystą miłością, taką samą jaką Waldemar kocha Martę. Za oknem zobaczyła własny powóz gotowy do drogi. Westchnęła i natychmiast zeszła na ziemię. Musiała jechać do Karczewa na otwarcie testamentu. Pomyślała o Marcie, o tym, że pewnie nie dają jej w Karczewie żyć, bo bez wątplenia wyszła już na jaw jej nieobecność. Zadzwoiła dzwonkiem i natychmiast w jej gabinecie zjawiała się Frania.

– Spakowałam kufer księżnej, a woźnica już czeka – oznajmiła niepytana, dygnęła grzecznie i czekała na polecenia.

– Dobrze, Franiu, dziękuję ci. Mam do ciebie pewną delikatną sprawę... a właściwie pytanie... – Sara nie wiedziała, jak zacząć tę rozmowę.

– Oczywiście, jaśnie pani, proszę pytać. – Dziewczyna znów dygnęła.

– Chodzi o Ludwikę. Masz może z nią bliższy kontakt? – Sara wzięła bukiet kwiatów, jakby chciała czymś zająć ręce.

– Z Ludwiką? – Dziewczyna nie kryła zaciekawienia. – Nie, jaśnie pani. Ot, tyle co w przełocie, ale bliższych stosunków nie mamy.

– A Mela?

– Mela to w ogóle. Mela jest zła na nią okropnie – zawołała, po czym zakryła ręką usta.

– A cóż takiego jej Ludwika zrobiła?

– Jaśnie pani, to ja już powiem. – Dziewczynie na twarz wypłynęły rumieńce. – Mela widziała w oknie, jak pocztylion i Ludwika całowali się na pożegnanie, jak on ją pod dom przywiozł. No i zła jest, bo ona chciała, żeby Marta za męża za pana Promyka wyszła. Bo Marta była szczęśliwa, zakochana, radosna jak nigdy dotąd. I to wszystko prysło jak bańka mydlana.

– A Ludwika coś o tym zdarzeniu mówiła? – Księżna przyglądała się Frani uważnie, by wy badać najmniejszy grymas na twarzy.

– No... mówiła, że za męża za pocztyliona się wydaje.

– Ach tak... No cóż, dziękuję ci. To wszystko. Poproś do mnie Ludwikę.

– Kiedy, jaśnie pani, ona dziś w ogóle na noc nie wróciła.

– Och, jeszcze tego nam brakowało do szczęścia. Wysłałam ją do sióstr szarytek. Za chwilę wyjeżdżam, ale proszę, abys ty lub Mela poszły do sióstr zakonnych i spytały siostrę Helgę Słupnik, czy Ludwika się u nich zjawiała.

– Tak jest, księżno. Zaraz pobiegnę do sióstr. – Wzięła kwiaty, które księżna dała jej, by wstawiła do wazonu z wodą, i dygając, wyszła z pomieszczenia.

Sara usiadła przy biurku i zabębniła palcami o blat. Jeszcze tylko w tym nieszczęśliwym czasie potrzeba, by zaginęła młoda dziewczyna znajdująca się pod jej dachem. Miała nadzieję, że Ludwika, urażona ostatnią rozmową lub skępowana swoim zachowaniem i nocą spędzoną ze aptekarzem, została na noc u szarytek. Same kłopoty ostatnio spadają mi na głowę. – stwierdziła w duchu. A przede mną walka z rodziną o spadek.

Przeszła do sypialni, gdzie Mela czekała, by upiąć jej na włosach czarny toczek z woalką. Przechodząc przez hol, zobaczyła w lustrze swoje odbicie i drgnęła na ten widok. Przed sobą miała obraz kobiety spowitej w głęboką czerń, z bladym licem i troską w oczach. Obym dała radę bez uszczerbku na zdrowiu i nerwach przetrwać tę życiową zawieruchę – pomyślała. Zbiegła na dół wprost w piękny słoneczny dzień. Przeskoczyła przez rynsztok i mało nie poślizgnęła się na kocich łbach. Gdyby nie pomocne ramię Tadeusza, z pewnością by upadła. Jeszcze i to, jakieś fatum mnie prześladowe – przestraszyła się.

W mieście nie czuło się wiosny. Dopiero gdy minęli skarpę warszawską i rogatki miasta, odetchnęła swobodniej. Nie, nie chcę się uprzedzać do życia. Pokonałam nie takie problemy. Poradzę sobie i teraz. Nie dam się stłamsić matce ani ciotce i Mariannę przywrócę na dobre tory. Jest winna szacunek i mnie, i Marcie, i Gustawowi. Przypomniała sobie dzień, gdy dzięki staraniom Gustawa Gurga i jej pieniądzom udało się sprowadzić Nikodema do kraju, a potem ten moment w kościele, gdy wydawca świadkował młodej parze. Naraz przypomniała jej się gorąca scena, gdy Gustaw po ceremonii ślubnej zagarnął ją do swojego powozu i w drodze do Wiejskiej Kawy, gdzie odbywało się wesele Marianny, pierwszy raz pocałował. To miłe wspomnienie stanęło jak żywe w jej pamięci i by rozproszyc mroczne myśli, na nim skupiła swoją uwagę. Potem ściągnęła wspomnieniami ostatni wieczór z Gustawem. Rozmowę z nim, jego wsparcie i mądrość, a także prezent w postaci paryskich ilustracji do jej książki, która miała się ukazać w najpoczytniejszej paryskiej gazecie. Ciepło rozlało się wokół jej serca i pomyślała, że szalone uczucie do Brunona Dzikowskiego spadło na nią nagle i równie gwałtownie się zakończyło. Uczucie do Gustawa rodziło się powolutku, ale rosło w siłę, w pewność, w solidność i w wiarę, niczym spiżowy pomnik, który przetrwa wieki.



Sarę wyrwał z letargu niespodziewany postój. W podróży zatrzymywali się wyłącznie na pocztowych stacjach przepręgowych lub w gospodach, a ponieważ droga z Bielawy do Warszawy nie wymagała zmiany koni, postój w szczerym polu oznaczał wyłącznie kłopoty. Księżna czekała zniecierpliwiona i coraz bardziej zaniepokojona. W końcu Tadeusz, po uprzednim zasygnalizowaniu, otworzył drzwi powozu i skłoniwszy się, wyjąkał:

– Księżno... chyba idzie... idzie... – dukał.

– Kto idzie? – spytała jeszcze bardziej zaskoczona.

– Jaśnie pani, nie wiem, czy dobrze zrobiłem, że się zatrzymałem, ale... wydaje mi się, że to ważne... Nasza ochmistrzyni idzie drogą... z tobołkiem – wypowiedział niepewnie, jakby sam nie dowierzał temu, co widzi.

– Co ty mówisz? – Sara poderwała się z siedzenia i podała rękę woźnicy, by ten pomógł jej wysiąść. Zeskoczyła z ostatniego schodka i energicznie przeszła kilka kroków. Rzeczywiście, zaledwie kilka metrów od nich ubrana w popielatą sukienkę i słomkowy kapelusz, z szarym tłumokiem przewieszonym przez ramię szła Marta Skowronek. Na widok księżnej i Tadeusza jej chód stał się wolniejszy, aż w końcu znalazła się przy nich i przystanąła.

– Marto, na miłość boską, dokąd ty się wybierasz? – Księżna zarzuciła czarną woalkę do góry na toczek i spiorunowała służącą wzrokiem.

– Idę w świat, jaśnie pani, nie chcę przysparzać pani jeszcze większych kłopotów, niż przysporzyłam. Pchałam się, żeby do Karczewa przyjechać, to i dostałam za swoje. Dobrze mi pani radziła, żeby w Warszawie zostać. – Postawiła toboł na ziemi, zerwała źdźbło trawy i wsadziła sobie do ust.

– W świat idziesz? Co ty wygadujesz? To jakiś nonsens. – Księżna przyłożyła dłonie do skroni i zaczęła je rozmasowywać. – Ja chyba oszaleję. Po prostu oszaleję. W takim przygnębiającym czasie i ty przeciwko mnie? – Zdenerwowała się.

– Pani Saro, pani wie i ja wiem, że nigdy nie stanęłabym przeciwko pani, a i teraz czyn mój podyktowany jest wyłącznie troską o pani dobro i o pani cześć.

– Po moją cześć w świat wędrujesz? To ona już musi być nieźle zszargana – zakpiła.

– W istocie, jest zszargana przeze mnie. Ten powóz... wtedy... niepotrzebne to było... A teraz jeszcze przez... moją siostrę... Pani nie wie wszystkiego, bo ja... nie śmiałam panią obarczać moimi niechlubnymi sprawami, ale... – Zaczęła się jąkać, chlipnęła nosem i zamilkła, nie dokończywszy myśli.

– Marto, ja rozumiem, siostra, kłopoty, powóz, ale na Boga, jak mogłaś w świat iść, nie rozmówiwszy się ze mną? Nigdy tego nie zrozumiem. Ktoś wyrządził ci krzywdę w Karczewie podczas mojej nieobecności, ale i cóż z tego? Mało to razy ludzie sobie szkody i krzywdy wyrządzają? Byłaś świadkiem tego, jaką mi rodzice krzywdę wyrządzili, wydając mnie za Hipolita, a sama radziłaś mi z rodziną się pogodzić. Jak mogłaś odejść bez słowa, by szukać innego miejsca na ziemi? – Gorycz w głosie księżnej bardziej zabolęła Martę niż karczemna awantura.

Woźnica taktownie odszedł na bok, by kobiety miały swobodę rozmowy. Konie parskwały, odganiając się od małych muszek, które zleciały do ich gorących chrap. Gdzieś w pobliżu

skowronek wyśpiewywał subtelne, radosne trele. Marta stała ze spuszczoną głową, a Sara ciężko oddychała. Nie mogła uwierzyć, że po tylu latach służby jej służąca chciała ot tak po prostu odejść.

– Pani Klementyna nazwała mnie kłopotem, którego trzeba jak najszybciej się pozbyć. A jeszcze pani nie wie o problemach z Ludwiką...

– Nie odpowiadasz za czyny i słowa swojej siostry, tak samo jak ja nie odpowiadam za czyny i słowa mojej matki. Odpowiadamy natomiast w pełni za swoje słowa i czyny. Więc zapytam, czy ja tobie kiedykolwiek wyrządziłam krzywdę nieopatrzonym słowem lub czynem? – Spojrzała gniewnie.

– Jaśnie wielmożna pani nigdy. Gdzież bym śmiała kiedykolwiek narzekać. Jest pani najlepszą...

– Skoro w niczym ci nie wyrządziłam krzywdy, to nie pojmuję, za co chciałaś mnie ukarać.

– Księżno, proszę mi wybaczyć. Nigdy nie śmiałabym pani skrzywdzić, ja dla pani dobra idę w świat, żeby pani nie musiała mnie odprawiać. Chciałam zaoszczędzić pani tej przykrości. – Marta jawnie już płakała.

– Zrobisz mi wielką przykrość, jeśli nie wsiądziesz natychmiast ze mną do powozu. Obiecuję ci, że w Karczewie nie zabawimy dłużej, niż potrzeba i jeśli wszystko szybko pójdzie, to jeszcze dziś wrócimy do Warszawy. A teraz wybac, nie mam czasu na rozmowę. I tak już jestem spóźniona. Tadeuszu, jedźmy – zawołała w stronę, gdzie oddalił się woźnica. – Zrobiłaś mi wielką przykrość, Marto – rzuciła jeszcze w stronę służącej.

Marta Skowronek złapała się za serce, potem za usta, aż w końcu pobiegła za starą rozłożystą lipę i zwymiotowała. Po chwili wyczerpana oparła się o pień drzewa i się rozpląkała.

– Ja naprawdę chciałam dobrze. – Ocierała dłonią łzy, których już nie potrafiła zatrzymać.

– Co się dzieje, Marto? Coś ci dolega? – Sara natychmiast porzuciła animozje i chciała otoczyć ochmistrzynię ramieniem, ale ta się wyśliznęła.

– Niech się lepiej pani Sara nie spoufala ze służbą, to jest w bardzo złym tonie – wychlipała.

– Rzeczywiście, niepotrzebnie zabrałam cię do Karczewa, a jeszcze gorszym pomysłem było cię tam zostawić samą. – Księżna westchnęła. – Co ci jest, kochana? – Jej ton na powrót stał się łagodny i serdeczny.

– Nie wiem, tak mi się stało, gdy usłyszałam z ust pani Klementyny te podłe słowa. Zatruli mnie. Pani Wolska nie wie, że słyszałam ich gadanie. Rozmawiały z panią Marianną i panią Adelajdą. Nie podoba im się, że pani mnie lubi za bardzo, ani to, że mi pani ten powóz wtedy użyczyła, a już najgorzej, że moja siostra...

– Dobrze, już dobrze, zostawmy twoją siostrę i moją matkę w spokoju. – Sara nie chciała dokładać Marcie zmartwień i omijała temat Ludwiki, by nie wydało się, że ta nie wróciła na noc. Zapewne kiedy przyjedziemy do Warszawy, dziewczyna już się znajdzie – oceniła w myślach. – Marto, dasz radę wsiąść? Musisz, bo i tak cię tu nie zostawię. Tadeuszu, pomóż nam, najpierw Marcie.

We dwoje podprowadzili zboląłą ochmistrzynię do powozu, Tadeusz pomógł jej zająć miejsce w powozie, a potem podał rękę księżnej. Reszta drogi upłynęła im w milczeniu. Każda

z nich pograżyła się w trawiących je problemach.

Na podjeździe pałacu w Korczewie grupa mężczyzn w czarnych frakach raczyła się tytoniem. Obserwowali zbliżający się powóz, a potem wysiadającą wdowę. Pospieszyli, by się z nią przywitać i jeszcze raz przekazać wyrazy współczucia. Nie brakowało wśród nich służalczych interesownych kuzynów zmarłego, którzy daliby się pokroić za część spadku po Hipolicie. Sara, zanim wysiadła, przekazała Marcie, że ma się nikim i niczym nie przejmować.

– Marto, jesteś mi najbliższą osobą, proszę, nie zapominaj o tym. W moim domu, nawet tym, za którym nie przepadam – wskazała ręką pałac – nic ci nie grozi. Jeszcze dziś wracamy do Warszawy. – Położyła dłoń na dłoni służącej i uściśniła ją krzepiąco. Sama natomiast poszła do czekających na nią mężczyzn.

– Witam panowie, czy zaczęliście odczyt beze mnie? – Uśmiechnęła się blado, podając dłoń do pocałunku.

– Ależ skąd, choć księżna Anna nie kryła oburzenia, to i tak rejent uparł się czekać na małżonkę świętej pamięci księcia Hipolita.

– Zatem chodźmy, niech dłużej nie czekają. – Poszła przodem, nie tłumacząc się ze swego spóźnienia. Oni natomiast nie śmieli pytać, co księżną zatrzymało, ani też jakie ważne sprawy wezwały ją, by opuścić pałac tuż po pogrzebie małżonka.

W bibliotece na ustawionych przed stołem prezydialnym krzesłach siedziała bliższa i dalsza rodzina księcia Hipolita Teofila Reszki, a także Wolscy i Adelajda Podolska z córką Marianną Siwińską. Gdy do biblioteki weszła Sara, po pomieszczeniu przeszedł pomruk. Spojrzenia niektórych osób, a szczególnie matki zmarłego, mogłyby zabić, gdyby miały taką moc.

– Dzień dobry państwu, przepraszam za opóźnienie. Zostałam pilnie poproszona do Warszawy, przybyłam najszybciej, jak to możliwe. – Księżna Reszko usiadła w pierwszym rzędzie tuż obok swojej matki.

– Saro, nie przestajesz mnie zasmucać – syknęła Klementyna wprost do ucha córki. – Często żałuję, że zgodziłam się na zakup apartamentu w Warszawie. To twoje samotne mieszkanie było błędem. Zdziczyłaś do reszty. – Wolska wyprostowała się na krzesło, a jej postawa wprost krzyczała o świętym oburzeniu.

Siedzący za stołem rejent wstał i poprosił o ciszę, po czym przełamał lak i rozdarł srebrnym listowym nożykiem kremową kopertę, chrząknął i jął odczytywać długą litanie zapisów zmarłego. Książę Hipolit Reszko wydziedziczył całą rodzinę i z drobiazgowym rozliczeniem punktował po kolei bliskich za każde ich przewinienie wobec niego. Nie oszczędził nawet własnej matki i ojca. Oberwało się także Sarze, której wytknął romans, jednak to właśnie na żonę przepisał cały swój majątek z zaznaczeniem, że ma postąpić zgodnie z jego wolą, jak małżonkę w ostatnich dniach żywota pouczył. Zebrani zaczęli się niespokojnie kręcić i szeptać jeden do drugiego, a gdy rejent odczyt zakończył, jawnie wyklinali zmarłego. Matka Hipolita wachlowała się energicznie, posapując z oburzenia.

– To skandal. Mój syn nie mógł tak postąpić. – Zerwała się z krzesła, jakby nie miała na karku niemal dziewięćdziesięciu lat, a zaledwie trzydzieści. – Testament sfalszowano! Ona go sfalszowała! – ryknęła, wskazując skostniałym palcem na Sarę.

– Jaśnie wielmożna pani, osobiście spisałem ten dokument, gdy ksiązę był jeszcze całkiem świadom. Oszczyrstwa rzucane na wdowę są bezzasadne i niegodne stanu szlacheckiego – upomniał księżną Annę rejent.

– Jestem ciekawa, cóż to za tajny zapis, że syn matce o nim nie powiedział. Nigdy w to nie uwierzę. Nigdy. Żeby nasz cały rodowy majątek poszedł w ręce takiej... takiej... – Anna Reszko zmeła pod nosem inwektywy. Choć gniew na syna mieszał się w niej z jawną pogardą dla synowej, powstrzymała się od wybuchu.

Sara wstała, przeszła za stół i zajęła miejsce rejenta. Nie bacząc na złość teściowej, niechętnie lub służalcze spojrzenia dalszej i bliżej rodziny, rzekła:

– Szanowni państwo, nie mnie oceniać ostatnią wolę mego małżonka. Tak zdecydował, a my musimy tę wolę uszanować. Co do tajnego zapisu, nie wchodząc w szczegóły, których ujawnić mi nie wolno, zdradzę tylko, że ksiązę Hipolit zapis przeznaczył na cele charytatywne. I ja tę wolę wypełnię. Natomiast, by zadośćuczynić rodzinie zmarłego, zrzekam się majątku w Karczewie, zarówno pałacu, jak i folwarków, i ziem do niego przylegających na rzecz matki zmarłego męża, księżnej Anny Reszko. – Po sali znów przeszedł szmer, teściowa, która niedawno pałała gniewem, taksowała teraz synową wzrokiem, nie wierząc jeszcze w taki obrót sprawy. – Fabryki w Petersburgu i w Moskwie sprzedam, a z zysku utworzę fundację wspierającą ostatnią wolę księcia, natomiast fabryki i nieruchomości na ziemiach polskich zachowam jako majątek mi należny. Dziękuję rodzinie mojego świętej pamięci małżonka, a także mojej za przybycie i zapraszam do sali jadalnej.

– Nie za pochopnie oddałaś Karczew? – spytała Marianna, gdy po obiedzie i po wyjeździe rodziny Hipolita znalazły się na powrót w uprzątniętej bibliotece.

– Nigdy nie lubiłam tego miejsca. Nie chcę tu być, te mury niosą ze sobą okropne wspomnienia. – Sara rozejrzała się po wnętrzu, w którym aż kapało od złociń.

– Mogłaś sprzedać. Choć czego jak czego, ale pieniędzy ci nie brakuje. A teraz jeszcze odziedziczyłaś fortunę. Mnie też ciekawi ten tajemniczy zapis. Zdradzisz coś? – Uśmiechnęła się i pogłaskała po brzuchu.

– Nie mogę. Przysięgłam na łożu śmierci.

– No przecież to i tak się wyda, bo zaraz o tej tajnej fundacji będą wszystkie gazety pisały.

– Niech piszą. Wyda się, to się wyda. Ja o tym mówić nie chcę – skwitowała.

– O, tu jesteście, dziewczęta. A my z Adelajdą zastanawiamy się, gdzie się ukrywacie. – Klementyna, szeleszcząc halkami pod czarną żałobną suknią, uśmiechnęła się do młodych kobiet. – Co za sądny dzień. Nie rozumiem, Saro, po co było tak pochopnie oddawać Karczew. Mogłaś chociaż zasięgnąć naszej porady. – Matka dała znać młodziutkiej służącej, by przyniosła dodatkowe filiżanki i dzbanek gorącej herbaty.

– Nie chcę mieć wrogów, a poza tym nie lubię tego miejsca. Kojarzy mi się z najgorszymi chwilami w życiu. No i lada moment zacznie tu straszyć duch Hipolita. – Sara usiadła wygodnej w fotelu i zaczęła się bawić ozdobnymi frędzlami z nakrycia na poręczu.

– Dobrze zrobiłaś – poparł Sarę Ambroży, również przysiadając się do stolika. – Jestem dumny z twojej hojności.

– Tu nie idzie o hojność, ale o zasady. – Klementyna spojrzała na męża z wyższością. – Jeśli ktoś cię opluwa, używając inwektyw pod twoim adresem, to udajesz, że pada deszcz?

– Nie żal ci życia na klótnie? – zapytała spokojnie córka. – Ostatnio bardzo cenię sobie święty spokój i czyste sumienie. Wreszcie jestem wolna i za to choćby dziękuję Niebiosom.

– Wolna... Cóż za głupie słowo. Co to znaczy według ciebie? – Klementyna wzięła od służącej filiżankę z gorącym napojem i zamieszała w nim łyżeczką.

– Mogę robić, co chcę. Przede wszystkim pisać – odparła Sara swobodnie.

– To niepodobna, żeby kobieta w tak młodym wieku była sama, na dodatek z fortuną wartą miliony. Powinnaś związać się z mądrym, dobrze urodzonym mężczyzną, który potrafi zarządzić takim majątkiem. Mogłabym się zająć znalezieniem odpowiedniego kandydata – zaoferowała.

– O nie, mam. Dziękuję ci. Już raz zajęłaś się moim mariażem, nie najlepiej na tym wyszłam.

– Czyżby? – Klementyna upiła łyk herbaty. – Jesteś bogata, sławna... Brakuje ci tylko odpowiedniego towarzystwa. Zamiast bratać się ze służbą, powinnaś...

– Ach, mam, już dawno miałam ci powiedzieć, racz nie wtrącać się do mojej służby. Sama potrafię o nią zadbać. A co do Marty Skowronek, bo ją zapewne masz na myśli, to wiedz, że niejedna dobrze urodzona panna mogłaby z niej brać przykład. Służyła w naszej rodzinie od lat, wykaż więc więcej szacunku i empatii.

– Tak, ciociu, Sara ma rację. – Marianna niespodziewanie stanęła po stronie kuzynki. – Marta jest niezwykle mądrą kobietą.

– Może i tak, zresztą wiem, że to mądra i spokojna dziewczyna. Mam na myśli jej siostrę. Czy ty wiesz, jaki skandal wywołała w okolicy?

– Coś tam mi się o uszy obilo. Trudno, takie rzeczy się zdarzają w naszej sferze, że panicz chciał się zabawić kosztem służącej. Mam nadzieję, że uda mi się sprowadzić dziewczynę na dobrą drogę. Wysłałam ją do szarytek do pracy, zobaczymy, jak jej pójdzie. – Spojrzała na matkę zaczepnie.

– Co takiego? – Ręka Klementyny z trzymaną filiżanką zdrząła. Ambroży zerwał się z fotela, by odebrać żonie porcelanę i odstawić na stół. – Ty tę dziewczynę przyjąłeś pod swój dach? – Złapała się za serce i zaczęła głośno łapać powietrze. – Ambroży, mówiłam, że to się tak skończy. Mówiłam. To nie jest twój dach, tylko nasz. My jesteśmy właścicielami apartamentu i żądamy, byś ją w tej chwili wyrzuciła. Narażasz nas i siebie na ostracyzm towarzyski, rozumiesz?

– Saro, z całym szacunkiem, ale chyba posunęłaś się za daleko. – Adelajda popatrzyła smutno na chrześnicę. – Przyjąć pod dach zhańbioną dziewczuchę, przez którą narzeczeństwo panicza Sępińskiego się rozpadło, to naprawdę grzech.

– A panicz, jaką karę poniósł? – zakpiła Sara.

– Cierpi. To nie wystarczy? – wysokim falsetem zapiszczała Klementyna.

– Podziwiam cię, Saro. Bardzo. Jesteś niezłomna, niezależna, samodzielna. Jeszcze nie dalej jak dziś rano też chciałam, byś odesłała Martę i nie narażała się na ludzką obmowę. A ty ani myślisz się nikogo słuchać, jeszcze przyjmujesz pod swój dach tę dziewczynę... – Marianna,

która jako panna zawsze chciała być w centrum uwagi i uważała się za odważną, teraz zrozumiała, że szlachetność jest po stronie tej cichej, spokojnej, często zamkniętej w sobie pasjonatki. – Jesteś niezwykle odważna – powtórzyła z nutką zazdrości.

– Pod mój dach, Marianno! Powtarzam: pod mój! Nie zapominajcie, że ten apartament należy do mnie i do Ambrożego. A Sara w nim tylko mieszka – rzuciła dobitnie Klementyna, której nagle ustąpiły drżenie rąk i słabość.

– Tak, mam, to twoja własność, dziękuję, że mi o tym przypomniałaś – odparła księżna.

– Kochana, czy zostaniesz matką chrzestną mojego dziecka? Chciałabym, żeby było tak odważne jak ty. – Marianna podeszła do kuzynki, Sara również wstała, wzruszona i wyróżniona tą propozycją. – Przez to, co mnie spotkało po zerwaniu zaręczyn, te ludzkie szeptki za plecami, te obmowy, pomijanie w zaproszeniach i wiele innych uciążliwości, boję się ludzkiego gadania. Wolałam się schować, niż stawić czoła plotkom.

– Masz prawo się bać, wszyscy się czegoś boimy, ale warto być sprawiedliwym i uczciwym, nie tylko w stosunku do ludzi wysoko urodzonych. Dobro zawsze wraca. Z radością zostanę mamą chrzestną twojego dziecka. To będzie dla mnie zaszczyt.

Kiedy Sara z Martą wracały do Warszawy, służąca niespodziewanie stwierdziła:

– Czuję, pani Saro, że za chwilę to miłe mieszkanie przestanie być naszym domem.

– Marto, nie wiem, jak ty to robisz i skąd wiesz, ale i tym razem masz rację. – Księżna uśmiechnęła się melancholijnie. – Nie powiedziałam ci o czymś, bo z początku nie chciałam cię martwić, a potem nie było sposobności. Twoja siostra nie wróciła na noc. Dopiero rankiem się o tym dowiedziałam. Niepokoję się o nią. Poinformowałam niedawno Ludwikę, że ma pracę u szarytek. Miała tam iść, ale czy poszła, trudno mi stwierdzić. Nie miałam kiedy ani jak się wywieźć. Wysłałam dziewczęta, Melę i Franię, miejmy nadzieję, że się czegoś dowiedziały.

– Księżno, ja też chowam przed księżną tajemnicę, bo początkowo się wstydziłam wyjawić prawdę, a potem tak to zeszło i śmierć księcia, i ten pogrzeb... Chciałam powiedzieć, że moja siostra strasznie zawiniła w Sępach. Zachowała się niegodnie i... jaśniepaństwo Sępińscy wyrzucili ją ze służby...

– Marto, nie dręcz się tym, ja o wszystkim wiem. – Sara pochyliła się i położyła jej dłoń na kolanie. – Nie ponosisz win za swoich bliskich. Odpowiadasz wyłącznie za swoje uczynki. Jesteś dobrą, mądrą kobietą. Bliższą mi nawet niż kuzynka Marianna. Bo ta zmienia poglądy w zależności od tego, jak zawieje wiatr – oznajmiła ze śmiechem.

Marcie wzruszenie ścisnęło gardło. Jeszcze nigdy nikt nie okazał jej tyle łaski co księżna Sara Leokadia Reszko. Ona też była jej bliższa niż własna rodzina.



Dojechały do Warszawy, gdy już się ściemniało. Chłodny majowy wieczór wygonił przechodniów ze spaceriaków i z pierwszych otwartych restauracyjnych ogródków. Majowe przy-mrozki dały się we znaki. W pomieszczeniach na pierwszym piętrze było ciepło i przytulnie, bo Mela i Frania zadbały o to, by w kominkach było napalone, a i świece płonęły niemal we wszystkich kandelabrach i lichtarzach.

– Jak miło was widzieć, dziewczęta, i ciebie, Anielo. Dawno tak za nikim i za niczym nie tęskniłam, jak za spokojnym rytmem naszego życia tutaj. Od razu spytam, Melu, Franiu, byliście u szarytek?

– A jakże, oczywiście, księżno, że byliśmy, ale niepotrzebnie. – Frania stała nieco zażenowana.

– Niepotrzebnie, bo Ludwika sama się odnalazła – zawtórowała jej Mela.

– To dobrze, wołajcie ją zatem do mnie. Chcę się z nią rozmówić. – Księżna spojrzała na Martę, by wzrokiem dać jej znać, jak wielki kamień spadł jej z serca, i jednocześnie przekazać, by się niczego nie obawiała.

Zanim jednak Frania poszła do pokoju Marty po Ludwikę, ta nieproszona zjawiła się w holu. Dygnęła przed księżną, uśmiechnęła się do siostry i oświadczyła:

– Niepotrzebnie się o mnie martwiliście. Nic mi nie jest, no i dorosła już jestem. A i za szarytki jaśnie pani dziękuję, ale gdzie mnie do zakonnicy. – Zaśmiała się. – Nie nadaję się, bo za bardzo kocham życie. Praca zresztą mi niepotrzebna, bo tak jak zamierzałam, zaręczyłam się. – Podniosła rękę, na której rzeczywiście lśnił wcale nie taki cienki pierścionek z rubinowym oczkiem.

Marta naraz uczuła tak wielki ścisk żołądka i taką falę mdłości, że ledwo zdążyła doskoczyć do miski stojącej za kotarą, gdzie kobiety się myły, i zwymiotowała. Niewyobrazalny ból szarpnął jej sercem. Nie zważając na sukienkę, usiadła na zimnej podłodze, objęła ramionami kolana i zaczęła bujać się w tył i w przód. Słyszała, że księżna rozmawia jeszcze z Ludwiką, słyszała krzątanie pokojówek przygotowujących stół do kolacji, ale nie miała siły wyjść. Nie była w stanie nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać. W końcu po kilkunastu minutach obmyła twarz i przemknęła się do pokoju, wymawiając się od rozmowy kiepskim samopoczuciem. Jej blada twarz i słabość martwiły Sarę. Postanowiła porozmawiać z Martą i wysłać ją na konsultację do medyka.

Tymczasem Marta rozebrała się i położyła do łóżka. Emocje dnia i hiobowe wieści o Ludwice i Waldemarze zupełnie ją wyczerpały. Wprawdzie wydawało jej się, że pogodziła się już ze zdradą Waldemara, ale teraz czuła, jakby jej serce pękło. Dopiero zdała sobie sprawę, jak bardzo go kocha, jak bardzo życie bez niego straciło dla niej sens. Jeszcze kilka miesięcy temu nie przejęłaby się gadaniną i plotkami ze strony Klementyny czy Adelajdy lub Marianny. Od wieków było tak, że jaśniepaństwo obmawiało służbę, a służba używała sobie, plotkując o chlebobdawcach. Nie uraziła jej obmowa Wolskiej i Podolskich, a raczej ogólna niechęć do życia bez ukochanego. Przypomniała sobie jego jasne, roześmiane oczy, jego rudawe, rozwiewane przez wiatr włosy, łobuzerski uśmiech, wielkie ramiona, a potem przypomniała sobie szalone chwile w dylizansie. Zarumieniła się na to wspomnienie i ogarnęła ją tak wielka tęsk-

nota, że zabolą ją piersi. Nie tylko dusza się do niego wyrywała, ale i ciało. Jakże ona rozumiała w tej chwili Ludwikę, jakże ją rozumiała. Poszłaby za Waldemarem na koniec świata, nawet niechby ludziska wokół gadali. Świat bez niego wydał się Marcie szary, brudny i bez najmniejszego sensu. Noc się zakradła, a świeca zdążyła się wypalić, gdy Ludwika weszła do pokoju.

– Śpisz? – spytała cicho, rozbierając się po ciemku.

Marta nie odpowiedziała. Nie chciała strzępić języka po próżnicy. Gratulować im szczęścia. Waldemar zapewne jest oczarowany młodziutką, urodziwą narzeczoną. Ona może mniej, bo dla niej był tylko zwierzyną łowną, łatwą do upolowania. Dla mnie byłeś wszystkim – powiedziała w duszy do mężczyzny mieszkającego już teraz tylko w jej snach.

– Śpisz?

Poczuła nad sobą oddech siostry oraz zapach jej młodego ciała i lichych perfum, którymi była skropiona. Naraz Ludwika mocno szarpnęła Martę za ramię.

– Śpię. Nie tarłoś mnie.

– Nie pogadasz ze mną? Jutro się wyprowadzam. Chciałam tylko ci podziękować. Do życia żeś mnie przywróciła. Dzięki ci za to.

– Jutro się wyprowadzasz? Do niego?

– Tak. Pobierzemy się bez rozgłosu, bo on nie chce się afiszować, a mnie to jest wszystko jedno. Chcę, żebyś była moją świadkową.

– Szybko ci poszło. Winszuję wam obojgu. To musi być wielgachna miłość, skoro po paru dniach do ołtarza dał się zaciągnąć – prychnęła Marta.

– Żadna miłość to nie jest, ino umowa. Chociaż może i miłość przyjdzie, kto tam ją wie. Już raz kochałam, nie tego, co trzeba, teraz już do miłości się nie rwę. On chyba mnie kocha, a może inny powód nim kieruje? – Zastanawiała się głośno.

Marta usłyszała szelest spódnicy, którą Ludwika po omacku odwieszała na krzesło, a potem siostra położyła się koło niej na wąskim łóżku. Chcąc nie chcąc, słyszała miarowe bicie jej serca. Pozazdrościła siostrze tego spokoju, młodości i tego szczęścia, które ją czeka, a którego ona sama nigdy już nie doświadczy. Ona też pokochała nie tego, co trzeba. I też do kochania kogoś innego jej wcale nie było tęskno. A czy wyszłaby za męża za kogoś bez miłości? – zastanawiała się w duchu. Najpierw pomyślała, że nie, ale potem, gdy przypomniała sobie tę straszną pustkę sprzed chwili, gotowa była iść za pierwszego lepszego, byleby był dobry i samotność jej rozproszył.

– Gratuluję ci. I naprawdę życzę wam szczęścia – wypowiedziała w końcu zduszonym głosem. Leżała na plecach i czuła tylko jak z kącików oczu spływają jej łzy.

– Będziemy szczęśliwi. Alojzy jest wdowcem bez mała dwadzieścia lat, to już za pierwszą małżonką mu się nie cknę, bo byłabym zazdrosna o nieboszczkę. – Ludwika zachichotała. – Dzieciaki ma dorosłe, ustawione życiowo, to i czepiać się mnie nie będą.

– Kto? – Marta miała wrażenie, że się przesłyszała.

– Mój narzeczon. Alojzy Mielnicki. Aptekarz, parę ulic stąd prowadzi aptekę i zamieszkuje nad apteką całkiem spory apartament. Wdowiec, ale jeszcze całkiem postawny, a że starszy dużo ode mnie? Cóż z tego, młodego już miałam.

– Alojzy Mielnicki? – Marta usiadła na łóżku tak energicznie, że Ludwika drgnęła z przestraszenia.

– No tak. Jejmość Mielnicki. Znasz go?

– Nie, nie znam, ale myślałam, że... Przecież mówiłaś, że podoba ci się poczytylion? – wykrztusiła w końcu.

– Poczytylion? – zdziwiła się z kolei Ludwika. – Ten, co mnie tutaj przywiózł?

– No tak, przecież że on. Mówiłaś, że w gospodzie spędziliście noc...

– Może i mówiłam o poczytylionie, ale to tak tylko, żeby sobie animuszu dodać na nowym miejscu i sama siebie pocieszyć po zgubnej miłości do panicza. Poczytylion? On nie jest mężczyzną. Przyznaję, nawet miałam zamiar go uwieść i nawet zaczęłam się na niego w gospodzie, ale on nie okazał się męski, tylko mnie za rękę chwycił i wyprowadził do babskiego pokoju. Impotent jakiś albo co. Może w chłopach gustuje. – Ludwika wzruszyła ramionami.

– No ale przecież mówiłaś, że zadrapałaś go na pamiątkę igraszek. Zresztą, sama widziałam to zadrapanie.

– Ty... czy ty przypadkiem nie kochasz się jednak w tym poczytylionie?

– Nie twoja sprawa – rzuciła Marta, ale natychmiast pożałowała swojego niemilego tonu, bo przestraszyła się, że siostra się pogniewa i niczego więcej od niej już nie wyciągnie.

– Tak, kochasz go. Nawet się tego domyślałam, ale potem zwątpiłam, bo nic się o niego nie pytałaś ani mi za złe nie miałaś tej niby nocki z nim, no to pomyślałam, że on dla ciebie nic nie znaczy. Dla mnie też nic nie znaczy, bo nie gustował we mnie. A zadrapanie? – Znów wzruszyła ramionami. – Po złości mu paznokciami skórę rozciąłam, że mnie nie chciał. A co to ja sroce spod ogona wypadłam, żeby mną wzgardzać? No ale teraz wiem dlaczego. On jest w tobie zakochany. To ty mu świat przesłoniłaś.

– Kocham go. Bardzo. Jest całym moim światem, choć kosza mu dałam, bo myślałam, że... ty... że wy...

– Zejdziała się – oświadczyła ze stoickim spokojem Ludwika. – Jeszcze większa was do kochania siła ogarnie. Nawet ci tego kochania zazdroszczę. No ale ja już kochałam, teraz wolę spokojnego życia popróbować. Alojzy mi obiecał, że piękne suknie mi kupi i kapelusze, i świecidełka. Będę jak dama chodziła. I do kawiarni pójdziemy, i nad Wisłę. I bryczką będę jeździła, bo ma własną – wymieniała zadowolona. – To co, będziesz mi świadkować?

– No pewnie, że będę. Cieszę się, że jesteś szczęśliwa, i życzę ci, by twoje małżeństwo było spokojne i trwałe. – Marta nagle odżyła, jakby ktoś wlał w nią drugie życie. Chciało jej się śmiać, tańczyć, śpiewać.

– Będzie zgodne i trwałe. Wierzę w to. Powiem ci w sekrecie, że my z Alojzką już próbowaliśmy tego miodu i on, mimo że starszy, bo już dobre czterdzieści lat skończył, to jeszcze jurny i narowisty jak dobry koń, a przy tym zabawny i żartowniś. – Śmiała się, zwierając się siostrze z intymnych spraw. – A ty jesteś pewna, że ten twój poczytylion mężczyzną jest? Ja ci lepiej radzę, popróbuj go, żebyś potem zdziwiona nie była.

Marta nie odpowiedziała. Nie chciała zwierzać się nikomu z tamtej intymnej chwili. Najpiękniejszej w jej życiu. Jakże była szczęśliwa w ramionach Waldemara. Wspominała każdy moment, każdą chwilę, każdy gorący oddech na jej piersiach, nieznośne gorąco pod spódnicą,

jego ciało w swoim własnym. Nawet teraz zacisnęła uda, bo znów ta dziwna tęsknota ją ogarnęła. Najchętniej zamknęłaby oczy i już tylko pograżyła się w rozkosznych marzeniach, ale siostra wciąż opowiadała a to o ślubie, a to o mieszkaniu aptekarza, które jasne i przestronne kobiecej ręce potrzebuje, a to że jak dobrze pójdzie, to służącą sobie weźmie, ale głupia nie jest i dużo od siebie straszą najmie.

– Pobierzemy się już za kilka dni, a już jutro u niego zamieszkać. Nie chcę tu na tym twoim wąskim tapczanie się nie wysypiać. To co, będziesz mi do ślubu świadkować? – upewniła się, choć siostra jej już to obiecała.

– Będę, siostra, z radością. To może i rodziców by trzeba było sprowadzić? – spytała.

– Nie, póki co jeszcze nie. Zaproszę ich, jak już panią aptekarzową zostanę. Teraz niezręcznie byłoby mi ich przenocować. Znów by mi głowę truli, że żyję te kilkanaście dni bez ślubu. Nie po bożemu. Przywiozę ich latem albo i jesienią, gdy będę pewniejsza swojej pozycji jako żona.

Marta musiała przyznać, że siostra jak na osiemnastoletnią dziewczynę przejawia zdroworozsądkowe podejście. Rodzice rzeczywiście bardzo przeżyliby fakt, że Ludwika bez ślubu żyje choćby kilkanaście dni. Marty to nie gorszyło. Może kiedyś byłaby zgorszona, ale nie teraz, gdy wiedziała, co znaczy miłość cielesna, i doskonale rozumiała, że to uczucie silniejsze niż wszystko inne. Serce waliło jej jak młot. Waldemar nie kłamał, a ona nie dała wiary jego zapewnieniom. Na pewno też cierpiał. Nie chciała go znać, gdy całą noc siedział pod kamienią, błagał ją o rozmowę, a ona jak obcego go potraktowała. Och, Waldemarze, wybac mi, proszę, teraz ja będę błagała, żebyś mi wybaczył brak wiary w ciebie i w twoją uczciwość – deklarowała w myślach. Znów jej się zrobiło gorąco, bo przypomniało jej się, jak Waldemar przez materiał sukienki masował jej piersi, jak całował ją po szyi, masował gołe uda, a potem wszedł w tamto najbardziej intymne kobiece miejsce. Westchnęła głośno. A więc będę jeszcze szczęśliwa! Zachciało jej się śmiać i płakać z radości.

Siostra od dłuższego czasu się nie odzywała. Marta przez moment zastanawiała się, czy Ludwika śpi. I rzeczywiście z ust siostry wydobyło się ciche pochrapywanie. Ochmistrzyni księżnej Reszko wciąż leżała na wznak, a potem odwróciła się do siostry i wyznała szeptem:

– Ja też popróbowала tego miodu. To było najsilniejsze przeżycie w moim życiu. Najpiękniejsze, jedyne, najukochańsze.

– No, toż przecie wiem, widzę. Tylko ślepy by nie zauważył – mruknęła siostra ze spokojem, odwracając się na drugi bok. – Inaczej by ci się tak oczy nie świeciły jak kotce, co się śmietany opila. – Zaśmiała się chytrze i po chwili chrapała beztrudnie na cały pokój.

Marta tej nocy nie zmrużyła oka do rana. Wyobrażała sobie spotkanie z ukochanym oraz to, jak go przeprosza, a potem jak daje się utulić i zatapia się w jego ramionach, czuje smak pocałunków i szept zapewnień o miłości. Nie potrafiła się wprost doczekać chwili, gdy znów będą razem. Kołysała się i otulała miłosnymi marzeniami jak ciepłą puchową pierzyną.

Jednak nad ranem znów dopadł ją okropny stan. Zebrało jej się na mdłości. Tym razem nie zdążyła dobiec do schowanej za kotarą miski. Zwymiotowała na wytorną marmurową posadzkę, a kiedy na kolanach zmywała podłogę, przeraziła się, że jest ciężko chora. Pomyślała,

że ostatnie przeżycia i związany z nimi stres odbiły się na jej niemłodym przecież ciele i że zamiast szczęścia czeka ją choroba, a kto wie – może i śmierć.



Skromny ślub Ludwiki i Alojzego odbył się z początkiem czerwca. W piękny słoneczny dzień pan młody wystrojony w srebrny surdut i jasne spodnie szedł wyprostowany jak struna, prowadząc młodziutką, zaledwie osiemnastoletnią oblubienicę przez główną nawę kościoła Świętego Jana. Przepięknie odnowiona świątynia robiła wrażenie na młódce, która urodzona i wychowana w maleńkich Sępach, niewiele widziała w swoim życiu. Na mszy nie było rodziny pana młodego ani jego dzieci z pierwszego małżeństwa. Świadcował mu stary przyjaciel, z którym w każdy piątek ucinął sobie partyjkę pokera. Ze strony panny młodej była tylko Marta. Ludwika nie zaprosiła Meli ani Frani, bo nie chciała przypadkowych znajomych, a jak mówiła, z pokojówkami księżnej nie łączyła jej żadna bliższa zażyłość, a gapiów jej na ślubie nie potrzeba.

Po zaślubinach i wykwintnym obiedzie w Wiejskiej Kawie świeżo poślubione małżeństwo wyjechało w góry na półroczny wypoczynek do wód zdrojowych. Aptekarz zostawił interes pod opieką zaufanego plenipotenty, a sam postanowił pierwszy raz zażyć odpoczynku i zmiany klimatu. Marta czuła, jak wielki kamień spada jej z serca, tym bardziej że siostra wyglądała na zadowoloną, a nawet na szczęśliwą.

Ochmistrzynię dopadły innego rodzaju zmartwienia. Przed wszystkim sen z oczu spędzała jej własna słabość i mdłości. Nigdy wcześniej się tak źle nie czuła. Zawsze energiczna, sprytna, zwinna, teraz snuła się osowiale, zmuszając się niemal siłą do wysiłku. Zdarzył się dzień, że z powodu zawrotów głowy w ogóle nie wstała z łóżka. Mela i Frania próbowały ją namówić na przełknięcie choćby rosółu, ale Marta dostała wstrętu do jedzenia i nie potrafiła się zmusić do przełknięcia choćby odrobiny. Sara zajęta sprawami spadkowymi, spisem majątku, w skład którego wchodziły liczne nieruchomości i fabryki, nie od razu spostrzegła, że jej ochmistrzyni nie domaga. Jednak kiedy stan Marty pogorszył się na tyle, że nie wstała z łóżka, księżna się przeraziła i mimo nieśmiałych protestów ochmistrzyni wezwała medyka, który natychmiast odgadł przyczynę słabości.

– No cóż, według mnie jest pani w odmiennym stanie. Za wcześniej, by mieć pewność, ale jeśli nie pojawiła się kobieca comiesięczna dolegliwość, a jej miejsce zastąpiły rewolucje żołądkowe, zawroty głowy, ból w piersiach i ogólna słabość, to sprawa jest jasna – orzekł. Zebrał swoje narzędzia i opuścił pokój służącej.

– O święci pańscy, olaboga, co ja najlepszego narobiłam! – Usiadła na łóżku i złapała się za głowę. – O matuchno. Na pośmiewisko się wystawiłam. O mój Boże. – Przerazenie nie pozwalało jej swobodnie zaczerpnąć tchu. Panika zaś odebrała zdroworozsądkowe myślenie.

– Marto, czy to prawda, co lekarz mówi? Przecież to... niemożliwe. – Sara usiadła na brzeжку łóżka ochmistrzyni, a widząc panikę w jej oczach i sama jeszcze będąc w szoku, pokręciła głowę z niedowierzaniem. – Doktor Rauch jest świetnym medykiem, ale przypuszczam, że tym przypadku się omylił z postawieniem diagnozy. Przecież to... niemożliwe – powtórzyła, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. – Jak może być odmienny stan, kiedy ty nigdy... – Sara mrugała powiekami, wciąż nie mogąc wyjść z niedowierzania.

Marta zakryła twarz dłońmi i zaniósła się głośnym szlochem. Plecy jej drgały od spazmów, a cała postura skłęsała. Wstyd palił jej duszę. Nie chciała, by księżna na nią patrzyła. Z całego

serca pragnęła zapaść się pod ziemię lub pod osłoną nocy, by nikt nie widział wypisanego na jej twarzy wstydu, pobiec do którejś baby, co to słynęły z tego, że potrafią spędzić płód.

– Marto, odezwij się, bardzo cię proszę. – Księżna położyła jej dłoń na ramieniu. – Nie płacz, jeśli to, co mówił lekarz jest prawdą, to zaszkodzisz swojej dziecinie, tak jak ja rozpaczą zaszkodziłam swojej. Spójrz na mnie, bardzo cię proszę.

– Jaśnie pani, tak mi wstyd, tak mi strasznie wstyd. Zrobiłam to. Tak, jeden jedyny raz to zrobiłam, bo... bo go kocham. Kocham go nad życie, byłam pewna, że on zdradził mnie z Ludwiką i... ja... chciałam... zoba... czyć... jak... to jest. – Wychlipała w końcu. – Je... stem... stara... Ja... nie sądziłam... że mogę jeszcze... urodzić... dziecko...

– Jesteś bardzo młoda. Masz trzydzieści dwa lata. Kobiety w tym wieku rodzą jeszcze dzieci. – Sara sięgnęła po leżącą na stoliku chusteczkę i podała Marcie. Ta głośno wysmarkała nos.

– Tak, wiem, ale mówią, że na pierwsze dziecko to jest za późno. Ja naprawdę nie mam usprawiedliwienia. Teraz, gdy prawda wyszła na jaw, może mnie księżna odprawić. Prawdę mówili ludzie, że nie taka porządna rodzina z nas, Skowronków. – Spuściła głowę, złożyła chustkę na czworo i czystym rękawem przetarła oczy.

– Ludzie zawsze gadają i gadać będą. Nie raz, nie dwa sama mnie o tym przekonywałaś. A rodzina Skowronków najlepsza na świecie. Trzech synów w walce o niepodległość im pomarło, sami uczciwie na życie pracują, ty, a nawet i Ludwika porządne dziewczyny jesteście...

– Pani Saro, pójdę do jakiejś baby, co to potrafi spędzać płód. Nie przysporzę pani kłopotu. Tak mi przykro i wstyd. Potwornie, strasznie. Przepraszam panią. – Znow zasłoniła twarz dłońmi.

– Kochana moja, już nie płacz. O żadnej babie spędzającej płody mowy nie ma. Wiesz, jak się często kończą praktyki tych bab? Dziewczyna kończy w rynsztoku, wykrwawiając się na śmierć. Nigdy na to nie pozwolę. Zresztą nie ma takiej potrzeby. Pamiętasz, jak kiedyś żartowałyśmy, że czas się tobie zakochać? – Zaśmiała się cicho. – Ja naprawdę piszę powieść *Zakochana służąca* i mam nadzieję na jej szczęśliwe zakończenie. Pamiętasz naszą rozmowę, że czas ci się zakochać?

– Pamiętam – odparła, znow wydmuchując nos. – Ale obie wtedy myślałyśmy, że to będzie miłość szczęśliwa, a nie, że urodzę... bękartą – wypowiedziała na głos to okrutne słowo i dopiero teraz dotarło do niej jej beznadziejne położenie.

– Nie nazywaj tak swojego dziecka. To bezlitosne słowo. Żadne dziecko nie zasługuje, by je tak nazywać. Zresztą, nie będziesz sama. Pan Waldemar Promyk bardzo cię kocha. I mam pewność, że wcale cię nie zdradził. Był tu prosić mnie o wstawiennictwo u ciebie, tylko że nie miałam okazji, bo spadek i związane z nim sprawy bez reszty mnie pochłonięły.

– Nie, nie zdradził mnie. Wiem to na pewno. Ludwika przyznała się do oszustwa. Waldemar nie wie, że ja wiem. Chciałam mu nawet to powiedzieć, ale wyjechał dokądś i ślad po nim zaginął. Nie wiedziałam, że był u księżnej. – Podniosła na chlebobawczynię błyszczące od łez oczy, w których nagle zajaśniały iskiere nadziei.

– Tak, był u mnie rankiem w dniu otwarcia testamentu księcia Hipolita. Wtedy, kiedy wybierałaś się w nieznane. Ach, miłość, co też ona wyczynia z ludźmi. – Roześmiała się, ale wi-

dząc, że Marta nadal pozostaje smutna, powiedziała: – On cię bardzo kocha, Marto. Wszystko wam się ułoży.

– Nie jestem tego pewna, księżno. Nie widziałam go już – zastanowiła się – będzie ze trzy niedziele. Może pociesza się inną...

– Na miłość boską, Marto, przestań. Tylko człowiek całkowicie ślepy nie zauważyłby, że twój ukochany nie tylko cię kocha, ale i cierpi. Doktor kazał ci odpocząć i nie przemęczać się głupstwami.

– Ale ja nie nawykłam leżeć. Ja chcę pracować, być potrzebna, dopóki będę w stanie – jęknęła. – Byłam przekonana, że trapi mnie jakaś ciężka choroba, zatrucie czy coś, ale skoro to tylko błogosławiony stan, to chcę zarabiać na swoje utrzymanie, by nie być darmozjadem.

– Ty darmozjadem? Marto, nie grzesz, bo obrazisz Pana Boga. Chodź, bardzo cię proszę, zjedz coś, Aniela przygotowała przepyszny rosół i pieczyście. – Księżna jednak nie wstała, tylko się zamyśliła. Milczała długą chwilę, jakby się zastanawiała, czy wyjawić Marcie swoje plany. W końcu zdecydowała się mówić: – Wkrótce opuścimy ten nasz przemiły apartament. Postanowiłam zwrócić go matce i ojcu.

– I dokąd się przeniesiemy, jaśnie pani? – spytała ochmistrzyni, niepomna tego, że jeszcze przed chwilą martwiła się bezdomnością. – To znaczy, jeśli księżna będzie chciała mnie z sobą zabrać – dodała skruszona.

– Nie wyobrażam sobie, żeby ciebie nie było w pobliżu. Jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż i będę miała dzieci, chciałabym, żebyś była wtedy przy mnie, służyła mi swą mądrością i dobrą radą. Zobaczysz, Marto, nie za długo przyjdą czasy, że nie będzie jaśniepaństwa ani służby, wszyscy będziemy jednacy. W zaborze pruskim już zniesiono pańszczyznę, a i w Galicji chłopci biorą sprawy w swoje ręce.

– Nie wiem, czy to możliwe, chyba musiałoby do wojny dojść, takiej, co to by cały porządek świata wyróciła do góry nogami. – Marta uśmiechnęła się pobłaźliwie, nie wierząc w taką kolej rzeczy. – Jak się uda komuś z niższej sfery ożenić, a choćby i z aptekarzem, to cała jego rodzina się odwróci. U Ludwiki rodzina Alojzego na ślub nie przyszła. Pewnie dlatego na tak długo wyjechali.

– Przykro mi, ale u wyżej urodzonych też wcale nie jest ciekawie, sama wiesz. Rzadko kiedy wychodzimy za mąż z miłości. Niemal zawsze za mariażem stoją interesy, pieniądze, dobre rodowe nazwisko. Jesteśmy sprzedawani jak cielęta na targowisku i nikt się temu nie przeciwstawia – powiedziała smutno.

– Ano tak – przyznała smętnie ochmistrzyni.

– Wyobraź sobie, że moja matka mimo fatalnego wyboru męża dla jedynej córki nadal czuje się w obowiązku wydać mnie ponownie za mąż. – Zaśmiała się gorzko. – Wspominała o tym tuż po pogrzebie.

– Słyszałam. Nie to, że podsłuchiwałam, ale akurat usłyszałam – zastrzegła, czerwieniejąc na twarzy.

Księżna wybuchnęła śmiechem tak serdecznym, że tym razem i ochmistrzyni jej zawtórowała.

– Marto, moja kochana, zawsze jesteś w odpowiednim czasie i w odpowiednim miejscu, aby wiedzieć, co w trawie piszczy. Zapewne więc nawet przed tym, jak cię poinformowałam, wiedziałaś, że będziemy musiały się wkrótce wyprowadzić.

– No... tak... – wyznała bez żadnego zażenowania ochmistrzyni. – Trochę żal. Dobrze tu się mieszkało. I do ulubionej kawiarni księżnej niedaleko. Tyle co parę kroków przejść pieszo wystarczy.

– Mnie nie żal, choć miło będę wspominała to nasze pierwsze samodzielne mieszkanie. Mam jednak wielkie plany. Niedaleko, zaledwie parę kroków stąd, na wprost pałacu Radziwiłłów, jest piękna kamienica z przylegającym do niej parkiem.

– Wiem która. Bardzo piękna. Z prześlicznymi rzeźbieniami.

– Tak, to ta. Jest urocza, prawda? Ta kamienica wraz z parkiem należy do mojego zmarłego małżonka, choć Hipolit nigdy z niej nie korzystał. Obecnie stoi pusta. Mam zamiar tam się przenieść i otworzyć szkołę dla dziewcząt, tych bogatych i biednych, w której biedniejsze dziewczynki będą się uczyły za darmo.

– To nie zarobi pani fortuny na tej szkole. Nie wiem, czy szlachetni państwo zechcą swoje dzieci wysyłać po nauki tam, gdzie dzieciaki ze służby się uczą. Nie, to się nie uda. – Marta machnęła ręką. – To się na pewno nie uda – powtórzyła.

– Nie zależy mi na pieniądzach, ale wierz mi, że to się uda. Szkoła przyniesie zyski, bo to będzie najlepsza szkoła dla dziewcząt w całym Królestwie Polskim. Będą zabiegać o miejsce w naszej szkole. W naszej, bo moja zaufana ochmistrzyni będzie mi tam niezbędna. Będziesz piastowała w niej najwyższe stanowisko, chcę cię uczynić sekretarzem szkoły dla dziewcząt. Tylko nabierz sił, wypocznij kilka dni. Wkrótce czeka nas niemałe zawirowanie.

Siedząc tak w pokoju swojej ochmistrzyni, Sara zwierzała jej się jak za dawnych lat ze swoich planów i marzeń. Na nowo zachciało się im żyć. Obie uwierzyły, że najgorsze chwile są już za nimi. Rozmawiały o czekającej je przeprowadzce i o nieuchronnie nadchodzących zmianach, gdy rozległo się stukanie kołatką w drzwi, a po chwili w korytarzu rozległ się podniesiony głos Meli, która perswadowała komuś, że Marta się źle czuje i nikogo, a szczególnie jego nie chce widzieć na oczy. W jej podniesiony sopran wdarł się błagający o spotkanie z Martą męski baryton. Marta zamarła, ale księżna uśmiechnęła się do niej ciepło, wstała i podeszła do drzwi.

– Chyba czas rozmówić się z ojcem twojego dziecka. Popraw włosy, ubierz się, przygotuj, powiem panu Waldemarowi, by poczekał chwilę w holu. Jak będziesz gotowa, to go po prostu poproś.

Marta odchyliła kołdrę i zsunęła nogi na podłogę. Jeszcze czuła słabość i zawroty głowy. Nigdy się nie zdarzyło, by niemal cały dzień spędziła w łóżku. Czuła się nieswojo i sumienie ją gryzło z powodu nieróbstwa. Najpierw wzięła piękną elegancką czarną suknię, którą jej ufundowała księżna Reszko, gdy myślała, że jedzie na pogrzeb kogoś z rodziców. Potem jednak odwiesiła ją do szafy i wyciągnęła granatową. Ubrała się, poprawiła włosy i zatrzymała się dłużej na swoim odbiciu w lustrze. W zwierciadle patrzyła na nią jeszcze całkiem młoda, bardzo szczupła kobieta. Na jej bladej, wymizerowanej twarzy odbiły się troski, jakie ostatnimi

czasy ją trapiły. Jednak w oczach żarzyły się iskielki nadziei i rodzącego się na nowo szczęścia. Pogłaskała się po jeszcze całkiem płaskim brzuchu i uśmiechnęła się do lustra.

– A jednak dane mi będzie zostać mamą – powiedziała cicho i mając w pamięci złe wspomnienia związane z porodem księżnej i jej wcześniejsze tragiczne przeżycia, przyrzekła sobie aż do rozwiązania niczym się już nie przejmować. Oby tylko moje dzieciątko urodziło się zdrowe i przede wszystkim żywe. – Zostanę mamą – powiedziała do siebie jeszcze raz i nagle ogarnęła ją niewypowiedziana radość. Zobaczyła oczyma wyobraźni małą kruszynkę z rudymi kędziorkami. Bała się, że znów się rozplacze, tym razem ze szczęścia. Nie chciała od razu mówić ukochanemu o dziecku. Poczekam na odpowiedni moment – obiecała sobie, nim wyszła do holu, by spotkać się ze swoim przeznaczeniem.



Księżna, wybawiając ochmistrzynię z niezręcznej sytuacji, udostępniła jej na tę najważniejszą rozmowę w życiu swój gabinet. Nie godziło się bowiem przyjmować mężczyznę w pokoju sypialnianym, a Marta nie chciała skorzystać z oferowanego przez księżną salonu, uważając, jak to ona, że to się po prostu nie godzi. Służąca usiadła na brzeżku jasnego fotela, a Waldemar nieśmiało stał w progu, a gdy tylko księżna zamknęła drzwi, dając dwojgu zakochanym namiastkę intymności, padł przed ukochaną na kolana.

– Jedyne, najdroższe. – Dotknął jej spracowanej dłoni i począł całować czubek każdego palca. – Nie wiem, co mam zrobić, byś uwierzyła w moją niewinność. Przychodzę tu każdego dnia, gdy tylko wracam z trasy. Nie baczę na swoje zmęczenie, nie baczę na porę dnia czy nocy, wystaję tu jak jakiś nieokrzesany młokos albo jak zbity przeganiany pies, by zamienić z tobą choć słowo. Bez ciebie nie ma dla mnie życia. Jestem jak ta pokutująca dusza, na wieki wypędzona na poniewierkę.

– Przepraszam, że nie zawierzyłam twoim zapewnieniom. Dałam się naiwnie zwieść, choć dusza i serce rwały się do ciebie i nie chciały uwierzyć w tak nikczemne uczynki. Wierzę ci, kochany. Wierzę w to, że nie mógłbyś mnie skrzywdzić. Jesteś honorowym i prawym człowiekiem, takim jak twój ojciec, pan Franciszek. – Drżąc z emocji, spojrzała na niego z nadzieją i ufnością.

Ten wielki, silny mężczyzna zajrzał z niedowierzaniem w oczy ukochanej, a potem złożył głowę na jej kolanach, by nie widziała jego łez. Szczęście wypełniło jego duszę tak nagle, że z radości zachciało mu się płakać. Dziękował w duchu Najświętszej Paniency, do której codziennie zanosił swoje prośby, by Marta uwierzyła, że nie byłby w stanie jej skrzywdzić zdradą czy choćby złą myślą. Tulił się do jej nóg, a ona głaskała jego głowę spoczywającą na jej kolanach, jakby chciała mu dać zapewnienie, że już teraz będzie tylko dobrze.

– Jak się przekonałaś o mojej niewinności? Księżna cię zapewniła? – Podniósł na nią wciąż jeszcze niepewne spojrzenie. – Muszę twojej pani podziękować za wielką łaskę, jaką mi wyświadczyła. Ja już byłem przekonany, że straciłem cię na zawsze. Gdyśmy się ostatnio widzieli, znać mnie nie chciałaś i potraktowałaś jak najgorszego kundla. Jak to dobrze, że masz wspaniałą panią. Bardzo dobrą i uczciwą kobietę.

– Masz rację, kochany, księżna Sara to niespotykane dobra pani. Nie ona jednak do ciebie przekonywać mnie zechciała, choć dziś wspominała mi o twojej u niej wizycie. Wcześniej zajęta była pochówkiem męża, nie miała głowy ani czasu na nasze miłosne rozterki. Ludwika mi wyznała prawdę o tym, co zdarzyło się w gospodzie – dodała. – Ona nawet nie bardzo wiedziała, jaką krzywdę nam uczyniła.

– Dzięki Bogu, że się ulitowała. Ja już wiarę straciłem, że tę delikatną sprawę da się jakoś odkręcić. Już chciałem ją nawet opłacić, byleby tylko prawdę ci wyjawiała. – Nabrał haust powietrza i wypuścił je po chwili z niewiarygodną ulgą.

– Wstyd mi, że się na tobie nie poznałam. To ja dałam się omamić kłamstwem. To mnie zabrakło ufności, a przecież powinnam wiedzieć, żeś ty uczciwy. Ludwika zachowała się bardzo źle, ale ja powinnam ufać tobie. Tyś mnie o rękę poprosił, o miłości zapewnił i dobry taki dla mnie byłeś, a ja...

– Martuniu, nie obwiniaj się. Miałas prawo nie wierzyć. Toć wszystko się jakby przeciwko nam sprzysięgło. – Wciąż klęcząc przed nią, zajął w jej oczy, a ona, chcąc mu się wydać piękniejsza, podniosła dłonie i kilkoma sprawnymi ruchami wysunęła spinki trzymające kok. Gęste ciemne pasma spadły jej na ramiona i plecy. Potrząsnęła głową, by równo leżały, a on zapatrzył się na nią tak bardzo, że aż się uśmiechnęła zawstydzona. Wiedziała, że lubi ją taką dziewczęcą. Wtedy, gdy cieszyli się swoją bliskością w dyliżansie, też rozpuścił jej włosy i upajał się ich zapachem. – Jesteś śliczna. Najpiękniejsza. Marto... Kocham cię. Kocham cię jak szalenię. Jak skazaniec, który woli życie spędzić w lochu, niż przeżyć je bez ciebie.

– Ja też cię kocham. Też nie chcę żyć bez ciebie. – Pochyliła się i pocałowała jego rozpromienione oczy. Ich usta się spotkały i zatopiły w namiętym pocałunku. Zapomniała o tym, że za ścianą zapewne krzątają się Aniela i pokojówki, które nie odpuszczą takiej sensacji i z pewnością podsłuchują. Księżna zapewne wyszła swoim zwyczajem na kawę do kawiarni U Brzezińskiej.

– Gdy poprosiłaś mnie, bym pojechał po twoją siostrę, a raczej ja sam wyszedłem z tą propozycją, żeby ulżyć twoim kłopotom...

– Przepraszam, Kochany, zamiast ci podziękować, to ja...

– Nie, już ciii... nie wracajmy już do tamtego. Ja co innego chciałem ci wyznać. A zatem wtedy, jak pojechałem do Sęp, porozmawiałem z twoim ojcem i spytałem, czy nie ma nic przeciw temu, bym jego zięciem zostałem. I twoja matuchna i twój tatko pobłogosławili nam. Ja jak na jakichś skrzydłach wtedy leciałem. Byle prędzej do ciebie, byle szybciej, byle uklęknąć przed tobą i o zgodę na ślub ze mną cię spytać.

– Och... – Westchnęła tylko, bo słowa ze wzruszenia uwiędły jej w krtani.

– Poczekaj, jeszcze niech dokończę. Pierścione kupiłem i całą mowę sobie przygotowałem, ale dziś go nie wzięłem, bo nie wiedziałem, że cię zastanę...

– Kochany...

– Nie... poczekaj... daj mi powiedzieć... Marto, wyjdź za mnie. Zostań moją żoną, bo ja bez ciebie świata nie widzę. Bez ciebie tylko rozpacz i smutek jakiś taki mnie ogarnia, że albo bym samogon bez końca pił, albo w pracy od rana do wieczora siedział, by nie oszaleć z tej tęsknoty i rozpacz. – Spojrzał jej poważnie w oczy, a ona zsunęła się z brzeżka fotela na kolana. Jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy tak, że ich oddechy się połączyły.

– Z radością wyjdę za ciebie. Niczego innego nie pragnę tak bardzo, jak tylko zostać twoją żoną. Nie mogę bez ciebie żyć. Nie chcę bez ciebie żyć. – Poddawała się jego pieszczotom, najchętniej znalazłaby się w jego ramionach i pozostała tak przytulona na wieki. Jego wargi pieściły ją delikatnie, długo, nie spiesząc się, a ona czuła się tak błogo, jakby właśnie weszła do swojego domu.

– Martuniu, uczyniłaś mnie najszcześliwszym człowiekiem na ziemi. Przyszedłem tu dziś jak wygłodniały żebrak, błagający chciwie o jałmużnę, a wyjdę jak wielki pan, któremu sprzyja cały świat.

– Kochany, poczekaj, chcę ci o czymś powiedzieć. To coś bardzo ważnego – dodała, odsuwając twarz od jego twarzy na tyle, by mogła spojrzeć mu w oczy. – Pomóż mi wstać – prosiła.

Podniósł ją z klęczek, sam również wstał.

– Obejmij mnie, przytul do siebie, bo nie wiem, jak to wyjawic. – Zarumieniła się jak młodziutka panienka. Jego ramiona oplotły ją tak mocno, że zrobiło jej się duszno, wytrzymała to jednak, bo potrzebowała wiele miłości i ufności, by zdradzić mu tak bezwstydną rzecz.

– Co się stało, kochanie? – Wpatrywał się z lekkim przestachem w jej zmieszany wyraz twarzy. – Mnie możesz wszystko powiedzieć.

– Będziemy mieli dziecko – wyjawiała w końcu tak cicho, że musiał niemal przystawić ucho do jej warg, by usłyszeć. Zaskoczona nowina zszokowała go tak bardzo, że nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Co powiedziałaś, kochanie? Powtórz, błagam, bo chyba nie usłyszałem dobrze.

– Będziemy mieli dziecko. Jestem w odmiennym stanie – wyszeptowała ciut głośniejsze, jeszcze bardziej zawstydzona i zmieszana.

– Martuniu, będziemy mieli dziecko? – Chwycił ją wpół i mocno przyciągnął do siebie. – A to ładnie żeśmy pofiglowali w dyliżansie, że od razu berbecia za pierwszym razem machnęliśmy. – Zaśmiał się szczęśliwy.

– Nie gniewasz się? Nie jesteś zły?

– Zły? Toż sam go zmajstrowałem. – Mówiąc to, nieświadomie wyprostował się z dumą, a ona nagle poczuła się najszczęśliwszą kobietą na świecie.

– Jak to dobrze, że my, prości i niezamożni ludzie, możemy pobierać się z miłości. – Położyła jego rękę na swoim łonie. Nie znać jeszcze było nawet najmniejszego śladu wypukłości, ale on przyklęknął na jedno kolano, przyłożył ucho do brzucha i nasłuchiwał.

– Same rewolucje jakieś się tam wyprawiają, dziecka jeszcze nie słyhać – zażartował.

– Oj, jeszcze się nasłuchasz jego płaczu i pojękiwania. – Zachichotała radośnie. – Myślałam, że za stara jestem na dzieci. Mam skończone trzydzieści dwa lata. Nie wierzyłam w to, że zostanę mamą, chyba że jakichś obcych dzieci, jeślibym za wdowca wyszła.

– Jesteś młodziutka, śliczna, a skoro nam tak łatwo i sprawnie poszło ze zmajstrowaniem siusiumajtka, to patrzeć tylko, jak całą gromadkę zmajstrujemy.

– Nie, gromadki mieć nie możemy, bo na razie nie mamy gdzie mieszkać. Oby się tylko to jedno zdrowe urodziło i dobrze chowało.

– Jak to nie mamy gdzie mieszkać? U mojego ojca. Ucieszy się i przyjmie nas z otwartymi ramionami. Tylko spieszyć się musimy, żeby ludzie nie gadali, że z brzuchem do ołtarza idziemy. Jeszcze dziś tatce powiem...

– Nie, proszę, nie mów nikomu o dziecku. Będę zawstydzona.

– Dobrze, nie powiem, masz rację. Po co nas mają wziąć na języki. Niedoczekanie. Mojej żony nikomu obmówić nie dam. I niech lepiej Ludwika też jeszcze nikomu nie mówi – zastrzegł.

– Nie powie, bo nie wie. Ludwika wyszła za mąż za aptekarza. Wyjechali w podróż aż na pół roku, a może i na dłużej. O naszym dziecku wie tylko księżna.

– Dobrze, i niech tak zostanie. Teraz na nas pora, by się pobrać. I bardzo dobrze. Jak tatce o rychłym ślubie powiem, to staruszek się ucieszy. Co rusz powtarza mi, że na mnie pora przed ołtarzem się stawić.

– Pamiętaj tylko, że po ślubie, za jakiś czas po powiciu dzieciątka, ja chcę nadal u księżnej służyć. Nie możesz mi tego zabraniać – zastrzegła.

– Niczego ci nie zabronię, bylebyś mnie kochała – szepnęła, a potem pocałował ją tak gwałtownie i mocno, że się zawstydziała i jednocześnie przestraszyła, że zaraz ktoś wejdzie i ich na tych bezecnych figlach nakryje.

Po wyjściu Waldemara do gabinetu księżnej wparowały Mela, Frania i kucharka Aniela. Rozanielona Marta siedziała wciąż w tym samym miejscu.

– Przeprosił cię? Ukorzył się? Pewnie żałuje, co stracił, i teraz miejsca sobie znaleźć nie może. Wybaczyłaś mu? – Mela z wypiekami na twarzy wzięła się pod boki i jęła wypytywać Martę niczym święta inkwizycja.

– Nie miałam mu czego wybaczać. Waldemar jest niewinny. Wiedziałam to już wcześniej – powiedziała z marzycielskim uśmiechem. – Ludwika trochę ubarwiła...

– Ubarwiła? Dobrze sobie, same z Anielą widziałyśmy, jak... no... jak ten... no... – Straciła rezon, bo kucharka spiorunowała ją wzrokiem.

– Oj tam, co my takiego widziałyśmy? Chyba tylko to, jak mu się Ludwika na szyi uwiesiła i puścić nie chciała. Nie ma co o tym pamiętać, bo co z tej pamiętliwości komu przyjdzie?

– Oświadczył się? – Frania przyklękła przy fotelu, na którym przycupnęła jeszcze wciąż oszołomiona Marta i przyglądała się jej dłoniom.

– Tak, oświadczył się. Jestem... szczęśliwa. Bardzo.

– A gdzie pierścionek? Oświadczyni bez pierścionka są nieważne. Ani pierścionka, ani kwiatów, e tam, co to za zaręczyny? – Frania nadeła usta i prychnęła pogardliwie. – Jakby mnie się tak ktoś oświadczył, to nie wiem, czy bym się za mąż za niego wydała.

– Chodźcie do kuchni, kolację trzeba przygotowywać, a nie tylko pyłować. – Aniela kłaśnęła w ręce. – Będzie i pierścionek, i kwiaty, i dobre życie z nim będziesz miała Marto, co jak co, ale na ludziach to ja się znam. Widać na pierwszy rzut oka, że pan Waldemar to uczciwy człowiek, szlachetny, porządnie wychowany, a i ustawiony na życie. Pocztylion to człowiek liczący się, na państwowej posadzie, znający życie, zaradny – wyliczała zyczliwie. – Nie zginięsz z nim. Oj, nie zginięsz. Szczęścia wam życzę i miłości wzajemnej. Żebyście się w tym długim życiu zawsze miłowali i wspierali.

– Dziękuję, Anielo. – Marta, wciąż jeszcze osłabiona pierwszymi oznakami ciąży, przytuliła się do kucharki.

– Od razu bez doktora wiedziałam, co to za choroba cię trawi. – Zaśmiała się cicho, gdy na chwilę zostały same. – Pewnie mamą zostaniesz? – Popatrzyła na zmieszaną i zawstydzoną twarz Marty i dokończyła: – Nie musisz mówić, jak nie chcesz, ale za długo po świecie chodzę, by nie znać się na kobiecych słabościach. Niech to dzieciątko zdrowe się urodzi i niech dobrze rośnie pod Bożą i waszą opieką.

Tego wieczoru księżna Sara po powrocie ze spotkania z wydawcą Gustawem Gurgiem była bardziej niż zwykle zadowolona. Policzki jej płonęły, a oczy się śmiały. Czarna żałobna suknia wprawdzie nie licowała z doskonałym nastrojem księżnej, ale Marta cieszyła się, gdy widziała uśmiech na twarzy swojej pani. Mimo swoich młodych lat księżna doświadczyła wiele zła

i upokorzeń. Służąca miała nadzieję, że i do tej delikatnej kobietki przyjdzie pogoda na miłość.

– Mela i Frania już od progu zdradziły mi, że nasz kochany poczytliion poprosił cię o rękę. Pozwól, że ci pogratuluję. Bardzo się raduję twoim podwójnym szczęściem. – Zdjęła kapelusz i odłożyła go na poręcz fotela, sama zaś podeszła do Marty, by ją wyściskać. – Marzyłam dla ciebie o twoim własnym szczęściu. Wierzę w to, że nie zrezygnujesz ze służby u mnie. Jesteś mi najbliższą osobą. Gdybyś odeszła, Marto, czułabym ogromną pustkę. Jesteś nie do zastąpienia. Jak najbliższa przyjaciółka. Właściwie siostra.

– Księżno, tak się nie godzi mówić. Same tylko będą z tego kłopoty – zaczęła służąca swoim zwyczajem, ale chlebobawczyni jej przerwała.

– Pozwól mi mówić, co myślę i co mam w sercu. Od bardzo dawna niezbyt interesuję się tym, co inni powiedzą. Teraz z powodu odziedziczonej fortuny przyklei się do mnie cała armia pochlebców, muszę mieć przy sobie kogoś, kto wprawnym okiem oddzieli ziarna od plew i uchroni mnie przed fałszywymi lizusami.

– Będę służyć u księżnej, dopóki mi sił i zdrowia starczy. Nie porzucę służby, już mówiłam o tym mojemu... narzeczonemu. – Ostatnie słowo wypowiedziała tak miękko, że Sara się uśmiechnęła.

– Och, jak dobrze nam się tu mieszkało. – Księżna podeszła do okna, otworzyła je na oścież i zaciągnęła się świeżym czerwcowym powietrzem. – Mam wielką nadzieję, że ta przeprowadzka to będzie dobra zmiana. Już szykują pomieszczenia szkolne. Myślę, że najdalej za miesiąc będziemy naprawdę u siebie. – Ten nasz ukochany apartament zwrócę rodzicom, bo jeszcze mnie gotowi wyswatać. Będzie dla nich zabezpieczeniem, bo ofiarowując go mnie, pozbyli się części własnego majątku.

– Cieszę się, księżno. Ta kamienica, do której się przenosimy, jest przepiękna, ma cudne rzeźbienia i balkoniki. A w dodatku wokół rośnie śliczna zieleń i klomby z różami, i ławeczki przed budynkiem stoją – wymieniała z lubością ochmistrzyni.

– A jak ci się podoba ta kamieniczka po prawej stronie? – Księżna popatrzyła na swoją służkę szelmowskim wzrokiem.

– Ta trochę niższa, na piaskowy kolor wyrychtowana? – upewniła się Marta.

– Tak, dokładnie ta.

– Też bardzo ładna. To tam będzie szkoła? – zdziwiła się ochmistrzyni. – Myślałam, że w tej wielkiej kamienicy.

– Dobrze myślałaś. Szkoła będzie zajmowała jedno piętro w tej wielkiej kamienicy. Pytam, jak ci się ta niższa podoba.

– Śliczna jest. Co tam będzie? – zaciękała się.

– Twoje mieszkanie. Przecież musisz gdzieś mieszkać. Zaraz założysz rodzinę, powijesz dzieciątko, a ja chcę, byś była blisko.

– O nie, księżno. Co to, to nie! Nie zgadzam się. Nigdy, nigdy, ale to nigdy tego nie przyjmę. Już dość kłopotów przez to spoufalanie się wyniknęło. Przez książęcy powóz, co nim do Sęp jechałam, tyle upokorzeń mnie spotkało, tyle zła, tyle plotek i pomówień. Pani Klementyna Wolska, gdyby się dowiedziała, że księżnej takie pomysły po głowie chodzą, zaraz by

mnie od pani odegnała. A ludzie? Zniszczyliby swoim gadaniem mnie, a potem panią. Proszę tak nawet nie mówić, bo mi ciężko na sercu się robi. – Rozplakała się niespodziewanie i wybiegła za kotarę, bo znów ją dopadły mdłości.

W nocy, leżąc w swoim pokoju, rozmyślała nad tym, że księżna bardzo różni się od znanych jej wielkich dam. Jest zbyt cicha, zbyt skromna, zajęta pisaniem powieści, czego nie robi żadna inna kobieta, a już na pewno nie żadna wielka dama. Pomyślała, że jej pani nie raz i nie dwa doświadczy z tego tytułu nieprzyjemności. Nie chciała, by przez zbyt poufałe traktowanie służącej tych kłopotów księżnej jeszcze przybyło. Liczyła się z tym, że rodzina księżnej, która nie była doskonała, ale którą księżna kochała, z czasem zniszczy pozycję Marty i całkowicie odsunie ją od służby u księżnej Reszko. A ochmistrzyni nie wyobrażała sobie służby gdzie indziej. Nawet wtedy, w Karczewie, gdy szła drogą w nieznanne serce, pękało jej z żalu, że musi iść szukać pracy gdzie indziej. Przyszli jej na myśl rodzice i ich nienaganna służba w Sępach. Zastanawiała się, jak sobie radzą i czy jeszcze mają dach nad głową, czy Sępińscy okazali wielkoduszność, czy wyrzucili ich na bruk. Poproszę Waldemara, by przy następnym wyjeździe w tamte strony zawiózł im ode mnie trochę zaoszczędzonych rubli i wywiedział się, co u nich, a także przekazał im wspomniałą nowinę o ślubie Ludwika, a także rychłym ślubie ich starszej córki.



W niedzielne popołudnie ubrana w bladuróżową sukienkę pożyczoną od Meli Marta Skowronek pod rękę z Waldemarem Promykiem szli po błogosławieństwo do ojca pocztyliona, pana Franciszka. Marta lubiła starszego mężczyznę, wielokrotnie tuż po wprowadzeniu się na Krakowskie Przedmieście ucinając sobie z nim pogawędki. Był miłym, szarmanckim panem z siwym wąsem. Teraz jednak świadomość, że być może nie zechce jej na żonę dla syna, paraliżowała jej myśli. Uważała się za starą kobietę, a dokładnie za starą pannę. Dziewczęta wychodziły za mąż, mając lat osiemnaście, dwadzieścia, a zdarzały się śluby i szesnastoletnich panien. Ona przy swoim zaawansowanym wieku trzydziestu dwóch lat czuła się winna. Jakby z czegoś Waldemara okradała. Ten jednak śmiał się z jej zmartwień, rozganiał, jak potrafił jej wymyślić i czarnowidztwo. Tulił, szeptał kojące słowa i wspierał na każdym kroku.

Obawy Marty okazały się na wyrost. Uradowany Franciszek Promyk czekał już na nich w progu skromniutkiego, zaledwie dwuizbowego mieszkania. Jego pokryta zmarszczkami, czerstwa twarz tryskała zadowoleniem.

– Panno Marto, witam w naszych skromnych progach i do izby zapraszam. Waldek za tobą, kochana, wzdychał, nie spał, nie jadł i jak wariat się zachowywał. Rozumiem go. Za taką panną ja też bym oczy wyplakiwał. Długo kazałaś na siebie czekać, ale to dobrze. Co wywalczone, to cenne, a co łatwo przyszło, tego nikt nie szanuje. Chodź, dziecko, niech no cię wyściskam. – Franciszek przygarnął Martę do siebie tak mocno, że aż pisnęła i się roześmiała. Dał jej siarczyste buziaki w oba policzki, a potem poprowadził do stołu.

Spojrzała na Waldemara rozradowanym wzrokiem, a on doskoczył, by odsunąć jej krzesło. Zwinęła materiał różowej sukni, usiadła i rozejrzała się ukradkiem po pomieszczeniu. Od razu rzucił jej się w oczy męski porządek. Nie było w mieszkaniu kwiatów ani zasłonek, jedynie proste meble, dwa tapczany, stół z czterema krzesłami i wielka trzydrzwiowa szafa. Brakowało kobiecej ręki i tych bibelotów, które może i nie są konieczne, ale nadają pomieszczeniu ciepła i przytulności. Przynęła sobie, że w wolnych chwilach zrobi na szydełku kilka białych serwetek, a także wyszyje pięknymi zdobieniami białą obrus.

– Skromnie tu u nas, ale dobre i to, co mamy. To służbowa chałupa. Mój ojciec był pocztylionem, ja byłem do niedawna pocztylionem, a teraz Waldemar przejął po nas pocztylionką schedę. Może będzie wam dane mieć kiedyś syna, to jak Bóg da i on zostanie pocztylionem, z chałupy nie trzeba będzie się wyprowadzać.

Marta spojrzała pytającym wzrokiem na narzeczonego, czy przypadkiem nie zdradził ich sekretu, ale mrugnął do niej uspokajająco. Odetchnęła z ulgą. Wstydziała się przedślubnej ciąży. Czuła się trochę nieswojo i niepewnie. Chroniła również przyszłe maleństwo przed niepotrzebnym ludzkim gadaniem. Gdyby się wydało, dzieciarnia na podwórku nie dałaby ich dziecku spokoju i wyzywała od bękartów. Ludzie potrafili obliczyć miesiące i żyć potem nie dawali, gdy od ślubu do porodu brakowało tych dziewięciu.

– Przytulne mieszkanko, panie Franciszku. Tak tu miło i spokojnie – pochwaliła. – Nie słychać hałasów z ulicy.

– Ano na szczęście nie słychać, bo okno wychodzi na zielony skwerek. Wczesną wiosną, jak się ptaszyny rozśpiewają, to jakbym w lesie przebywał, tak pięknie ich trele dolatują tu na

pierwsze piętro. I dla ciebie ptaszynko, miejsce się tu znajdzie.

Waldemar wyszedł do kuchni, a po chwili wrócił z bukietem kwiatów i z pierścionkiem. Klęknął przed wzruszoną Martą i powiedział z namaszczeniem:

– Marto, zgodziłaś się zostać moją żoną, przyjmij więc, proszę, pierścionek, co go moja babka, a potem moja matuchna nosiły. To najbliższa mojemu sercu pamiątka, najcenniejsza rzecz, jaką mogę ci ofiarować. – Położył bukiet na podłodze i wziął rękę ukochanej, a potem wsunął jej na palec złoty pierścionek z niewielkim ametystem. Podniósł jej dłoń do ust i ucałował.

– Nigdy go nie zdejmę. Nigdy, kochany. – Ona również pocałowała pierścionek i wzięła bukiet kwiatów, który jej wręczył.

– Błogosławię wam, dzieci. – Franciszek podszedł do młodych, a Marta zsunęła się z krzesła i klęknęła obok Waldemara. – Kochajcie się, życie w zgodzie, w szczęściu i w niedoli, w zdrowiu i w chorobie, w dobrych i ciężkich chwilach. Niech wasza miłość was chroni i pomaga pokonać wszelkie trudności, a Najświętsza Panienka niech wam patronuje.

– Dziękujemy, tатku. – Waldemar ucałował rękę ojca, Marta również to zrobiła.

– No tom się wzruszył. Stary jestem, a lzy ciurkiem lecą jak dzieciakowi. A na kuchni pewnikiem się już wszystko rozgotowało. – Otarł zamasyżycie twarz pomarszczoną dłonią, a na koniec się roześmiał, by zatrzeć sentymentalny nastrój.

– To może ja z Waldemarem podamy do stołu, a pan, panie Franciszku, będzie naszym honorowym gościem. – Marta zerwała się i cmoknęła staruszka w policzek.

– Ależ skąd, nie mogę na to pozwolić. Panna Marta dziś taka elegancka, kolorowa, gdzież tam do usługiwania mnie, staremu. Niech dziś moim gościem panna będzie.

– Nalegam, sprawi mi pan Franciszek wielką przyjemność, pozwalając sobie służyć.

– A, skoro tak, to naleweczkę w tym czasie zaserwuję. – Klasnął w dłonie i wyciągnął z dna szafy mały gąsiorek.

W kuchni Waldemar chwycił Martę w objęcia i pocałował tak namiętnie, że aż z trudem łapała oddech. Gdy w końcu udało jej się wyswobodzić, zaśmiewała się cichutko z jego nieokiełznanej radości. On natomiast, podśpiewując, przesuwał garnek na sąsiednią fajerkę na stojącej w rogu żelaznej kuchni, a następnie odcedził wodę z ziemniaków do metalowej miski.

– Pomogę ci, ubiję ziemniaki, a ty szybko pokrój cebulkę, to ją jeszcze przesmażę na patelni razem z kiełbaską.

– No proszę, już mną rządzisz. – Podrzucił cebulę i złapał ją w powietrzu, potem podrzucił jeszcze raz jak mały rozbawiony chłopiec. – Podoba mi się to, nawet bardzo. – Poszatkował cebulę na desce, a ona, uwinąwszy się z ziemniakami, już rozgrzewała smalec na patelni.

– Dobrze się na was patrzy, dzieci. Jak miło mnie staremu patrzeć na młodych, zakochanych. Oj, gdyby moja Lusia to widziała. Płakałaby ze wzruszenia. Nie ma nic piękniejszego, niż patrzeć na szczęście dzieci.

Gdy wieczorem Waldemar odprowadzał Martę na Krakowskie Przedmieście, wspominali piękny dzień i marzyli o przyszłości. Ciepły wiatr rozwiewał rude loki pocztyliona, i unosił lekki materiał różowej sukienki pożyczonej od Meli. Od czasu do czasu mijały ich bryczki

z pięknymi pannami i dobrze ubranymi kawalerami z bogatych rodzin. Śmiech rozbawionego towarzystwa niósł się po ulicach i odbijał od fasad budynków.

– Kiedyś zazdrościłam tym bogatym młodym pannom luksusu, w jakim żyją, dobrego urodzenia, możliwości podróżowania, edukowania się. Dziś nie zamieniłabym się z nikim na moje życie. Nie oddałabym swojego szczęścia za żadne fortuny świata. Kocham cię – szepnęła i podniosła głowę, by spojrzeć na ukochanego.

– Ja też bym nie zamienił mojego życia na żadne inne. Jesteś moim sercem, moim oddechem, moją ukochaną i jedyną kobietą. – Otoczył jej talię ramieniem, ale pod świdrującym spojrzeniem matrony idącej z naprzeciwka odsunął ramię i znów pochwycił Martę za rękę. Nie było w modzie okazywanie sobie uczuć na ulicy. – Kocham cię, moja jedyna. – Cmoknął narzeczoną w policzek, gdy dama przeszła. – Przepraszam, Martusiu, nie mogę się powstrzymać, by cię choćby nie musnąć. Mam taką ochotę na... wiesz co...

– Ciii... Nie mów głośno, bo jeszcze ktoś usłyszy. – Rozejrzała się wokół, a potem dodała konspiracyjnie: – Ja też mam na to ochotę. – Śmiesznie zmarszczyła nos i oboje zaśmiali się wesoło. A kiedy w końcu złapali oddech, Marta westchnęła. – Musimy uważać, u twojego tatki miejsca niewiele. Ledwo dla was dwojga starczało. A jeszcze jak ja dojdę i berbec przyjdzie na świat, to już w ogóle go nie będzie. Nie narzekam, ale boję się, że nie będziemy mieli dla siebie kąta do kochania.

– Damy radę, kochanie, ważne, że będziemy razem. Nie martw się tym. Tatkę wyślemy spać do kuchni, tam mu będzie ciepło od pieca, a sami zajmiemy pokój. Taka kolej rzeczy.

– Nie, nie chcę tak zrobić. Żal mi będzie pana Franciszka i sumienie będzie mnie gryzło. Może przepierzenie jakiegoś postawimy. Albo materiał jakiś choćby na sznurze rozwiesimy na noc.

– To się zobaczy, najważniejsze, że razem jesteśmy i zgodni. Książdz zamówiony i opłacony. W sierpniu będziemy sobie ślubować, to już za dwa miesiące. Wytrzymamy do tego czasu, ale z trudem. Co noc mi się śnisz, taka piękna i chętna jak wtedy w dylizansie... Pieszczę w myślach tamto wspomnienie – wyznał rozmarzony.

– Ciii... – Przytknęła palec do ust. – Nie mów głośno, bo ktoś usłyszy. – Marcie przyszło do głowy, że o intymnych sprawach już zawsze będą szeptać, a i kochać się będą jedynie w najdyskretniejszy sposób. – Wiesz, księżna Sara chciała mi mieszkanie kupić, ale nie przyjąłam... – zaczęła ostrożnie.

– Dlaczego? – Aż przystanął w miejscu z wrażenia. Zaskoczyła go zarówno hojność księżnej, jak i odmowa narzeczonej. – Dlaczego nie chciałaś?

– Z wielu względów. Jej rodzina byłaby bardzo na nią zagniewana...

– Ale co ich gniew ma do ciebie? – Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Marta odrzuciła taką wielkoduszność i okazję na samodzielne życie. – My z ojczulkiem też mieszkamy w służbowym mieszkaniu. Jak i wielu ludzi. Dlaczego nie chciałaś? – powtórzył pytanie.

– Twoje mieszkanie to co innego, na państwowym jesteś, a tu księżna swoje własne inwestycje musiałaby poczynić. Rodzina jej tego by nie wybaczyła. Oni żal mają o to, że księżna mi powozu użyła, a cóż za awanturę by o lokum zrobili. Nie udźwignęłabym ciężaru, gdyby

księżna Sara się ode mnie pod namową rodziny odwróciła. Ona bliższa mi jest niż własna siostra.

– A gdybyś ty miała pieniądze, a ona nie, pomogłabyś jej? – zapytał podstępnie.

– No pewnie, co za pytanie? Natychmiast bym przysłała jej z pomocą – oświadczyła bez chwili namysłu.

– Tak i ona jak przyjaciółkę, a może i jak siostrę cię traktuje i chce dla ciebie dobrego życia. Gazety piszą, a i ludzie gadają, że niewyobrażalną fortunę odziedziczyła po księciu. Dla niej takie mieszkanie to nieduży wydatek, a dla ciebie swoboda i nowe życie. Zastanów się nad tym.

– Na pewno masz rację, ale ja nie przyjmę takiego daru. Moi rodzice też otrzymali działkę pod dom, a i deski z tartaku dostali. Teraz drżą, że na stare lata stracą dach nad głową. Przez widzimisię panicza Sępińskiego i jego chęć flirtowania z Ludwiką życie na starość przyjdzie im spędzić w leśnej lepiance, co sobie sami ulepią, albo i na ulicę żebrać wyjadą.

– Nie dopuścimy do tego, Marto. Obiecuję tobie, jakem Waldemar Promyk.

Zareagowała na to jego oświadczenie uśmiechem pełnym dobroci, ale i niedowierzania. Przemyślała jego słowa i doszła do wniosku, że wolałaby z Franciszkiem w jednej izbie spać za marnym przepierzeniem, a rodzicom kuchnię udostępnić, niż narażać na kłopoty swoją panią. Zwłaszcza że uważała księżną Reszko za najmiłszą, najuczciwszą, najbardziej wyrozumiałą i dobrą młodą kobietę. Znała jej sekrety, boleści, przeszły razem wiele. Bardzo pragnęła zobaczyć Sarę szczęśliwą, a najlepiej zakochaną. Tym bardziej, że sama kochała. Pragnęła, by świat wokół niej był lepszy, a ludzie, których kocha – szczęśliwi.

Długo w nocy macała na palcu pierścioneł, wciąż nie mogąc uwierzyć, że w wieku trzydziestu dwóch lat idzie za mąż. W dodatku dziecko, które jeszcze nie tak dawno chciała spędzić u jakiejś przypadkowej baby, teraz cudownie ją cieszyło. Leżąc, głaskała się po płaskim brzuchu i cichuteńko nuciła piosenki. Przyszłość rysowała się jej w najpiękniejszych kolorach. Myślała sobie o tamtym wieczornym spacerze i o własnej odwadze, kiedy postanowiła oddać swoje ciało Waldemarowi. Uśmiechnęła się do tej myśli, bo przyznała się sama przed sobą, że to ona sprowokowała Waldemara. Z premedytacją zapagnęła doznać tej zakazanej cielesnej miłości. Zastanawiała się, czy to normalne, że teraz też tego pragnie, przecież jest brzemenna. Nie rozumiała, dlaczego czuje taką tęsknotę w ciele. Dlaczego wszystkie członki wyrrywają się do niego? Zarumieniła się na swoje grzeszne myśli i zaczęła odliczać tygodnie i dni do piętnastego sierpnia. Święto Matki Bożej jest najlepszym początkiem nowego życia – pomyślała, nim zapadła w spokojny miarowy sen.



W upalne lipcowe popołudnie ubrana w fioletową suknię księżna Sara Leokadia Reszko, chroniąc się przed słońcem pod fioletową koronkową parasolką, którą trzymała w ręku, przyglądała się ostatnim poprawkom czynionym w okazałej kamienicy, którą otrzymała w spadku po mężu. Dwaj panowie w roboczych ubraniach mocowali tablicę z nazwą szkoły.

– Księżna Sara Leokadia Reszko. Pensja dla dziewcząt – przeczytała na głos i wzruszenie połaskotało ją w gardle. – Nieco wyżej, panowie, o tak, dobrze. – Nie patrząc, czy wypada, czy nie, pragnęła osobiście nadzorować niektóre rzeczy, bo po prostu zbyt mocno przeżywała swoje marzenie. Matka pisała jej w listach, by nie pokazywała się publicznie zbyt często, bo czas żałoby wypada spędzić w zamknięciu, prosiła też, wręcz żądała, by córka nosiła czarne suknie. Sara początkowo nosiła czerni, ale gdy na dworze temperatury dochodziły do trzydziestu stopni, zrezygnowała z czerni na rzecz żałobnego fioletu. Jeden i drugi kolor ją męczył. Była jednak gotowa iść na kompromis i chodzić w fiolecie, natomiast nie godziła się na roczną izolację od świata. Chadzała więc dawnym zwyczajem na kawę do kawiarni U Brzezińskiej, spacerowała po Łazienkach Królewskich, gdzie dokarmiała wiewiórki, brała udział w wieczorach literackich, koncertach i spektaklach teatralnych. Jednak najwięcej czasu poświęcała na projektowanie i dogłębne prace związane z kamienicami. Tę odziedziczoną po mężu, jak i tę tuż obok, nieco mniejszą, dokupioną całkiem niedawno.

Przed kamienicą w dwóch okazałych donicach rosły czerwone róże, a przy nich po każdej ze stron stały piękne ławeczki wykonane z kutego żelaza i drewna. Jeszcze szkoła nie została otwarta, a już wieść o niej rozniosła się lotem błyskawicy. Niemal codziennie w apartamencie księżnej kłębiły się tłumy chętnych, by zapisać swoje panienki. Przewinęły się dostojne matrony z córkami, ale też guwernantki i nauczycielki chcące się usamodzielnąć. Dziewczęta przeważnie miały ze sobą *Tajemnicę* i dzierżyły ją w dłoniach niczym najcenniejszy skarb z wypiekami na twarzy, prosząc o autograf. Sara zatrudniła jeszcze dwie służące, bo Mela i Frania nie dawały sobie rady z nadmiarem pracy, a Marta, jako najbliższa i najbardziej zaufana ze służących, a także potrafiąca czytać, pisać i liczyć, pełniła funkcję osobistej sekretarki. Wczesne objawy ciąży ustąpiły i zakochana służąca znów tryskała humorem i dobrą energią.

W końcu panowie zamocowali szyld. Sara odsunęła się dwa kroki, by popatrzeć z daleka i uśmiechnęła się rozanielona. Już od jesieni planowała ruszyć z nauczaniem. Sierpień zaś zostawiła sobie na przeprowadzkę i zadomowienie się w nowym miejscu. Przechodnie zwalniali kroku, a co niektórzy nawet zatrzymywali się zaciekawieni, jakaż to nowa instytucja się otwiera. Nie chcąc wzbudzać sensacji swoją osobą, skierowała się do kościoła Świętego Krzyża, gdzie przy bocznej nawie zmówiła modlitwę za zbawienie duszy swojego zmarłego męża księcia Hipolita, a także żarliwie pomodliła się za sukces nowego przedsięwzięcia. Powoli prostowała sprawy spadkowe. Fabryki na terenie Rosji sprzedała kuzynom zmarłego, natomiast te pod Warszawą dała w zarząd. Utworzyła również fundusz, o który prosił ją Hipolit na łożu śmierci, i przekazała rozporządzenie nim Heldze Słupnik.

Sara złożyła trzymaną w ręku parasolkę, zawiesiła na przedramieniu koronkową torebkę i ruszyła na codzienną kawę. Przepuściła dwie dorożki, nim przeszła na drugą stronę ulicy, odpowiedziała na kilka pozdrowień i obdarzyła uśmiechem dwie nastoletnie panienki, które

ukłoniły jej się w pas. Od razu domyśliła się, że to czytelniczki. Kto wie, może moje przyszłe uczennice? – cieszyła się w myślach. Uzmysłowała sobie, że jest wolną kobietą. Jeszcze kilka lat temu marzyła o tym, by móc pisać, potem, by jej powieść została wydana pod jej nazwiskiem. Jednak życie przerosło jej najśmielsze marzenia. Przeszłam przez piekło, by być w tym miejscu, w którym jestem – uświadomiła sobie.

Z naprzeciwka nadjeżdżał żółty dylizans. Sara już miała wejść do kawiarnianego ogródka, lecz przystanąła, by sprawdzić, czy to przypadkiem nie jedzie ukochany ochmistrzyni. Nie myliła się, na kozle dumnie wyprostowany siedział Waldemar Promyk. Ciepły wiatr rozwiewał jego rude loki, a z całej postury wyzierały zadowolenie i życiowa energia, którą mógłby obdarzyć tuzin ponuraków. Księżna podniosła złożoną parasolkę i machnęła nią. Waldemar natychmiast ściągnął lejce, zeskoczył z kozła i ukłonił się w pas.

– Dzień dobry, łaskawa pani. Piękny dzień mamy.
– W istocie, bardzo piękny. Czy zechciałby pan poświęcić mi pół godziny?
– Teraz, jasnie pani?
– Wspaniale byłoby teraz, ale jeśli nie teraz, to może być, kiedy tylko znajdzie pan czas.
– Odprowadzę dylizans na stację pocztową i przybiegnę za kilka minut. – Znów się skłonił.

– Doskonale, czekam.

Weszła do kawiarnianego ogródka i zajęła ulubiony stolik, który dziewczęta pani Katarzyny Brzezińskiej zawsze dla niej trzymały. Zamówiła kawę i sięgnęła po pierwszy z brzegu periodyk. Gazety przestały już żyć nagłą śmiercią księcia Reszki, a relacjonowały otwarcie kolei żelaznej na trasie Wrocław–Oława, a także doszukiwały się przyczyn ogromnego pożaru Belchatowa, który strawił połowę miasta. Na ostatniej stronie Sara wyczytała o zajęciu komorniczym domu Brunona Dzikowskiego. Tak się kończy pycha – stwierdziła w duchu.

Odłożyła gazetę, bo dostrzegła wchodzącego do kawiarnianego ogródka Waldemara Promyka. Zauważył ją i uśmiechnięty zmierzał w jej kierunku. Wskazała mu miejsce na wprost siebie.

– Zostawiłem dylizans do rozładunku – powiedział, by tylko zacząć rozmowę. Przez drogę zastanawiał się, co też za sprawę ma do niego księżna Reszko.

– To dobrze. Potrzebuję pana wsparcia, ale najpierw niechże pan da się namówić na kawę i deser. Ja pana zapraszam, ale i bardzo nalegam, zresztą już zamówiłam w pana imieniu. Przyznam, że sprawę mam do pana niecodzienną. – Uśmiechnęła się uroczo. Waldemar odwzajemnił uśmiech i już wiedział, dlaczego Marta tak kocha swoją panią. Nie mógł się oprzeć jasnemu spojrzeniu rozumnych oczu i pełnemu urokowi uśmiechowi.

– Jeśli tylko będę mógł, to pomogę. – Odsunął się nieznacznie od stolika, bo młodzianka kelnerka stawiała przed nim kawę i deser. – Z całych sił postaram się pomóc – oświadczył, bo naszły go myśli, że tak dobra, piękna i mądra kobieta nie poprosi go o nic, czemu nie byłby w stanie sprostać.

– Wspaniale. Z całego serca panu dziękuję. Otóż, panie Waldemarze, czy widzi pan tę kamienicę, o tamtą, sąsiadującą z moim pałacykiem z szyldem szkoły? – Wskazała dyskretnie głową kierunek, w jakim ma spojrzeć.

– Ależ tak, moja narzeczona pokazywała mi nowy dom księżnej. – Przysunął filiżankę i wrzucił do niej szczypczykami dwie kostki cukru, a potem zamieszał.

– Nie chodzi o moją nową siedzibę, a o tę niższą o piętro prostą kamienicę – wyjaśniła, jeszcze raz spoglądając w tamtą stronę.

– Tak, widzę. – Spojrzał uważnie.

– Otóż kupiłam tę kamienicę dla służby. Będą to mieszkania służbowe, oprócz jednego. Jedno za wyjątkowo oddaną pracę, ogromne zaufanie i lojalność chcę dać na własność mojej ochmistrzyni. Problem w tym, że ona kategorycznie nie chce go przyjąć. Na dodatek argumenty, które przedstawia, są bardziej emocjonalne niż logiczne. Wie pan, trudno być obiektywnym we własnej sprawie. – Upiła drobny łyk, odstawiła filiżankę i położyła odziane w fioletowe rękawiczki dłonie na stole, jedną na drugą.

– Czyli mam przekonać Martę? – spytał, przypominając sobie rozmowę z narzeczoną po ich wizycie u jego ojca. Podczas powrotnej drogi rozmawiali o tym. Był bardzo zdziwiony, dlaczego Marta odrzuca tak wielkoduszny gest swojej pani.

– Nie, panie Waldemarze, przekonywanie Marty jest bez szans. Uparła się i już. Chciałabym, żeby pan przyjął ode mnie ten dar dla waszej rodziny. To będzie mój prezent ślubny dla was. Mieszkanie znajduje się na parterze, są tam cztery obszerne izby mieszkalne, jest korytarz i łazienka.

– Och, to ogromny apartament. To nawet za dużo.

– Proszę nie mówić jak Marta, bo cała intryga się nie uda. – Roześmiała się.

– Ale to naprawdę ogrom pomieszczeń.

– Tak, owszem, pomieszczenia są obszerne, ale pomyślałam, że warto by sprowadzić do Warszawy rodziców pańskiej narzeczonej. Po pierwsze dlatego, że obawiają się utraty dachu nad głową, ale też z mojej wygody. Marta jest mi potrzebna, chcę, by oficjalnie została sekretarzem mojej nowej placówki, pan często wyjeżdża, a wtedy maleństwem zajęliby się dziadkowie. Co pan na to? Czy zgodziłby się pan mieszkać z rodzicami swojej żony?

– Och, to nie kłopot. Poznałem ich, to porządni ludzie, pracowici, dobrzy i serdeczni, tylko... to naprawdę bardzo hojny gest... – Kręcił głową z niedowierzaniem.

– Wielu rozsądnych chlebodawców zapewnia pracownikom dach nad głową. Choćby i pan go otrzymał. Dostał pan zapewne służbowe mieszkanie z poczty?

– Tak, dostał je mój ojciec, tylko że to mieszkanie dwuizbowe, a księżna proponuje nam niemal pałac.

– Dwuizbowe, bo poczta jest nie za bogata, ale mieszkania pracownikom zapewniła. Wychował się pan w nim i zapewne mimo ciasnoty wychowałyby się w nim jeszcze pańskie dzieci. Dwór w Sępach również zapewnił domy dla służby, szkoda tylko, że z błahych powodów te domy odbiera, a przynajmniej straszy odebraniem. To niehonorowe działanie. Panie Waldemarze, jestem szczęśliwa, że dał pan Marcie to, co w życiu najważniejsze, miłość. To najwspanialsze z uczuć, najszlachetniejsze, najlepsze, ale trzeba je pielęgnować, bo może zaginać w codzienności. Szczególnie gdy ta codzienność zaczyna uwierać. Proszę sobie i swojej rodzinie polepszyć byt. Wystarczy jedno pana słowo. To nie tylko dla was, ale i dla waszych dzieci i dla następnych pokoleń.

– Księżno, będzie dla mnie wielkim honorem, otrzymać od pani tak wielki dar – wymówił wyraźnie wzruszony.

– Wreszcie mówi pan rozsądnie, zatem zaraz po kawie pójdzie pan ze mną obejrzeć wasze nowe gniazdo rodzinne. A na dniach załatwimy formalności. Spytałem jeszcze o kwestię poślubnego obiadu...

– Tylko do kościoła idziemy, księżno, a potem planowaliśmy obiad u tatki. Proponowałem Marcie, byśmy choć do kawiarni poszli, lecz ona wszystkie pieniądze na wyprawkę dla dziecka zbiera, a i rodzicom przesyła trochę, bo nie mają zbyt wesoło. Ja się na to godzę, a nawet dokładam od siebie, o czym moja narzeczona nie wie. Żal mi Skowronków, popadli w niełaskę jaśniepaństwa.

– W takim razie postawimy moją upartą ochmistrzynię przed faktem dokonanym. Obiad poślubny przygotujemy w waszym nowym mieszkaniu. Tylko bardzo pana proszę o dyskrecję. Nie chcę, by pan miał przed Martą tajemnice, lecz w tym wypadku zrobimy jej niespodziankę. I jeszcze jedno, musi pan przywieźć rodziców Marty. Niech śpią już w swoim pokoju w Warszawie i nie martwią się przyszłością.

– Słusznie ludzie gadają, że jest pani niezwykle osobą. Cała Warszawa mówi tylko o pani, księżno. Nie dość, że wszyscy tu czytają pani książkę, to jeszcze znają pani serdeczność i dobre serce. Moja narzeczona ma wielkie szczęście i zaszczyt dla pani pracować. Gdyby cokolwiek było kiedyś pani potrzebne, jestem gotowy z wdzięczności jechać dla pani po to na koniec świata. Do końca życia zostanę pani dłużnikiem.

– Niech wam się dobrze żyje, a teraz chodźmy obejrzeć to wasze чудо. Pomoże mi pan też z umeblowaniem. Proszę nie protestować, czuję się tak, jakby za mąż wychodziła moja siostra. I to najukochańsza. Musi pan też mi obiecać, że Marta zawsze będzie blisko, będzie służyła mi radą i pomocą, gdyby jej zabrakło, rzeczywiście poczułabym się tak, jakbym była sama na świecie.

– Obiecuje, księżno. Będziemy oboje wierni i oddani pani aż do śmierci – oświadczył poważnie. Chrząknął, bo oko mu zwilgotniało, a nie chciał rozpłakać się jak mały chłopczyk. Ona również musiała ukryć wzruszenie. Dobrze było patrzeć na szczęście i radość bliskich.

Tego wieczoru księżna pochylona nad kartkami papieru spisywała ostatnie rozdziały nowej powieści pod tytułem *Zakochana służąca*. Uśmiechała się, bo mogła z czystym sumieniem poprowadzić swoją bohaterkę szczęśliwymi drogami. Świtało już, gdy postawiła ostatnią kropkę. Długo jednak nie mogła zasnąć. Emocje jeszcze w niej nie opadły. Wymyślone przez nią postacie z książki żyły. Widziała je oczyma wyobraźni i kibicowała ich poczynaniom całym sercem. Czuli się spełnioną kobietą. Wstała z łóżka, namacała domowe pantofle, nałożyła peniuar i stanęła przy oknie. Budzący się świt zachwycił ją. Na ulicę wyjechały pierwsze bryczki, a uliczni handlarze rozkładali swoje kramy, śmiejąc się przy tym i przekomarzając. W kościele Świętego Krzyża rozbijał się dzwon nawołujący na poranną mszę, zaczynał się kolejny dzień. Księżna cieszyła się na ten poranek, jak i na wiele innych, które mogła przeżyć tak, jak chciała. Bez nakazów, zakazów, pod niczyje dyktando. Wywalczyłam sobie wolność – pomyślała i uśmiechnęła się, bo w tym momencie poczuła się naprawdę szczęśliwa.



Na cmentarzu Powązkowskim czuło się nadchodzącą jesień. Niby lato nie powiedziało jeszcze ostatniego słowa, a już liście klonu nabrały złotawej barwy, a odwiedzającym cmentarz klaniały się rosnące przy ścieżkach żółte kwiaty nawłoci. Słońce stało wysoko i mocno grzało, ale poranne mgły i chłodne wieczory w ostatnich dniach sierpnia nieuchronnie zwiastowały jesień. Ubrana w czarną suknię i w czarny elegancki płaszcz księżna Reszko siedziała przy mogile swojej małej kruszynki. Modliła się za swojego aniołka, a po skończonej modlitwie siedziała długi czas w zadumie. Dopiero kiedy cmentarz zaczynał pustoszeć, poszukała wzrokiem Tadeusza, który natychmiast się zjawił i poprowadził ją do powozu.

– Coś się kończy, Tadeuszu, też tak czujesz? – zagadnęła, gdy prowadził ją pod rękę do czarnej bramy z kutego żelaza.

– Nie księżno, nie kończy się, coś nowego się zaczyna. Myślę, że coś dobrego. W Warszawie ludzie mówią tylko o naszej pensji dla panienek i o nowej księżce *Zakochana służąca*. To o naszej Marcie, prawda?

– Nie do końca, ale miło patrzeć na jej miłość. Przyznam, że była dla mnie inspiracją. Nawet nie jej miłość do pocztyliona, a samo marzenie o miłości. Gdyśmy się sprowadzili z Karczewa do Warszawy, snułyśmy takie luźne rozmowy o życiu. Marta wtedy się zarzekła, że nigdy się nie zakocha, a tymczasem...

– A tymczasem jutro ukochany poprowadzi ją do ołtarza – dokończył za Sarę.

– Nie wiesz, czy Waldemar przywiózł rodziców naszej ochmistrzyni?

– Tak, jaśnie pani. Przywiózł ich wczoraj i umieścił w kamienicy obok pani pałacu. Mają wszystko, co im potrzeba.

– Nikt się nie zdradził przed Martą? – Zerknęła na woźnicę, w poszukiwaniu jakiegokolwiek fałszu, ale nawet okiem nie mrugnął, gdy stwierdził:

– Nie, księżno. Nikt pary z ust nie puścił.

– Doskonale. Mam dla ciebie zadanie. Gdy odwieziesz mnie do domu, pojedziesz do mojego wydawcy pana Gurga i przekazesz mu, że chcę go dziś wieczorem zobaczyć.

– Oczywiście, jaśnie pani. – Tadeusz pomógł jej wsiąść, zatrzasnął drzwi, a sam wskoczył na kozła.

Sara oparła się wygodniej o wezglowie pięknie obszytych adamaszkowych zagłówek i zastanawiała się, jak będzie jej się mieszkac w nowym domu. Wszystko już było gotowe, ale przeprowadzkę odwlekała sama, właściwie nie wiedząc dlaczego. Odkupiła ostatecznie apartament od rodziców i długo zastanawiała się nad tym, czy w nim nie pozostać. Jednak chęć nowego i raz powziętego postanowienia przeważała. Planowała po ślubie ochmistrzyni przenieść się do nowej kamienicy, tym bardziej że za kilka dni ruszała edukacja na razie dla piętnastu panienek. Miały się uczyć literatury, historii, francuskiego, ale też matematyki, biologii i fizyki. Oczywiście, na szkołę, oprócz mnóstwa pochwał, spadła też ogromna fala krytyki za to, że będą się tam uczyły dzieci ze służby. Sara odkryła jednak, że nie tylko nie przejmuje się krytyką, ale kontrowersje zaczynają ją bawić.

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie Tadeusza, a chwilę potem jego pomocna dłoń, która pomogła jej wsiąść.

– Księżno, jak dobrze, że pani już wróciła – wykrzyknęła Marta. – Cieszę się, ale zarazem martwię się wszystkim. Czy się nie przewrócę, czy się zmieszczę w suknię od pani, bo brzuszki już mi się zaokrągliły. Czy nie zadrży mi głos, gdy będę składała przysięgę, i w ogóle, martwię się wszystkim. – Marta złapała się za skronie, pochyliła głowę, ale kiedy na powrót ją podniosła, oczy jej się śmiały.

– Jutro twój wielki dzień. A właściwie twój wielki wieczór, bo msza dopiero o osiemnastej, prawda?

– Tak. Nie wiem, co ja będę robiła przez cały ten dzień. – Marta podeszła do lichtarza i zapaliła świece, bo w pokoju zapanował półmrok.

– Jak to, co będziesz robiła? Odpoczywała, rozmyślała, celebrowała chwilę. Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy sprzątać czy pomagać Anieli w kuchni. Jutro jest twoje wielkie święto. Twoje i Waldemara, a właściwie waszej miłości. Mnie nie będzie dziś na noc, wrócę jutro koło południa, by być z tobą w tej najważniejszej dla ciebie chwili.

– Księżno, przecież chyba nie przyjdzie pani do kościoła, plotki...

– Przyjdę, moja droga, nigdy w życiu nie darowałabym sobie, gdybym przegapiła, jak się wywracasz przed ołtarzem albo jak nie możesz powtarzać za księdzem i ślubować ukochanemu wierności. – Sara się roześmiała, widząc najpierw oburzoną, a potem rozradowaną twarz swojej ukochanej służącej.

– Księżno Saro, jeszcze nie podziękowałam księżnej za tyle lat... przyjaźni. Dobroci, serdeczności... nawet wtedy, gdy z panią Marianną doniosłyśmy do wydawcy na Dzikowskiego...

– Co takiego? To ty też w tym brałaś udział? – Księżna zrobiła wielkie oczy.

– Nie wiedziała pani? – Teraz z kolei zdziwiła się Marta.

– Nie, myślałam, że to wyłącznie sprawka Marianny – wyznała zgodnie z prawdą. – No proszę, nieźle się działo za moimi plecami.

– To ja byłam sprawczynią całej intrygi, bo też kiedy się dowiedziałam o nikczemności tego podłego człowieka i gdy patrzyłam na pani nieszczęśliwą minę, nie mogłam sobie miejsca znaleźć. Musiałam coś zrobić.

– Ech, intrygi, same intrygi. – Sara się zaśmiała. – W takim razie i ja tobie dziękuję. Dzięki tej intrydze wróciła mi wtedy chęć do pisania.

– Wiem. Na to liczyłam. A nawet gdyby nie wróciła, nie mogłam dopuścić do tego, by na książce, nad którą pani spędziła całe miesiące nieprzespanych nocy, a ja w kółko czyściłam plamy po atramencie, żeby ta książka nosiła jego nazwisko. Po moim trupie! – Puknęła się pięścią w pierś.

– Spokojnie, Marto, nie denerwuj się, bo dziecko będzie nerwowe. Oho, słyszę głos mojego wydawcy. Marto, wyślij Melę czy Franię, niech któraś przygotuje mi wino i lekką kolację w sypialni na piętrze nowej kamienicy, a także komplet bielizny nocnej i suknię na jutro. Jutro w południe niech się któraś z nich zjawi i pomoże mi się ubrać.

– Ojej, pani Saro, czy zamierza pani spać sama w tym wielkim domu? – zatrwożyła się służąca.

– Uchowaj Boże. Nie zamierzam spać tam sama. – Mrugnęła figlarnie okiem i nim służąca zdążyła się zgorszyć czy w jakikolwiek inny sposób zareagować, księżna odwróciła się na pię-

cie i jak młodziutka dziewczynka zbiegła po schodach.

Warszawiacy powoli kładli się spać, w oknach migotały cienie od tłących się w lichtarzach świec, nieliczne lampy olejowe otulały Krakowskie Przedmieście chybotliwym mdłym światłem. Sara, ubrana wciąż w tę samą czarną suknię i czarny płaszczyk, szła pod rękę z Gustawem Gurgiem. Zjedli obiad w najwykwintniejszej warszawskiej restauracji, a potem, wracając, rozmawiali o promocji nowej książki.

– Chcę ci pokazać mój nowy dom. – Zatrzymała się przy kamienicy na wprost pałacu Radziwiłłów. – Wejdiesz na kieliszek wina? Tyle tylko, że musimy się sami obsłużyć, bo życie w tym domu zacznie się dopiero od jutra. – Podała mu klucz, a sama stanęła nieco z boku, by wisząca obok lampa olejowa oświetliła mu otwarcie drzwi.

– Zapraszam cię, Saro, do twojego nowego domu. – Zdjął z głowy cylinder i skłonił się niemal do samej ziemi, co wzbudziło ich ogólną wesołość. – O proszę, ale ktoś tu był przed nami i oświetlił nam drogę. – Wskazał na nowoczesne kandelabry ustawione na komodach zarówno na korytarzu, jak i w pomieszczeniach. Chciał wziąć pierwszy z brzegu i nieść go, oświetlając sobie drogę, ale Sara stanęła przed Gustawem, wspięła się na palce i nadstawiła usta do pocałunku. Całowali się długo, namiętnie, oboje oczarowani sobą i swobodą, na jaką mogli sobie pozwolić bez obecności służby.

– Weź świece i chodźmy zwiedzić ten wielki dom. Może nie cały, bo to kawał gmaszyska, ale chcę ci pokazać jedną rzecz. – Otworzyła drzwi, za którymi był długi ciemny korytarz. – Tu będą się uczyły dziewczęta z bogatych i z biednych domów. Mam komplet na zbliżający się semestr. Uważam, że będzie tylko lepiej – stwierdziła, a on podniósł kandelabr i ich oczom ukazały się drzwi do poszczególnych pomieszczeń i piękny bordowy dywan przez całą długość korytarza. – Zwiedzimy to jutro w dzień. Chodźmy do pomieszczeń prywatnych – zdecydowała. Policzki jej płonęły, a oczy błyszczały.

Poszli na piętro, do wielkiego salonu, gdzie również paliły się świece, na stole zasnutym białym obrusem dziewczęta ustawiły patery z owocami, misternymi kanapeczkami, wędlinami i różnymi rodzajami sałat. W karafce stało wino, a przy nakryciach kieliszki.

– Piękny dom, Saro. Wspaniały pomysł z edukowaniem dziewcząt. Kto jak kto, ale ty masz im wiele do przekazania. Potrafisz walczyć o marzenia, a przy tym nie stracić dumy, godności i optymizmu.

– Z tym optymizmem bywało różnie – przyznała, przyjmując od niego kieliszek z winem i siadając na puszystej otomanie. Wskazała mu ręką miejsce obok siebie, a gdy usiadł, wtuliła się w jego ramię.

– Wiem, pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Szukałem kontaktu z tobą, aż powiedziano mi, że masz zwyczaj pijać kawę u pani Katarzyny Brzezińskiej. Ileż ja się tam kaw napiłem, zanim cię upolowałem – Zaśmiał się cicho, ale zaraz wrócił do przerwanego wątku. – Pamiętam, że przyjęłaś mnie wtedy bardzo chłodno, z ogromnym dystansem, ale ja już wtedy...

– Ja też już wtedy... – weszła mu w słowo.

– Saro, ja ciebie...

– Nie! Nie mów, błagam!

– Ale ja chcę ci to powiedzieć, proszę...

– Nie, najpierw ja ci coś powiem. Jutro ktoś bardzo mi bliski bierze ślub. Chciałabym, byś mi towarzyszył...

– Oczywiście, z największą radością. To dla mnie honor towarzyszyć ci na ślubie bliskiej osoby.

– To moja służąca. – Spojrzała na niego uważnie, doszukując się najmniejszych oznak grymasu, ale jego oczy i cała twarz pozostały radosne.

– Powtarzam, to dla mnie zaszczyt. Musi być wyjątkową osobą, że darzysz ją takim szacunkiem, ja takim szacunkiem darzę mojego starego sługę.

– Pamiętam, mówiłeś mi o tym. Marta jest wyjątkowa. Jest ze mną od dziecka. Miała kilka lat, gdy rozdzielono ją z rodzicami i oddano do mojego rodzinnego domu na służbę. To ona towarzyszyła mi w zabawie, to jej powierzałam moje troski i radości, a ona nigdy nie nadwerężyła mojego zaufania. Nawet wówczas, gdy prasa zrobiła nagonkę na mnie i na Dzikowskiego. W zamian za jedną plotkę o mnie mogłaby się wzbogacić i ustawić w życiu, a jednak z tego nie skorzystała – opowiadała w uniesieniu Sara. – Moja własna kuzynka, którą kocham jak siostrę, zdradziła mnie dwa razy, oczywiście, wybaczyłam jej, bo rodziny się nie wybiera, a Marta nigdy, ale to nigdy mnie nie zawiodła.

– To o niej jest twoja nowa książka, prawda?

– Tak, o niej. Cieszę się jej szczęściem. Ma trzydzieści dwa lata i nigdy dotąd nie była zakochana. – Sara pokręciła głową z niedowierzaniem.

– *Zakochana służąca*. Tytuł bardzo adekwatny. – Upił łyk wina. Sara też przechyliła kieliszek.

– A teraz powiedz to, co chciałeś mi powiedzieć – zezwoliła łaskawie, patrząc mu prowokująco w oczy.

– Kocham cię, Saro. Zakochałem się w tobie od pierwszego dnia, już wtedy w kawiarni. Byłaś wprawdzie zimna jak lód, ale twoje ciepłe spojrzenie przeczyło słowom.

– Nie byłam taka zimna, dałam się zaprosić na obiad. – Zaśmiała się cicho.

– Nie pamiętam, co jedliśmy, ale pamiętam twój głos, twój uśmiech, twoje serdeczne dłonie i piękny zapach, jaki roztaczałaś wokół. – Gustaw marzył, by poprosić ją o rękę, ale zdawał sobie sprawę, że nie jest dla niej odpowiednią partią. Pochodził wprawdzie z dobrej starej szlacheckiej rodziny, ale ona była księżną. O jej fortunie krążyły legendy. Wiele razy podkreślała, jak bardzo ceni sobie wolność i niezależność. A poza tym była w żałobie. Nie wypadało nie tylko rozmawiać o oświadczeniach, ale nawet zbyt przedłużać wizyty. – To był wspaniały wieczór, Saro. Jestem wdzięczny i oczarowany.

– Ja też jestem ci wdzięczna za wieczór, za rozmowę, za czułe słowa. Również jestem oczarowana. – Dopiła wino do końca. – Mam nadzieję, że przed nami równie wspaniała noc – szepnęła i dziękowała losowi za mrok w pomieszczeniu. Miała nadzieję, że nie widzi jej pełnego pożądania spojrzenia i wybuchającej namiętności.

W sypialni pomógł jej uwolnić się z sukni, halebek, gorsetu, nie krępowała się go ani trochę. Nie stała jak niegdyś przed mężem naga i bezbronna. Rozpięła Gustawowi koszulę i przejechała dłonią po jego nagim torsie. Pochwycił ją na ręce i zaniósł na wielkie małżeńskie łóżko z baldachimem. Kochali się niespiesznie, namiętnie, aż do spełnienia. Potem długo leżąc

w blasku świec, opowiadali sobie o swojej przeszłości, radościach, planach wydawniczych. Sara pierwszy raz doświadczyła uczucia, że nie tylko kocha Gustawa, ale przede wszystkim bardzo go lubi. Czuła, że może na niego liczyć w każdej sytuacji. Kochali się tej nocy jeszcze kilka razy, rozmawiali i pili wino. Dopiero szara godzina świtu otuliła ich spokojnym, mocnym snem.



Ubrana w prześliczną białą muślinową suknię i spowita cieniuchnym welonem Marta Skowronek prowadzona przez Tadeusza wsiadła do powozu księżnej Sary Leokadii Reszko. Obok niej zajęła miejsce Mela, która była jej świadkową. Księżna Sara w sukni lilaróż w towarzystwie Gustawa Gurga zajęła miejsce w powozie wydawcy. Wprawdzie ochmistrzyń chciała iść pieszo, bo kościół Świętego Krzyża był zaledwie kilkaset metrów stąd, ale księżna nie zamierzała do tego dopuścić. Marta w końcu się poddała. Kiedy powóz zajechał przed schody kościoła, Marta przeraziła się liczbą gości. Przyjaciele pana młodego, od niej trzy dziewczyny, a do tego księżna z wydawcą. Marta żałowała, że nie posłuchała narzeczonego, gdy ten namawiał ją na obiad weselny dla znajomych.

– Nie martw się niczym, kochanie. – Waldemar stanął tuż przy niej. – Jakoś to będzie. – Pogłaskał jej dłoń, a potem przytknął do ust. – Wyglądasz prześlicznie, jesteś najpiękniejszą panną młodą, jaką widziałem kiedykolwiek.

Obdarzyła go uśmiechem, ale nagle krzyknęła z radości, bo w jej stronę ubrani w odświętne stroje szli rodzice, a za nimi Ludwika pod rękę z Alojzym.

– Mamo, tatku, jak dobrze, że jesteście. Waldemarze, dlaczego się nie zdradziłeś, że udało się przywieźć moich rodziców?

– Nie pytałaś. – Roześmiał się. Gdyby nie sekret, który trzymał wraz z księżną Reszko, już dawno wyjawiłby Sarze, że przywiózł Skowronków na ślub.

– My też z Alojzym nie moglibyśmy przegapić takiej okazji. – Ludwika poprawiła szal wytwornej sukni i ciałniej wtuliła się w mężowskie ramię.

– Gdzie my ich wszystkich ugościmy? Będziesz musiał chyba w jakiejś kawiarence miejsca wyprosić, chociaż na kawę i ciasto. Niedobrze zrobiłam, kochanie, że nie posłuchałam ciebie – oznajmiła z westchnieniem.

– Co racja, to racja. Niedobrze nie słuchać męża. – Zaśmiał się, wyraźnie szczęśliwy.

– A gdzie pan Franciszek? – Rozejrzała się po zgromadzonych, ale go nie dostrzegła.

– W kościele, modli się za nas od pół godziny. Za nasze szczęśliwe życie. Ale naprawdę podejrzewam, że chciał sobie miejsce w pierwszej ławce zająć.

– Och, przestań, proszę, bądź poważny – zbesztła go z uśmiechem.

Na kościelnych schodach stanął ksiądz, pobłogosławił parę młodą, a rodzinie i bliskim poleciał zająć miejsca w kościele. Dzwony się ozwały, gdy prowadził młodą parę główną nawą jednego z najstarszych kościołów w Warszawie. Stanęli przed ołtarzem i wzruszeni powtarzali za księdzem słowa przysięgi małżeńskiej. Wierzyli w tę miłość, żadna zła myśl nie zakłóciła tej podniosłej chwili. Marta przestała myśleć o tym, gdzie usadzi gości. Nic już nie było ważne, tylko ten cudowny człowiek, który chciał z nią spędzić życie, dopóki śmierć ich nie rozdzieli.

Po uroczystości wyszli przed kościół, gdzie otrzymali życzenia i prezenty od bliskich, które Mela ze świadkiem, przyjacielem Waldemara, ostrożnie składali w powozie Reszków.

– Marto, zgodzę się teraz, byśmy wrócili pieszo. Zapraszamy wszystkich państwa na obiad weselny – zwróciła się do zebranych księżna Reszko.

– Ale księżno...

– Marto, jeden jedyny raz poddaj się naszej woli. – Sara zaśmiała się ucieszona, że nikt nie zdradził jej niespodzianki. – To naprawdę blisko.

– Oczywiście, że blisko. No przecież mówiłam to od razu, żeby nie kłopotać powozów...

– To tutaj. – Księżna zatrzymała się przy kamienicach.

– W szkole? – zainteresowała się Marta, ale nie otrzymała odpowiedzi, bo właśnie otworzyły się drzwi kamienicy przeznaczonej dla służby i wyszły przed budynek młodziutkie służące, które księżna ostatnio zatrudniła. Waldemar chwycił żonę na ręce i przeniósł przez próg.

– Witaj w domu, kochanie. – Postawił ją w obszernym jasnym korytarzu i poprowadził do salonu.

– Ale jak to? Przecież to...

– Proszę, zajmujcie państwo miejsca przy stole – zachęcały młodziutkie służące ubrane w szare proste sukienki i białe fartuszki.

A gdy goście usiedli, Sara podeszła do pary młodej i wręczyła im sakiewkę z pieniędzmi.

– To na dobry start. Niech wam się szczęści, niech wam się wiedzie, niech wasza miłość nigdy się nie kończy. Marto, mówiłam ci wielokrotnie, że jesteś bardzo ważną dla mnie osobą. To mieszkanie jest twoje i twojego męża. Poczekaj, daj mi skończyć. Kupiłam tę kamienicę tuż obok mojej z myślą o mieszkaniach dla służby. A zatem nie tylko ty się tu przeniesiesz, ale również Mela, Frania, Aniela, Tadeusz i Henryk, a także trzy nowe służące i być może któraś z nauczycielek. W większości będą to mieszkania służbowe, ale po długoletniej pracy staną się wasze na zawsze. Ty jako pierwsza ze służby takie mieszkanie ode mnie otrzymujesz na własność.

Marta siedziała oszołomiona, nie mogąc uwierzyć, że jej życie tak się potoczyło. Jeszcze tak niedawno pogodzona z samotnością nie marzyła o niczym dla siebie. Jej życie kręciło się wyłącznie wokół spraw księżnej Sary Leokadii Reszko. Tymczasem już niedługo na świecie przywita swoje dziecko. Obok niej siedzi ukochany mężczyzna, jej mąż, a także rodzice i siostra. A teraz jeszcze własny dach nad głową.

– Martuniu, kochana moja, podjąłem za nas tę decyzję i nie tylko tę. Za namową księżnej przekonałem twoich rodziców, by z nami zamieszkali. Mają swój oddzielny pokój i już w nim nocowali.

Po słowach księżnej wybuchł rwetes. Pokojówki i kucharka cieszyły się, że każda z nich będzie miała swoje małe królestwo. Rozległy się oklaski i okrzyki radości. Waldemar przytulił żonę, bo plecy jej drgały od tłumionego wzruszenia, aż w końcu jawnie się rozplakała. Mela i Frania podbiegły, by ją przytulić. Powstał jeszcze większy harmider, bo i nowe służące zaczęły stawiać na stole przyrządzone przysmaki. Po pomieszczeniu rozszedł się zapach pieczonego drobiu, rosółu, wędzonych swojskich kielbas, galaret, sałat i innych potraw. Zebrani przekrzykiwali się jeden przez drugiego w ogólnej wesołości.

– To niewiarygodne, Saro, jak ty potrafisz uszczęśliwiać ludzi. – Gustaw pochylił się, by szepnąć jej do ucha, bo bał się, że w ogólnym rozgardiaszu nie usłyszy jego słów. – Marzę, byś kiedyś uszczęśliwiła mnie...

– Naprawdę? – zerknęła na niego łobuzersko, a zarazem czule.

– Naprawdę, nie ma dnia ani nocy, bym o tym nie marzył.
– Będziesz tak tylko marzył, czy wyartykułujesz w końcu swoje marzenie? – Zaśmiała się szczęśliwa. Wlepił w nią zbaraniałe spojrzenie, więc dodała: – Myślałam, że wczoraj o to zapytasz.

Zrobił ruch, jakby chciał klęknąć, ale przytrzymała jego ramię.

– Nie wygłupiaj się, nie klękaj, bo ujmiemy im trochę uwagi. – Wskazała głową Martę i Waldemara. – Po prostu zapytaj.

– Saro, nie jestem księciem...

– Na szczęście! Księżcia już miałam... – Nie potrafiła się powstrzymać od tej uwagi, bo chciało jej się śmiać z radości. W końcu poczuła się młoda, piękna, kochana.

– Zostaniesz moją żoną? – spytał z ogromnym żarem i nadzieją w głosie.

– No pewnie, że tak, kochany. Tylko przy tobie jestem sobą. Usłyszałam kiedyś, że żenić powinni się ludzie o tych samych upodobaniach, o takich samych pasjach i poglądach na życie.

– Nigdy się na mnie nie zawiedziesz, razem zawojujemy świat. Wydamy *Zakochaną służącą* i wiele innych twoich powieści. Będziemy mieli siebie, dzieci, jak Bóg da, i naszą miłość.

– A ty poprowadzisz niejedne zajęcia w naszej szkole dla dziewcząt o tym, jak pisać, jak wydawać, może wypuścimy gazetę z poezją i prozą naszych podopiecznych...

– Co tylko zechcesz...

Długo jeszcze rozmawiali, snuli wspólne plany i przekomarzali się wzajemnie. Ich, a także Martę i Waldemara czekało długie, szczęśliwe życie, wszak prawdą jest, że pobierać się powinni ludzie o takich samych pasjach, marzeniach i podobnym spojrzeniu na świat. Pamiętając o tym, że w tym wszystkim najważniejsza jest miłość.

Leśniczówka-Baranówka, 2 grudnia 2023 roku

SŁOWO OD AUTORKI

Droga Czytelniczko, drogi Czytelniku,

gdy pisałam powieść *Dom pełen tajemnic*, postacią pierwszoplanową uczyniłam niepoprawną marzycielkę Sarę Leokadię Reszko. Czasy, w jakich przyszło żyć Sarze, nie były odpowiednie ani dla marzycieli, ani dla kobiet, a ona uwielbiała marzyć. Na szczęście księżna miała wsparcie w osobie Marty Skowronek. Marta była jej powierniczką, oddaną przyjaciółką i ostoją, osobą ze wszech miar godną zaufania. Służące we dworach w większości przypadków nie miały szans na zamążpójście, Marta również nie wierzyła, że spotka miłość. Uważała się za starą pannę w zaawansowanym wieku. No więc postanowiłam zainterweniować, w końcu od czegoż jest pisarka...

Książka jest fikcją literacką. Ani Marta, ani Sara nie mają swoich odpowiedników w historii. Jest jednak pewna osoba, której dobre serce i wspaniałomyślność za każdym razem mnie wzruszają. Mowa o Katarzynie Brzezińskiej, której słynna kawiarenka była mekką intelektualistów, literatów, artystów i braci studenckiej, zapewne z uwagi na młodziutkie dziewczęta. Pani Katarzyna przygarniała je, a gdy osiągnęły pełnoletniość, obdarzała posagiem i wydawała dobrze za mąż, a one kochały ją za to do końca swoich dni.

Oddaję w Twoje ręce, Czytelniczko, Czytelniku, kolejne literackie dziecko. Będę się przyglądała, jak sobie radzi, i mocno trzymała kciuki za sukces. Za tym, by książka ujrzała światło dzienne i zachwyciła czytelników, stoi cały zespół ludzi, pozwólcie więc, że im z całego serca podziękuję.

Dziękuję mojemu kochanemu mężowi Krzysztofowi Szklarkowi – za czułość, miłość i dobro, za ułatwianie mi życia na każdym kroku, a także za merytoryczną pomoc przy pisaniu tej i innych powieści.

Dziękuję mojej kochanej mamie Krystynie, najlepszej przyjaciółce i powiernicze troski i radości – za słuchanie każdego rozdziału, za dobre, krzepiące słowa, ale przede wszystkim za modlitwę.

Dziękuję całemu zespołowi wydawnictwa Skarpa Warszawska. Przede wszystkim Rafałowi Bielskiemu i Piotrowi Sternalowi – za życzliwość, otwartość, zaangażowanie i wiarę we mnie. Wspaniałej redaktorce Agnieszce Czapczyk za mądrą redakcję, merytoryczne rady i piękne słowa o powieści, które dodały mi skrzydeł. Piekielnie zdolnej graficzce Annie Słotorskiej za wspaniałą projekt okładki – każda okładka Pani Anny to gwarancja jakości i piękna. Niezwykle utalentowanej aktorce i lektorce Klaudii Bełcik za przepiękną interpretację tekstu, dzięki której każda powieść podbija rankingi popularności.

Przyjaciołom ze wspaniałej społeczności z grupy facebookowej „Książki na obcasach – grupa dla fanów twórczości Wioletty Piaseckiej”, prowadzonej przez dwie fantastyczne blogerki, Kasię Sęk (Książkopasja) i Ewelinę Górecką (Ewelkowe Czytanie), bardzo dziękuję za wsparcie, promocję i obecność na środowiskich pogaduszkach na żywo. Serdecznie zapraszam wszystkich do dołączenia do naszej społeczności.

Dziękuję wszystkim blogerom, recenzentom, księgarzom, bibliotekarzom, mediom i ludziom związanym zawodowo i hobbystycznie z książką, zaangażowanym, poświęcającym

książkom swój czas i życzliwość.

Dziękuję Tobie, droga Czytelniczko, drogi Czytelniku, za czas spędzony z powieścią. Poleć ją proszę, znajomym. Każde dobre słowo o książce jest bezcenne.

Do zobaczenia na kartach kolejnej powieści.

Wioletta Piasecka